

Jonathan Maberry

Wilkołak



Prolog

Łowy nigdy się nie kończą. Tak jak głód.

Przez cztery miliardy lat polowała nocą, nad światem, który obracał się i zmieniał. Bogini Łowów jest blada i głodna, jej złowrogie oko czujne, zęby gotowe kęsać. Usta aż do bólu pragną smaku życia spływającego w gardło. Gwiazdy umykają przed nią niczym owce. W pełni swojej potęgi włada całym mocnym niebem.

W nowiu, kiedy Bogini Łowów śpi, stada gwiazd wracają na swoje bezkresne pastwiska, za każdym razem przekonane, że bestia odeszła. Nieprzygotowane na jej powrót - lśniącej, jasnej i znów głodnej, polującej.

Wiecznie głodnej.

I wiecznie polującej.

Blackmoor, Anglia, rok 1891

Zatrzymał się na ścieżce biegnącej na szczyt urwiska i przez splątane palce bezlistnych drzew spojrzął na niebo.

Chmury były rzadkie, a nocny wiatr rozgarniał je, odsłaniając księżyc - olbrzymi i jasny, zimny, biały krąg dominujący nad niebem. Tylko on świecił, wszystkie gwiazdy i planety umknęły przed jego surowym obliczem.

Ben Talbot stał na ścieżce dłuższą chwilę. Trzymał latarnię, usta miał rozdziawione. Oglądał księżyc w stu różnych puszczech, na polach daleko od miast, na pokładach statków zagubionych wśród bezmiaru mórz - ale za każdym razem, kiedy widział go w pełni, z wrażenia nieruchomiał. Oszołomiony jego potęgą... i pięknem.

Zamknął oczy, starając się skupić na ważniejszych sprawach. Nie przyszedł tu gapić się w niebo. Ale kiedy przypomniał sobie o celu wyprawy, poczuł ukłucie w piersi. Pełny lęku odwrócił się i ruszył ostrożnie wzdłuż wodospadu, opadającego z rykiem do niewidocznej sadzawki w dole. Szedł po splekanej ścieżce, aż znalazł się u podnóża urwiska. Przystanął i się obejrzał. Potem spojrzął przed siebie, między gęste cisy. Dawno już zarosły ścieżkę - potrzaskały kamienie korzeniami, zatrzymując się dopiero na ścianie klifu. Były bardzo stare - niektóre zasadzili Rzymianie - a mimo to wciąż stały dumnie wyprostowane, sięgając sklepienia niebios. Ben podniósł latarnię, poświecił w jedną i w drugą stronę, aż odnalazł ścieżkę - ciemny tunel utworzony przez splątane gałęzie drzew.

Pokiwał głową. To musiała być właściwa droga, chociaż ostatnio szedł przez te lasy tak dawno temu, że wszystko wydawało mu się nowe i nieznanne. To, jak mały chłopiec widzi puszcę, i to, jak pamięta ją dorosły mężczyzna, to dwie różne rzeczy.

Ruszył naprzód, zginając wysokie ciało prawie w pół, żeby zmieścić się w tunelu. Po kilku krokach iglaste sklepienie uniosło się łagodnie i Ben mógł się wyprostować. Nie skończył jeszcze czterdziestu lat, był silny. Mimo to nerwy miał napięte. Kiedy był mały, razem z bratem przychodzili tu tysiące razy, ale nigdy w środku nocy. Może to właśnie przez zmieniającą percepcję

mrok wszystko wydawało się nierzeczywiste i nieznane. Niepewnym krokiem, z mocno bijącym sercem, ruszył naprzód.

Korytarz cisów kończył się polaną. Ben znów przystanął, chcąc się upewnić, że idzie we właściwym kierunku. Podniósł latarnię, żeby lepiej widzieć...

Trzask!

Coś przebiło się za nim przez wyschnięte zarośla. Obrócił się gwałtownie i odskoczył w bok. Serce tłukło mu się w piersi jak oszalałe. Coś poruszało się w krzakach...

- Co, do diabła? Ben zeszywniał, gotowy walczyć lub uciekać. Wyciągnął przed siebie latarnię - źródło światła i talizman. Drugą ręką wymacał przy pasie żeglarski nóż o długiej klindze, ostrej jak brzytwa. Kiedy zacisnął palce na rękojeści, poczuł, że wraca mu pewność siebie. W ciemności wciąż coś się poruszało.

Ben powoli wyciągnął nóż, trzymając go za sobą, tak aby w polerowanej stali ostrza nie odbijało się światło latarni. To coś było coraz bliżej.

Wysunął nóż z pochwy i powoli ugiął kolana. Skoro musiał walczyć, to zamierzał zrobić to, jak należy. Coraz bliżej.

- No chodź, bydlaku - mruknął, mocniej chwytając nóż. Zamierzał ciąć szeroko. Pchnięcie to ruch głupców, ostrze uwięzione w ciele. Ben wiedział, że szybkie cięcia potrafią utrzymać na dystans nawet dużego psa czy dzika.

Nagle istota wypadła z zarośli i skoczyła prosto na niego, Ben ryknął ze strachu i wściekłości, unosząc nóż. Stworzenie znalazło się w kręgu światła latarni... Mężczyzna cofnął się o krok, a z piersi wyrwał mu się śmiech.

To tylko bażant. Tłusty i piękny, zupełnie zignorował potężnego człowieka z wielkim nożem. Łopocąc skrzydłami, popędził tunelem ciosów.

- Niech to diabli! - sapnął Ben i wepchnął nóż z powrotem do pochwy. - Przekłęte ptaszysko - krzyknął za bażantem. - Głupiec - powiedział sam do siebie.

Ze smutnym uśmiechem pokręcił głową, odwrócił się i odszukał ścieżkę. Dziesięć kroków dalej latarnia zamigotała. Płomień przygasł na chwilę, zanim znów się rozpałił, potrząśnięty. Ben przyjrzał się latarni.

Niedługo się wypali, pomyślał. Chwycił pierwszą latarnię, jaką znalazł, i nie sprawdził, ile jest w niej nafty.

- Ty przeklęty głupcze - powtórzył. Nie pierwszy raz pośpiech zadziałał przeciwko niemu.

Zawahał się i obejrzał za siebie. Spokój na powrót zawładnął cienistym krajobrazem, a noc wydała się ciemniejsza i mniej znajoma. Cisza była jak żywa istota i Ben czuł, że mu się przygląda.

- Jesteś tam? - Chciał zawołać, ale mimowolnie zniżył głos do szeptu.

Nikt nie odpowiedział, ale wciąż miał wrażenie, że jest obserwowany, jakby patrzyły na niego znajome oczy. Odchrząknął i podniósł głos.

- Wyjdź - wrzasnął. - Musimy porozmawiać! Nic.

Płomień latarni znów zamigotał i Ben zrozumiał, że jeśli szybko nie znajdzie tego, kogo szuka, zgubi się w ciemnościach.

Spojrzał w górę. Przez gęste sklepienie gałęzi widać było przypominającą szron bladość. Dotyk księżyca na drzewach. Ben pokiwał głową. Jeśli straci latarnię, drogę powrotną odnajdzie, wychodząc wyżej. Księżyc świecił tak jasno, że można by przy nim czytać, i dopiero co zaczął swoje łowy na niebie. Ben miał przed sobą wiele godzin jasności, a Talbot Hall nie było wcale tak daleko.

Mimo to... Myśl o braku światła, choćby chwilowym, onieśmielała. Ben wyprostował się i głęboko odetchnął.

Przy pierwszym kroku latarnia znów zamigotała.

- Nie gaśnij - mruknął. Płomyczek jakby się uspokoił na te słowa. Zachęcony tym, Ben znów ruszył do przodu. Latarnia, chyba chcąc z niego zakpić, prawie zgasła.

Talbot przygryzł wargę. Światło księżyca pozwoli mu wrócić, ale nie znajdzie przy nim tego, czego szuka. Może lepiej dać sobie spokój i wrócić jutro. Potrząsnął latarnią i gdy płomyk zapłonął jaśniej, dostrzegł jakieś poruszenie po lewej - błysk księżyca na czymś, co poruszało się wśród drzew.

- Co, u diabła?

Próbował wypatrzeć to coś w gęstwinie, ale już zniknęło. Usłyszał szmer, odwrócił się. Znów coś mu mignęło. Nagle jakiś ciemny, rozmazany

kształt ruszył na niego z ogromną szybkością. Gdy go mijał, Ben usłyszał dziwny odgłos - jakby ktoś rozdzierał płachtę materiału.

Latarnia uderzyła o ubitą ziemię i potoczyła się w bok. Chwiejny płomyk na chwilę rozbłysł. Siła pchnięcia obróciła Bena. Gapił się tępo w niewłaściwą stronę, mrugając wytrzeszczonymi oczami. Świat skurczył się do otulającej go ciemności. Talbot usłyszał cichy szelest deszczu, jedna kropla, druga... Spojrzał w górę, zdziwiony, że nie czuje deszczu na twarzy. Niebo nad drzewami było czyste.

Uśmiechnął się krzywo do księżyca, nie rozumiejąc, jak w laską noc może padać. A potem popatrzył na krople rozpryskujące się dokoła. Ciemny deszcz. Czarny w świetle księżyca. Lśniący jak olej, pachnący świeżo ciętą miedzią. Ben otworzył usta, żeby skomentować jakoś ten dziwny deszcz, padający z jego własnego ciała, ale nie zdołał wydobyć głosu.

Usłyszał cichy odgłos, ktoś stąpał po mokrych liściach, A kiedy się obejrzał, zobaczył dziwną stopę. Dziwną, bosą, powykrzywianą. Nieludzką. Ale i nie zwierzęcą. Podniósł wzrok i ujrzał oczy tego, co stało obok niego. To nie były oczy człowieka, którego szukał. Były wielkie i żółte jak księżyc w porze żniw. Patrzyły na niego złowrogo i Ben poczuł, że serce staje mu w piersi.

Zrozumienie uderzyło go mocniej niż cios, który wytrącił mu latarnię. Wrzasnął, a potem rzucił się do ucieczki.

Jego żołądek był pełen rozpalonego żelaza. Przedzierając się przez krzaki, chwycił się obiema rękami za brzuch. Jego palce zacisnęły się na mokrych, wylewających się trzewiach. Umysł nie chciał pogodzić się z rzeczywistością, odrzucał to, co mu zrobiono. Pogodzić się znaczyło pozwolić na to okropieństwo, a tego nie mógł zrobić.

Biegł. Potykał się, zataczał, zostawiając za sobą coraz szerszy, czerwony ślad. Słyszał tylko własne rozpaczliwe sapanie i tupot stóp na listowiu. Ale był pewien, że coś go śledzi. Nie biegnie. Czai się.

- Boże... - wydyszał, ale głos mu się rwał. Zaryzykował spojrzenie za siebie. Tylko jedno.

Nic nie zobaczył. Księżyc malował korytarz wśród drzew upiornym światłem, ale nic się tam nie poruszało oprócz gałęzi, które Ben potracił.

- Proszę - szepnął. Modlił się o szansę. Znów spojrzął przed siebie.

Stało przed nim. Uderzył w stwora i poleciał w tył.

Z przerażeniem zrozumiał, że to coś obeszło go dookoła. Nie ścigało... kpiło z niego. Bawiło się nim.

Istota rzuciła się naprzód z zawrotną szybkością i Ben poczuł, że na policzku wykwitają mu linie ognia. Gorąca krew polalała się z ran, pociekła do ust i po szyi.

Odwrócił się i pobiegł prosto przed siebie przez gęste zarośla.

Nogi miał jak z żelaza, ale siłą woli zmuszał stopy do ruchu. Krzaki nagle się przerzedziły i wybiegł na niewielką polanę u stóp urwiska. Pośród splątanej trawy jasne kamienne stopnie prowadziły do masywnych drzwi.

Ben rozpoznał to miejsce. Znalazł się przy mauzoleum wykutym w skale urwiska. Patrzyły na niego starożytne rzeźby. zapomnianych bogów i bezimiennych królów. Olbrzymie wrota z brązu okute były grubymi, krzyżującymi się żelaznymi listwami. Panele między okuciami pokrywały zawile teksty modlitw i zaklęć tak starych, że większość została zapomniana. W umyśle Bena zabłysła nadzieja i pobiegł w tamtą stronę. Za sobą, w lesie, słyszał istotę przedzierającą się przez krzaki. Uniósł stopę na pierwszy stopień - choć ważyła tyle, co blok skalny - ale kiedy próbował podnieść drugą, nie mógł. Z krzykiem bólu i porażki runął na schody.

Jednak nawet wtedy Ben Talbot się nie poddał. Pełzł dalej, zostawiając za sobą czarno czerwony ślad jak krwawy ślimak. Wrota były blisko, otwarte. Gdyby tylko udało mu się do nich dotrzeć, mógłby wciągnąć się do środka i je zatrzasać. Te wielkie drzwi powstrzymałyby samo piekło.

Nagle usłyszał drapanie pazurów na kamiennych stopniach i zrozumiał, że nie zdoła dotrzeć do schronienia. Drętwiejącymi palcami sięgnął po nóż, ale istota wyrosła nad nim olbrzymia i straszna. Ostrze ze szczękiem spadło na zimne kamienie.

Ben słyszał, jak umiera. Widział rozdzierające go, uderzające z błyskawiczną prędkością pazury. Słyszał, jak pęka jego ubranie, jak trzaskają rozrywane ciało i ściętna, jak szpony zgrzytają na kościach. Słyszał to wszystko jakby z oddali, nie czując bólu, który musiał wstrząsać jego

nerwami. Słyszał, ale nie czuł. Więź łącząca go z poszarpanym ciałem stawała się coraz słabsza.

Istota pochyliła się nad nim i zobaczył te straszliwe żółte ślepie. Zobaczył w nich własne odbicie.

Nagle bestia przestała go rozszarpywać i odbiegła w noc. Ben patrzył na nią, jakby był zaledwie widzem makabrycznego przedstawienia. To nie jest prawda, to nie jest on. Powiew nocnego wiatru rozsunał gałęzie i nad urwiskiem pojawiła się rozkrzyczana twarz Bogini Nocy. Księżyc, w całej swojej obłąkanej chwale.

Na jego tle, na skraju urwiska, Ben zobaczył stworzenie, które na niego polowało. Istotę, która go zabiła. Olbrzymią, zniekształconą, niesamowitą sylwetkę na tle nieba.

- Nie... - wycharczał, kiedy to coś na urwisku odwróciło się i znikło, uciekając w świat. - Nie.

Ale tego protestu nie usłyszał nikt oprócz niego. Ciemność, która skradała się ze wszystkich stron, była czarna i bezkresna. Ostatnią rzeczą, jaką usłyszał, był przeciągły, straszny skowyt bestii, który wzbił się w nocne niebo z puszczy.

Nad światem pełny, biały księżyc przyglądał się temu wszystkiemu w triumfie i chwale.

Londyn, rok 1891

Wyciągnął rękę i wydobył czaszkę z grobu. Była stara i poobijana, brakowało jej szczęki, oczodoły wpatrywały się pusto przed siebie. Starł kurz z jej policzków i czoła i ujął ją jedną ręką, przyglądając się starym kościom. Spojrzenie czaszki i wzrok mężczyzny spotkały się, przez długą chwilę dzieląc się tajemnicami wieczności, niejasnymi prawdami grobu. - Ach - mruknął zbolalym głosem. - Biedny Yoryku! -Odwrócił się do towarzysza. - Znałem go, mój Horacy**(Fragmenty dramatu Williama Szekspira Hamlet, królewicz duński)*.

W ciemności, za rzędem świec tysiące niewidzialnych dłoni zaczęło bić brawo. Lawrence Talbot nawet nie drgnął, nie zerknął na publiczność choćby ukradkiem. Jego spojrzenie pozostało skupione na oczodołach czaszki, choć twarz wyraziła pół tuzina różnych emocji, gdy obracał ją w dłoni. Gdy patrzył na jej czoło, marszczył własne, jakby przypominał sobie dawne rozmowy; gdy ją odwracał, jego usta zdradzały smutek chłopca cierpiącego z powodu zawodu sprawionego nauczycielowi; gdy odchyłał ją w tył, uśmiechał się na wspomnienie niezliczonych chwil radości. Czekał, aż brawa ucichną, a gdy zgasły, powiedział cicho:

- ...był to człowiek niewyczerpany w żartach, niezrównanej fantazji, mało tysiąc razy piastował mię na ręku, a teraz -jakże mię jego widok odraża i aż w gardle ściska! Tu wisiały owe wargi, które nie wiem jak często całowałem. Gdzież są teraz twoje drwinki, twoje wyskoki, twoje śpiewki, twoje koncepty, przy których cały stół trząsł się od śmiechu? Nic że z nich nie pozostało na wyszydzenie swych własnych, tak teraz wyszczerzonych zębów?

Lawrence nie krzyczał ani nie zawodził. Mówił do czaszki z czułością. Wszyscy w teatrze nachylili się do przodu, żeby nie uronić nic z tej prywatnej rozmowy. Spijali słowa z jego ust, z napięciem wsłuchując się w cichy głos księcia Danii, bo - dla widowni - to nie był Lawrence Talbot, amerykański aktor, lecz sam Hamlet. Żywy, prawdziwy, kpina obnażający cierpienie swej udrećzonej duszy.

Słuchali go wszyscy oprócz jednego mężczyzny - dobrze ubranego bufona, dla którego Szekspir był nudziarzem, a oglądanie jego sztuki udręka.

Zanim Hamlet i Horacy weszli na cmentarz, mężczyźni opadła głowa i zasnął. Teraz jego chrapanie burzyło nastrój.

Lawrence był doświadczonym aktorem i nie pozwolił temu głupcowi wybić się z rytmu. Cisnął mu czaszkę na kolana i ciągnął kwestię, jakby ten gest był częścią scenariusza. Czaszka wylądowała twardo na podbrzuszu tamtego i mężczyzna wyprostował się gwałtownie w fotelu, czerwieniejąc, kiedy publiczność wybuchnęła śmiechem.

- Idźże teraz do gotowalni modnej damy i powiedz jej -ciągnął Lawrence, ściągając energię i wszystkie spojrzenia znów na środek sceny - że chociażby się na cal grubo malowała, przecież się takiej fizjonomii doczeka...

Miał na sobie frak z ciemnego aksamitu i rozpiętą na piersiach koszulę z żabotem. Jego czarne jak smoła, falujące włosy okalały twarz szorstką, zamyśloną, gniewną i przystojną. „Brutalnie przystojną”, jak określił ją recenzent z „Timesa”.

Lawrence wiedział, że wszyscy obecni w teatrze czytali tę recenzję i że połowa z nich przyszła tu właśnie z jej powodu. Kiedy zbliżył się do świateł, zobaczył za nimi rzędy I warzy bladych jak księżyc, zwróconych ku górze, ku niemu. Uwielbienie kobiet rozpałało w nim ogień, ale podobieństwo twarzy - wszystkich tak samo pozbawionych wyrazu i nie-rozumiejących - sprawiło, że poczuł się pusty, zimny. Wypatroszony.

Wykrzywił pełne usta w gniewnym grymasie. Wzięli to za uśmiech i Lawrence'a zalała fala braw.

Karta przypięta do drzwi garderoby głosiła: „Lawrence Talbot Wybitny amerykański tragik w roli melancholijnego Duńczyka w sztuce Williama Szekspira *Hamlet, królewicz duński*”.

Inspicjent ze stęknieniem pchnął drzwi. Przystąpił aksamitny frak i koronkową szmatkę należącą nie wiadomo do kogo i uchylił się przed szalonym wymachem aktorki, która demonstrowała chwiejny piruet, jednocześnie popijając szampana. Wyminął parę. Mężczyznę i kobietę? Dwie kobiety? Nie wiedział. Zignorował tuzin innych aktorów w różnych stadiach neglizżu i upojenia i postawił ciężką tacę na stole charakteryzatorskim. Zdjął z niej sześć schłodzonych butelek i czyste kieliszki, wziął kilka monet od Lawrence'a, starając się nie gapić na aktorkę w przezroczystej halce, ssącej fajkę do opium i szybko wymknął się z tego domu wariatów.

Na korytarzu minął innego inspicjenta, zgiętego pod ciężarem tacy wyładowanej ciepłymi bochnami chleba i tuzinem serów.

- Co się stało, Tom? - spytał tamten. - Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

Pierwszy inspicjent wskazał kciukiem za siebie.

- Właśnie wyszedłem z piekła, Barney. Przeklęta sodoma i gomora. - Nachylił się bliżej. - Niektóre z tych dam są niekompletnie ubrane.

Barney, starszy i bardziej doświadczony, uśmiechnął się szeroko.

- To nie są damy, chłopcze, jeśli wiesz, co mam na myśli. Poza tym... to tylko zabawa.

- Nie, jeśli się tamtędy przechodzi - poskarżył się Tom.

- Prawda, chłopcze. Ale zaczekaj do wiosny, aż będą wystawiać *Sen nocy letniej*. Nie potrafią wtedy utrzymać zadków w portkach, czy to panowie, czy panie.

Tom pokręcił głową.

- Mówię ci, Barney, to przez tych Amerykanów. Nieokrzeszańcy.

- A co to znaczy „nieokrzeszańcy”?

- Nie mają klasy ani dobrego urodzenia. Barney prychnął.

- I kto to mówi? Dwaj dorośli mężczyźni noszący tace z jedzeniem zwierzętom w zoo. Klasa i urodzenie. Nie przesadzasz aby czasem, chłopcze?

Jakaś dziewczyna gwałtownie otworzyła drzwi i wyrzała na korytarz. Miała na szyi czerwoną jedwabną wstążkę i nic poza tym. Wstęgi dymu z opium oplatały jej uda niczym lubieżne palce.

- To jedzenie? Rusz tu swój sękaty zadek, cholerny stary łajdaku!

Trzasnęła drzwiami. Barney i Tom popatrzyli na siebie przeciągle.

- Nie - przyznał Barney. - Masz rację. Wziął głęboki oddech i ruszył do garderoby Lawrence'a Talbota.

Lawrence ledwie zauważał szalejącą wokół niego rozpustę. Nie była dla niego niczym nowym, a wraz z przyzwyczajeniem przyszła pogarda dla przesady. Zabawa była niezbędna, bo tym interesowały się gazety, a one z kolei przyciągały publiczność. Tyle że dawno przestał go już bawić fakt, że rzędy teatralnych foteli wypełniali durnie, którzy przychodzili, by ogrzać się w świetle chwały jego legendarnych wyskoków, a potem wracali, bo podobała im się jego gra. Co za ironia. Kosmiczny żart. Bardzo ucieszne.

Westchnął i upił wina z pucharu zdobionego klejnotami. Był to rekwizyt, kielich, z którego Gertruda piła truciznę w scenie swojej śmierci w ostatnim akcie. Lawrence popatrzył w lustro, szukając aktorki grającej jego „matkę”. Miała spódnicę podciągniętą do pasa i siedziała okrakiem na młodym byczku, odtwórcy roli Rozenkranca. W tej chwili wprost kipiała życiem. Obok splecionej pary impresario całował nad-garstek jednej z charakterzatek. Z rozbawieniem skinął głową Lawrence'owi, jak Pan Bachusowi. Lawrence odpowiedział mu skinieniem i odwrócił się z powrotem do lustra. Był nagi od pasa w górę - koronkową, marszczoną koszulę zerwała z niego... Boże, nie potrafił sobie przypomnieć imienia dziewczyny, z którą całował się przez dwadzieścia minut po przedstawieniu. I co z tego. Całowała się z teraz Poloniuszem. Opadł na krzesło, popijając wino, pogrążony w rozważaniach równie ponurych, jak rozmyślenia postaci, którą grał. Ironia tego faktu także nie uszła jego uwagi. Przyływ energii Wywołany występem minał i znów ogarniała go czarna fala depresji. Zawsze tak było. Żył tylko na scenie. Był sobą tylko wtedy, kiedy grał kogoś innego. Tutaj, gdzie wszystko było prawdziwe, Lawrence czuł się pretensjonalny, sztuczny i obcy.

Burza jasnych loków zasłoniła mu widok lustra - to Ofelia nachyliła się, żeby go pocałować. Była bardzo pijana i niemal naga, ale w pocałunek

włożyła całą siebie, Bóg z nią. Lawrence opierał się przez krótką chwilę, potem jednak dał się ponieść. To też była swego rodzaju gra, a on nie lubił sprawiać zawodu widowni. Gorące wargi Ofelii przesunęły się z jego ust na policzki, podbródek, uszy i szyję. Lawrence poczuł mrowienie na całym ciele. Płonące pocałunki zeszły niżej na jego pierś...

- Niegrzeczna dziewczyna.

Kiedy z wprawą artystki uszczypnęła go zębami, garderoba zawirowała mu przed oczami. Boże! Co ona mu robi...

- Lawrence...

Wyprostował się gwałtownie i obejrzał, szukając źródła głosu, ale za nim nie było nikogo. Dziewczyna podniosła wzrok.

- Co się stało, kochanie? Bolało?

- Co? Nie... nie - odparł z roztargnieniem. - Wydawało mi się, że słyszałem...

Nie dokończył. To, co mu się wydawało, było... Niemożliwe. Choć jeszcze przed chwilą gotów był przysiąc, że słyszał, jak jego brat Benjamin wypowiada jego imię. Nie Ben, dorosły mężczyzna, jakim był teraz, ale Ben sprzed lat, chłopiec.

Nagle hałas, dym i śmiech stały się nieprzyjemnie głośne i drażniące. Garderoba zaczęła się rozmywać i Lawrence zamrugał. W chwili trzeźwości to, co wokół siebie widział, zmieniło się z rzymskiej orgii - doskonałej w każdym grzesznym znaczeniu tego słowa - w coś ułomnego i złego. Nagle poczuł obrzydzenie. Odepchnął kobietę.

- Co się stało?

Oparł się pokusie, by na nią warknąć. Przełknął słowa, które wzbierały mu w gardle jak żółć.

- Nic - powiedział - po prostu... boli mnie głowa. Dziewczyna uśmiechnęła się i przysunęła bliżej.

- Założę się, że dzięki mnie zapomnisz, że w ogóle masz głowę, a co dopiero, że boli...

- Nie - odrzekł szybko. Wstał i zerwał z oparcia krzesła szlafrok. - Nie trzeba. Muszę tylko zaczerpnąć powietrza.

Wepchnął ręce w rękawy szlafroka i otulił się jego połami, jakby mogły go osłonić przed plugastwem. Kilkoro rozbawionych aktorów rzuciło mu

zaciekawione spojrzenia, ale Lawrence tylko pokręcił głową, przecisnął się do drzwi, otworzył je, zbiegł po schodach i pchnął drzwi wychodzące do zaułka. Zimne powietrze przeniknęło cienki materiał szlafroka, przyprawiając go o gęsią skórkę, ale przynajmniej mógł tu oddychać.

Otworzył oczy. Był sam. Zawsze jest sam, nieważne, w jak gęstym tłumie, nieważne, ile gości jest na przyjęciu.

- Ben... - powiedział na głos, ale imię jego brata odbiło się pustym echem od ceglanych ścian zaułka i zniknęło w bezkresnej czerni nieba.

Lawrence podszedł nago do okna. Wiatr był chłodny i wilgotny, zasłony poruszały się jak w zwolnionym tempie. Odkąd wyszedł z przyjęcia, wszystko wydawało mu się nierzeczywiste, jakby znalazł się w jednej z niszowych francuskich sztuk, które nie miały sensu nawet dla ich autorów.

Widział za zasłonami białą twarz księżycą, olbrzymią i pełną, ale kiedy je rozsunał, zobaczył, że to tylko tarcza Big Bena. Równie zimna, ale o wiele mniej groźna. Oparł się o framugę okna, patrząc, jak mgła znad Tamizy wije się jak kłębowisko węży na oświetlonych gazowymi latarniami ulicach. Była to typowa gęsta londyńska mgła niczym całun przesłaniająca większą część wieży zegara i praktycznie całe miasto.

Za Lawrencem rozległ się cichy pomruk. Aktor odwrócił się i popatrzył na leżącą w łóżku kobietę. Była piękna i wspaniale zbudowana. Mglista poświata malowała jej nagą skórę porcelanową bielą. Ciemne włosy okalały śliczną twarz jak orzechowa chmura. Jej sutki były ciemne, usta rozchylone, czarne rzęsy opadały na doskonale policzki. Patrzył na nią, ale jej nie widział. Pograżony w melancholii i znużeniu pozwolił, by zawładnęła nim podświadomość. Osunął się w senne wspomnienie, kłębiące się wokół niego jak opar, przenosząc się w inny czas i miejsce...

Dziewięcioletni Lawrence Talbot był chudym dzieckiem. Brakowało mu jeszcze siły, brakowało muskulatury drapieżnika, którym miał się stać - przemierzającego sceny i aleje największych miast świata. Był blady i zamyślony jak poeta, często pograżony w marzeniach, którymi z nikim się nie dzielił.

Z nikim oprócz matki. Solana Talbot знаła wszystkie tajemnice syna. Lawrence leżał z głową na jej kolanach. Jego ciemne loki plątały się z wymyślnymi haftami jej sukni, jakby wciąż, tyle lat po narodzinach, był z nią złączony. Śpiewała mu hiszpańską piosenkę, wesołą wiejską balladę tak starą, że jej znaczenie zmieniło się setki razy w ciągu tylu lat. Chłopiec leżał z zamkniętymi oczami, zasłuchany, pograżony w marzeniach, prowadzony melodią i obietnicą ukrytą w słowach...

Talbot leżał w wielkim hotelowym łóżku, przytomny, w środku długiej, niekończącej się nocy. Kobieta powitała go z powrotem sennym mruknięciem i przytuliła się do niego. Pozwolił jej na to, choć nie sprawiło mu to przyjemności. Nie tutaj chciał być. Nie z nią chciał być.

Nie tym chciał być.

Noc zdawała się nie mieć końca. Statki na rzece ryczały ostrzeżenia stłumionymi syrenami, które brzmiały jak jęki umarłych. Przez otwarte okno, za czarną iglicą Big Bena, Lawrence widział, jak noc rozchyła swoją szatę i odsłania nabrzmiałą, białą pierś księżycy.

Pragnął wyrwać się ze swojej skóry i stać się kimś innym. Każdym, byle nie był dłużej przeklętym Lawrence'em Talbotem. Nienawidził życia w masce człowieka, którym się stał. Zamknął oczy i spróbował zasnąć. Ale to też było kłamstwo.

Rano, kiedy kobieta wyszła, ktoś dyskretnie zapukał do drzwi. Lawrence otworzył i zobaczył gońca w liberii, trzymającego kopertę.

- Przepraszam, że panu przeszkadzam - powiedział przybysz - ale przed chwilą to dostarczono, a list jest oznaczony jako pilny.

Podał kopertę Lawrence'owi. Ten wymamrotał coś w podzięcie i wepchnął mu w dłoń garść monet. Potem, ignorując wdzięczny uśmiech posłańca, zatrzasnął drzwi.

Na kopercie wypisane kobiecą ręką widniało jego nazwisko i adres hotelu. Uniósł list pod światło i zobaczył, że rozmazany stempel pocztowy pochodzi z Blackmoor w Northumbrii.

Dom, pomyślał. Czy raczej miejsce, które było jego domem milion lat temu. Kto wiedział, że jest w Londynie? Ben?

Rozerwał kopertę i przeczytał pojedynczą kartkę.

- Boże... - sapnął.

Pięć minut później biegł po dorożkę, która miała go zawieźć na dworzec.

4.

Northumbria

Pociąg był stary i chociaż wagon pierwszej klasy odnowiono, wciąż skrzypiał i trzeszczał, tocząc się przez stary most nad głęboką rozpadliną, przecinającą zieloną dziczą Northumbrii. Kilka mil wcześniej Lawrence zdołał wreszcie usadowić się wygodnie. Zdjął płaszcz i założył nogę na nogę. Prosta, pozbawiona ozdób laskę położył obok siebie na siedzeniu, nie chcąc, by ktokolwiek usiadł za blisko.

W dłoni trzymał dagerotyp. Przez ostatni kwadrans na przemian to przyglądał się mu, to wyglądał przez okno na falujące wzgórza. Na zdjęciu on i Ben stali obok matki. Świadomość, że odeszły dwie najbliższe mu osoby, burzyła jego spokój. Matka zmarła wiele lat wcześniej. Teraz zaginał Ben. Co do niego samego... Całe życie czuł się oderwany od rzeczywistości, jak duch nawiedzający życie nieznanego o nazwisku Lawrence Talbot.

Przesunął palcem po fałdach sukni matki na zdjęciu, a potem dotknął Bena, nad sercem.

Gdzie jesteś, Benjaminie?

Nawet jeśli brat odnajdzie się cały i zdrowy - a tak z pewnością będzie - stare zdjęcie było kłamstwem, kłującym Lawrence w serce jak cierń. Na fotografii wszyscy byli szczęśliwi, stanowili rodzinę. Każdy, kto by na nią spojrział, zobaczyłby szczęście i jedność. Życie i możliwości. Same kłamstwa. Obietnice złamane bezlitosnym okrucieństwem losu.

- Pańska matka?

Lawrence podniósł wzrok znad zdjęcia i zerknął na siedzącego naprzeciwko starszego mężczyznę, jedyne poza nim pasażera przedziału. Mężczyzna, mimo podeszłego wieku, wyglądał zdrowo. Był ubrany zgodnie z francuską modą w wytworny, prosto skrojony strój. Widać było, że jest bogaty. Lawrence rozpoznawał bogaczy w mgnieniu oka, ale sam ich nie naśladował. Choć był zamożny, nosił się bardziej krzykliwie, jak przystało znanemu aktorowi, choć być może nieco zbyt ekstrawagancko jak na tragika.

Jego współpasażer ubierał się z niewymuszoną elegancją kogoś, kto ma pieniądze od tak dawna, że stały się dla niego codziennością.

- Tak - odparł Lawrence. Starzec pokiwał głową.

- Moje najstarsze wspomnienie dotyczy matki - powiedział z prowincjonalnym akcentem, choć widać było, że jest wykształcony. Siedział wygodnie z dłońmi opartymi na lasce z rączką w kształcie srebrnej zwierzęcej głowy. Pies myśliwski albo wilk, pomyślał Lawrence. Nie miał pewności.

- W takim razie coś nas łączy, monsieur.

- W moim wspomnieniu zbieramy winogrona w winnicy jej ojca. - Francuz uśmiechnął się tęsknie. - To mój Eden.

Lawrence poczuł, że jego pancierz twardnieje. Miał teraz za dużo na głowie, żeby bawić się we wspominki z tym starym francuskim głupcem. Uśmiechnął się lekko, ale nie odpowiedział, nie chcąc zachęcać starca do kontynuowania rozmowy.

Tamten, pograżony we wspomnieniach, nie zwrócił na to uwagi.

- Ojcowie dają nam siłę potrzebną do przetrwania w tym okrutnym świecie, ale to dzięki matkom warto się starać. - Pokiwał głową, zadowolony z aforyzmu, a potem uniósł brew. -jedzie pan z wizytą do swojej?

Lawrence pomyślał, że prawda często bywa brutalna, ale nie potrafił zmienić scenariusza, który napisało dla niego życie.

- Matka zmarła niedługo po tym, jak zrobiono to zdjęcie. Ach! - Starzec, nie wydawał się speszony swoim faux pas.

- Mój dom rodzinny znajduje się w pobliżu Blackmoor -ciągnął Lawrence, zaskoczony swoją wylewnością. - Mieszkają tam brat i ojciec.

- Pański angielski... Proszę wybaczyć - zauważył Francuz - ale pański akcent...

- Długo mieszkałem w Ameryce - odparł Lawrence. - Bardzo długo.

Francuz się uśmiechnął.

- Ach... niespokojny duch?

Powiedział to swobodnym tonem, ale Lawrence wyczuł, że nie była to przypadkowa uwaga.

- Niezupełnie - odparł zmienionym głosem.

- Och, w takim razie bratnia dusza na wygnaniu.

Z jakiegoś powodu rozbawiło to Lawrence'a. Uśmiechnął się.

- Tak, chyba można tak powiedzieć.

Francuz opadł miękko na poduszki oparcia. Koła pociągu stukały na torach. Długimi, zręcznymi palcami starzec obrócił powoli drzewce laski, co wyglądało tak, jakby srebrna głowa rozglądała się po całym przedziale. Lawrence zobaczył wyraźnie, że to wilk, groźnie szczerzący kły. Laska była piękna, ale z jakiegoś powodu również odrażająca.

Wykonała ostatni obrót i kiedy wilczy łeb zwrócił się w jego stronę, Lawrence poczuł - choć wydawało mu się to absurdalne - że z martwego metalu patrzy na niego ślepią prawdziwego wilka. Z wysiłkiem oderwał oczy od laski i przelotnie pochwycił zainteresowany wzrok Francuza, jego bystre, przenikliwe spojrzenie i tajemniczy uśmiech. I nagle starzec był na powrót stary i pomarszczony, a laska zmieniła się w zwykły przedmiot z drewna i metalu.

- Na wrzosowiskach przydaje się dobra laska - powiedział z namysłem Francuz. - Tę kupiłem w Gevaudan... och, wydaje się, że setki lat temu. Śliczna, prawda? Dzieło mistrza, ucznia Pierre'a Germaina. Zna pan prace Germaina? To jeden z artystów rokoka. Przepiękna sztuka, taka żywa. - Nachylił się i uśmiechnął, ciepło, zachęcająco. - Uczyniłby mi pan wielki honor...

Chwycił wyszczerzony pysk wilka, zręcznym ruchem nadgarstka odblokował ukrytą zapadkę i odciągnął główkę od drzewca. Nie do końca, tylko tyle, by na szerokość dłoni odsłonić ostrą szpadę, ukrytą w sercu laski. Lawrence wstrzymał oddech, ale Francuz tylko uśmiechnął się dobrodusznie i z cichym szcęknięciem schował ostrze. Ujął laskę w pokryte wątrobowymi plamami dłonie i wyciągnął ją do Lawrence'a.

- Ja... ja nie mogę - wyjąkał Talbot, wytracony z równowagi zarówno ukrytą zawartością daru, jak i spojrzeniem Francuza, który twierdził, że kupił przedmiot setki lat temu. - Prawie się nie znamy. - Podniósł własną laskę, elegancką, ale niemogącą się równać ani wykonaniem, ani wymyślnością z laską Francuza. - Ta służy mi całkiem...

Francuz przerwał mu, wybuchając śmiechem i kręcąc głową.

- Nonsens! Byłbym niezwykle rad, wiedząc, że moja stara laska jest w rękach kulturalnego człowieka. Poza tym... jest już dla mnie trochę za ciężka.

Lawrence otworzył usta, żeby ponownie odmówić, ale starzec go uprzedził.

To jeden z nielicznych przywilejów starości - powiedział - przekazywać swoje brzemie młodemu, Znow wyciągnął laskę.

Merci- rzekł Lawrence po długiej pauzie. Przyjął prezent z wdzięcznym skinieniem głowy.

- Od wygnańca dla wygnańca - odparł cicho starzec, Laska była lekka, ale mocna. Ciężką srebrną główkę równoważyła gruba, mosiężna gałka, nosząca ślady częstego używania. Drewno było gładkie i piękne, o gęstych słojach. - Jest pan zbyt łaskawy - mruknął Lawrence.

- Skądże.

Lawrence wziął własną laskę i wyciągnął ją do starszego mężczyzny, boleśnie świadom, że nie może się równać z tą, którą otrzymał.

- Nalegam, żeby wziął pan moją w zamian.

Uśmiech starego Francuza był wielkoduszny, ale na jego pomarszczonej twarzy malowało się też inne uczucie. Kiedy brał laskę, musnął palcem dłoń Lawrence'a. Był to przypadek, ale ten omal się nie wzdrygnął. Skóra Francuza była zimna jak grobowiec i dziwnie szorstka. Starzec przymknął powieki, opadł na oparcie i obejrzał swoją nową laskę. Na jego ustach igrał zagadkowy uśmiech.

Pociąg zagwizdał jak upiór, pędząc między powykrzywianymi drzewami i gęstymi pnączami Northumbrii.

Niedaleko Blackmoor

Wiejska droga wila się wśród lasów starszych niż wszystkie ludzkie rasy - dzikie i cywilizowane - które przez wieki je zamieszkiwały. Rosły tu olbrzymie dęby o pniach niczym kamienne wieże. Wąwozy opadały w pełną pajęczyn ciemność, a niejedna ścieżka wiodła w serce bezdennych bagien.

Lawrence usiadł w kącie powozu, tak, żeby móc oglądać krajobraz, a zarazem mieć światło do czytania. List trzymał między kciukiem i palcem wskazującym i studiował go raz za razem. Papier był kosztowny, pismo staranne, pochylone, wyraźnie kobiece. Ponownie przeczytał tych kilka zdań, chyba po raz dwudziesty od kiedy dostarczono mu je do londyńskiego hotelu. Serce załomotało mu w piersi tak samo mocno i boleśnie jak w pierwszej chwili.

„Drogi Panie Talbot

Błagam, by wybaczył mi Pan mą nader poufałą i rozpaczliwą prośbę.

Sądzę, że Pański brat, Benjamin, wspominał o mnie w Waszej korespondencji: nazywam się Gwen Conliffe i jestem jego narzeczoną. Piszę, by Pana poinformować o zaginięciu jego brata. Nikt go nie widział od trzech tygodni i obawiamy się najgorszego.

Dowiedziałam się, że przebywa Pan w Anglii wraz ze swoją trupą teatralną. Jak rozumiem, obowiązki każą Panu niedługo wracać do Ameryki, ale błagam, by pomógł nam Pan go odnaleźć. Proszę przyjechać do Talbot Hall.

Potrzebujemy Pana pomocy”.

Z każdą linijką pismo było coraz bardziej rozognione, pióro zagłębiało się coraz rozpaczliwiej w papierze. Podpis był nieczytelny, a list przed złożeniem pospiesznie osuszono. Ta kobieta naprawdę się bała, uznał Lawrence.

Złożył kartkę i schował ją do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Poprawił ubranie, ale jego ręka znieruchomiała tam, gdzie spoczywał list. Nad sercem. Ben... - mruknął, Przez większość drogi kopyta koni dudniły głucho o ubita ziemię. Kiedy zaczęły stukać o kamienie, Lawrence wyjrzał przez okno. Powóz

przejeżdżał właśnie pod wielkim kamiennym łukiem, którego Lawrence spodziewał się już nigdy nie ujrzeć. Olbrzymi portal zwieńczony był sceną myśliwską ukazującą wyszczerzone ogary osaczające jelenia. W kamieniu wyrzeźbiono napis „Talbot Hall”, ale większość surowych, prostych liter ginęła w gęstwinie pnączy. Przejazd powozu spłoszył stado wyleniałych kruków, które wzbiły się w powietrze zakłócając popołudniową ciszę skrzekliwymi protestami. Lis z bielmem na oku, skryty w cieniu głązów odpadłych dawno temu z łuku przyglądał się przybyszom. Lawrence spojrzął za siebie, próbując przypomnieć sobie łuk taki jakim był kiedyś, ale w jego umyśle zażarzyły się jedynie węgielki wspomnienia, które dawno się już wypaliło.

Powóz toczył się przed siebie, szybko pokonując drogę niegdyś dumnie strzeżoną przez dwa rzędy buków. Diczki klonów i wysokie chwasty wdarły się w ich szeregi i teraz drzewa wyglądały jak szpaler żebraków. Łąki za nimi, kiedyś równo wykoszone, zarosły gąszczem dzikiej cebuli i podbiałem. Chwasty dusiły klomby, a niezamiecione liście leżały w gnijących stertach na brukowanym podejździe. Nawet kamienne ogary i wilki na marmurowych postumentach otaczające dziedziniec były szare od kurzu i oplatane pnączami.

Powóz stanął. Lawrence zawahał się, zanim nacisnął kłamkę. Choć domyślał się, że od czasu jego dzieciństwa wiele musiało się zmienić, nie spodziewał się tak całkowitego rozkładu. Sam dom wyglądał na opuszczony. Większość okien była ciemna, w kilku popękały szyby, a przez pustą framugę na najwyższym piętrze wlatywały i wylatywały jedna po drugiej zięby, niosąc w dziobach robaki i gałązki.

- Jesteśmy na miejscu, proszę pana - powiedział woźnica, zwinnie zeskakując z kozła. Omiótł wzrokiem posiadłość, ale zachował swoje przemyślenia dla siebie, i ściągnął z bagażnika drogi kufer Lawrence'a. Zaniósł go na szczyt masywnych kamiennych schodów, postawił na boku przy drzwiach, a potem pospiesznie wrócił do powozu. Pasażer wciąż nie wysiadał, więc woźnica rozłożył stopień z kutego żelaza i otworzył drzwiczki.

- Talbot Hall, proszę pana.

Lawrence'owi przemknęło przez myśl, żeby kazać woźnicy przynieść kufer z powrotem i czym prędzej się stąd wynieść. Posmakował tych słów i czuł, że gładko przeszłyby mu przez gardło, ale potem wspomnienie dawnych czasów wkradło się w jego umysł jak złodziej. On i Ben, dwóch chłopców bawiących się w piratów, biegnących od drzwi pod osłonę drzew. Ben z drewnianym kordelasem, Lawrence z korzeniem w kształcie pistoletu skałkowego.

Gdzie jesteś, Benjaminie? - pomyślał po raz tysięczny, odkąd przeczytał rozpaczliwy list Gwen Conliffe. Wyjdź, wyjdź, gdziekolwiek się chowasz. Westchnął, wysiadł z powozu i stanął na kamieniach, po których biegali tysiące razy jako chłopcy. Ale to było, zanim piekło nawiedziło Talbot Hall, zabierając wszystko co wesołe i jasne. Teraz on i brat byli dorosłymi mężczyznami, którzy nigdy nie stanęli ze sobą twarzą w twarz. Lawrence zastanawiał się, czy będą jeszcze mieli okazję pospacerować razem po posiadłości jak zwykli młodzi mężczyźni, sącząc brandy i popalając cygara, rozmawiając o różnych światach, w których żyli. Bał się, że nigdy do tego nie dojdzie, nawet jeśli Ben odnajdzie się cały i zdrowy. Posiadłość była ruiną pozbawioną życia i radości.

Woźnica, człowiek niegłupi, wychwycił nastrój Lawrence'a.

- Mam zaczekać, proszę pana?

Lawrence patrzył na niego przez chwilę, wydymając usta.

W końcu pokręcił głową.

- Nie, dziękuję. Jesteś wolny.

Wręczył mężczyźnie garść nieprzeliczonych monet. Woźnica się rozpromienił i wspiał z powrotem na koziół. Konie ruszyły żwawo, jakby się cieszyły, że opuszczają to ponure miejsce. Wkrótce nawet echo stukotu ich kopyt znikło w dali, za łukiem i żelazną bramą. Lawrence stał nieruchomo, aż wokół niego zapadła cisza.

Ben...? - zawołał cicho, ale nie odpowiedziały mu nawet ptaki na drzewach. Westchnął i zaczął się wspinać po schodach. Drzwi były zamknięte, a Lawrence nie miał do nich klucza. Jako chłopiec go nie potrzebował, a nigdy nie był tu jako mężczyzna. Zastukał w grube drewno.

Chłodny powiew wiatru sypnął suchymi liśćmi po schodach, jakby nawet te martwe pamiątki jesieni pragnęły stąd uciec. Lawrence odwrócił się i rozejrzał. Nic nie zobaczył. Zastukał ponownie.

Nikt nie odpowiedział.

Powodowany nagłym impulsem chwycił gałkę drzwi. Był zaskoczony, gdy obróciła się w jego dłoni. Ciężki zamek szczęknął, a dębowe skrzydło uchyliło się, pchnięte. Lawrence otworzył je z wysiłkiem i wszedł do środka, zostawiając kufer na zewnątrz. Chociaż powóz odjechał, świadomość, że bagaż stoi na schodach dawała mu poczucie, że wciąż ma możliwość ucieczki.

Wszedł do środka. Po chwili oczy przyzwyczyły się do ponurego półmroku olbrzymiej sieni. Ściany wyłożone były boazerią, z zakurzonych płócien spoglądali surowo sędziwi krewni, a w głąb domu prowadził niegdyś cenny, teraz zaś wyjedzony przez mole turecki dywan.

Lawrence rozejrzał się, nasłuchując. Nic.

Cisza.

- Halo? - zawołał. - Ojczy? Nic.

- Ben? - krzyknął mimowolnie.

Jedynym dźwiękiem, jaki usłyszał, było miarowe tykanie starego zegara. Był to przynajmniej jakiś znak życia, ktoś musiał go nakręcać. Lawrence podszedł do podnóża podwójnych, rozchodzących się w przeciwne strony schodów, prowadzących na piętro. Między nimi wisiał gobelin przedstawiający dziwne stwory i bohaterów z indyjskich legend. Talbot przyglądał się mu przez chwilę, zafascynowany tak samo jak przed laty, kiedy jako mały chłopiec za każdym razem odkrywał nowe istoty i wojowników na tkaninie. Z roztargnieniem obrócił w palcach laskę - wilczy łeb pogonił w powietrzu sam za sobą. Potem westchnął, wsunął laskę w stojącą pod gobelinem pełną parasoli wazę z epoki Ming i odwrócił się, by zawołać jeszcze raz...

Ale natychmiast znieruchomiał, słysząc groźne warczenie. Z tyłu pędziło w jego kierunku coś wielkiego i porośniętego futrem.

Lawrence wrzasnął, zaszokowany, i odskoczył w tył, widząc olbrzymiego irlandzkiego wilczarza - dwieście funtów mięśni - galopującego ku niemu przez wielką sień, z potężnymi kłami wyszczerzonymi w czystej furii.

Cofał się, aż uderzył piętami o schody. Wszedł na nie i zaczął piąć się w górę, zwrócony przodem do psa. Zwierzę wciąż na niego napierało. Lawrence uniósł przedramię, osłaniając gardło, choć wiedział, że nawet gruba wełna jego płaszcza nie ochroni go przed ostrymi jak brzytwa kłami. Wilczarz zaczął szczekać, nisko i gardłowo, aż od jego ujadania zadygotała cała sień. Lawrence podskoczył i znów krzyknął, kiedy zderzył się z czymś, co siało za nim na schodach. Odwrócił się gwałtownie.

Ujrzał ojca.

Sir John Talbot, imponująca, wysoka postać, stał z olbrzymią strzelbą w rękach.

- Ja... - zaczął Lawrence. Niezdarnie cofnął się o krok, uwięziony między ujadającym wilczarzem i ojcem.

Spojrzenie sir Johna było chłodne i taksujące. Patrzył na syna, ale odezwał się do psa. Samson! Zwierzę natychmiast ucichło.

W sieni zapadła pełna napięcia cisza. Lawrence stał na najniższym stopniu, z jedną ręką na balustradzie, a drugą na wpół wyciągniętą w geście kontaktu - dłoń miał otwartą, jakby chciał dotknąć ojca. Zamiast tego przełknął ślinę i zrobił krok w tył, stając na podłodze. Bliżej psa, ale też bliżej laski. Nie wiedział, jak rozwinie się sytuacja, ale czuł, że to wszystko może się dla niego zakończyć bardzo niepomyślnie.

Sir John zszedł na dół i stanął przed synem. - Lawrence... - mruknął, a w jego oczach pojawiło się zaskoczenie. I zmieszanie, jakby właśnie się zbudził i odkrył, że postać ze snu pojawiła się razem z nim w rzeczywistym świecie. - Lawrence?

Lawrence odchrząknął.

- Witaj ojcze. Sir John zmierzył go wzrokiem.

- Patrzcie państwo - powiedział cicho. - Syn marnotrawny powrócił...

Lawrence się uśmiechnął.

Sir John zamrugał i spojrzał na wielką dwururkę Royal firmy Holland & Holland, którą trzymał w rękach. Uśmiechnął się ze zdumieniem, jakby zaskoczył go jej widok.

- Niewielu mam ostatnio gości - powiedział, łamiąc strzelbę i przewieszając ją dla wygody w zgięciu łokcia. Kiedy to zrobił, napięcie powoli opadło. Ojciec i syn stali, patrząc na siebie, pochłonięci odgadywaniem możliwych znaczeń tego spotkania. Obaj czuli, jak zalewają ich fale wspomnień.

- Mam zarznąć tłuste ciele? - spytał sir John ze smutnym uśmiechem.

Lawrence zeszywniał.

- Nie rób sobie kłopotu.

Sir John podszedł bliżej i jeszcze raz uważnie przyjrzał się synowi. Lawrence potrafił odczytywać wyrazy ludzkich twarzy, ale po obliczu ojca przemykało tyle różnych emocji, że nie mógł ich odszyfrować. W końcu sir John wolno pokiwał głową.

- Co? - spytał Lawrence.

- Często się zastanawiałem, jak wyglądasz.

- Wątpię.

- To szczerą prawdą.

Sir John miał na sobie gruby szlafrok wykończony lamparcim futrem. Jego włosy i broda były białe jak śnieg, a niebieskie oczy wciąż młode i pełne życia. Energia, którą emanował, stanowiła kompletne przeciwieństwo rozkładu, jakiemu uległa posiadłość, za to chłodny uśmiech idealnie współgrał z zimnym i pozbawionym wesołości domem.

- Tak - powiedział, bardziej do siebie niż do syna. - Często się zastanawiałem...

Lawrence nie wiedział, co odrzec. Nawet nie próbował się odezwać.

- Dobrze wyglądasz - powiedział zamiast tego. Sir John spojrzał na niego czujnie.

- Doprawdy? - Urwał. - Rozumiem, że przyjechałeś do brata?

- Oczywiście.

- Oczywiście - powtórzył jak echo ojciec.

- Są jakieś wieści?

Sir John nie odpowiedział. Odwrócił się i przeszedł przez sień do swojego gabinetu. Po chwili wahania Lawrence podążył za nim.

Gabinet należał do prawdziwego mężczyzny - stały tam kanapy, fotele i regały pełne ksiąg w różnych językach oraz stoły - niektóre zastawione butelkami wina i brandy, inne zawałone mapami. Na jednym leżała otwarta książka o astronomii. Wysokie okna z grubego ołowiowego szkła filtrowały światło słoneczne. Od kominka padał ciepły blask ognia. Na ścianach i w gablotach, jakich nie powstydziliby się muzeum, pełno było pistoletów, mieczy i starożytnej broni. Był to pokój mężczyzny, ale i drapieżnika - głowy dziesiątków zwierząt: nosorożców, lwów i niedźwiedzi, patrzyły smutno ze ścian, zawieszane obok lamparcich i tygrysich skór oraz tablicy, na której przymocowano pazury i zęby dziesięciu gatunków wielkich drapieżnych kotów.

Lawrence przystanął w drzwiach. Jego uwagę przykuło dziwne zachowanie ojca. Zlekceważył wystrój pokoju. Co prawda nie widział go od lat, ale przypadkowe spotkanie, takie jak to przed chwilą, powinno sprowokować go do jakiegoś ludzkiego odruchu. Zamiast tego sir John wydawał się rozkojarzony i zamknięty w sobie, niemal obojętny na obecność syna.

- Panna Conliffe dowiedziała się, że moja trupa zawitała do Londynu - zaczął Lawrence. - Zamierzałem zaprosić ciebie i Bena...

- Rozumiem - odparł sir John, zatrzymując się obok globusa i powoli przesuwając palcem po linii równoleżnika.

- Zamierzałem do was napisać - ciągnął młodszy Talbot. - Zaprosić was na przedstawienie. Ciebie i Bena...

Umilkł, kiedy ojciec się do niego odwrócił. Twarz starszego mężczyzny była dziwnie wykrzywiona, jakby fizycznie cierpiał.

- Cóż - powiedział cicho sir John. - Wyśmienity pomysł.

0 parę lat spóźniony, ale wyśmieniony.

Starął się mówić lekkim tonem, ale Lawrence widział, że coś jest nie w porządku. Następne słowa ojca potwierdziły to podejrzenie.

- Niestety, wczoraj rano w przydrożnym rowie znaleziono zwłoki twojego brata.

Lawrence miał wrażenie, że ktoś go uderzył. Zachwiał się i oparł o framugę drzwi.

- Dobry Boże! Co się stało?!

Spojrzenie sir Johna stało się zimne. Górę wzięła lodowata samokontrola, którą Lawrence pamiętał sprzed lat. Ojciec splótł dłonie za plecami i wyprostował się, jakby połknął kij. Jeśli żałował ran, jakie zadawał synowi swoimi słowami, nie dał tego po sobie poznać.

- Zakładam, że masz się w co ubrać na pogrzeb. Lawrence oniemiał. Usłyszał za sobą jakiś cichy dźwięk, dyskretne odchrząknięcie. Odwrócił się i zobaczył wysokiego Sikha w granatowym turbanie, luźnej tunice i spodniach.

- Sir Johnie, słyszałem Samsona, czy...

Sikh zamilkł, kiedy zobaczył, że mężczyzna stojący w drzwiach nie jest panem domu. Otworzył szeroko oczy i uśmiechnął się z zachwytem.

- Panicz Lawrence!

- Singh! - zawołał Lawrence, chwytając go za ramiona. - Mój Boże!

Singh patrzył na niego bardziej po ojcowsku niż sir John - mierzył go wzrokiem od stóp do głów, wyraźnie uradowany widokiem wysokiego, przystojnego mężczyzny. Chwilę później spochmurniał.

- Tak bardzo mi przykro, Lawrence. Wszyscy jesteśmy wstrząśnięci. To straszne, straszne, co się stało.

- Dziękuję ci, ja... - Lawrence nie mógł znaleźć słów. Sir John z irytacją zakręcił globusem i precyzyjnie przesunął się obok niego. Jego kroki zabrzmiały głośnym, gniewnym echem w sieni.

Lawrence i Singh patrzyli na jego wyprostowaną, oddalającą się postać. Służący spojrział Lawrence'owi w oczy, po czym wziął od niego płaszcz i kapelusz.

- Dobrze, że przyjechałeś.

- Czyżby?

Singh odwiesił płaszcz i zawahał się, zanim się odwrócił.

- Tak - powiedział. - Tak.

- Narzeczoną Bena... panną Conliffe?

- Jest tutaj - odparł Sikh. - Śpi na górze. Biedaczka jest w kiepskim stanie.

- Musi być zdruzgotana - zauważył Lawrence, zerkając w stronę schodów.

- Jutro przyjeżdża jej ojciec. Na pogrzeb. - Tak szybko? - Tak.

- To wszystko stało się tak nagle. - Lawrence pokręcił głową. - Gdzie... jest Ben? - Zajęto się nim - odparł Singh. - Chcę to zobaczyć. Skinh pokręcił głową. - Lepiej nie...

- Opowiedz mi o wszystkim.

Wioska Blackmoor

W stajniach za domem nie było już żadnego z koni, na których Lawrence jeździł jako dziecko, ale znalazł tam kilka innych wierzchowców. Osiodłał czarnego wałacha. Wyjeżdżając z Hall żałował, że koń nie może rozwinąć skrzydeł jak pegaz i odlecieć w dal. Nie z powrotem do Londynu. Nie - Lawrence chciał wrócić do Ameryki. Dom był tam, nie tutaj. To miejsce dawno przestało być jego domem i podejrzewał, że już nigdy się nim nie stanie.

Nawiedzało je zbyt wiele duchów.

Ben. Boże Wszechmogący, Ben!

Żył bez niego tak długo, że powinien lepiej poradzić sobie z tą tragedią, ale z każdą chwilą nóż smutku wbijał się coraz głębiej w jego serce. Benjamin. To niemożliwe, że nie żyje.

Nie teraz. Nie kiedy Lawrence był tutaj, w domu. To takie niesprawiedliwe. Talbot miał chęć wyrzесzczеć swój sprzeciw Bogu.

Poprowadził konia do kamiennego łuku. Tam zatrzymał się i oparł o mur. Uszły z niego wszystkie siły. W jednej dłoni ścisnął wodze, drugą zwinął w pięść.

- Ben... - szepnął, uderzając bokiem dłoni w kamienie. -Do diabła, Ben... Niech cię diabli!

Łzy napłynęły mu do oczu i pociekły po policzkach. Raz za razem uderzał pięścią w kamienie, a jego ciałem wstrząsało łkanie. Koń parsknął nerwowo, a kruki krakały w gałęziach drzew niczym hałaśliwi żałobnicy.

- Ben - powtórzył Lawrence cienkim i ochryłym głosem. - Przepraszam...

Miasteczko Blackmoor było małe i sielskie. Nic się tu nie zmieniło przez ostatnie trzydzieści lat, tak jak i zapewne przez sto poprzednich. Kryte strzechą domy wciąż stały pod dziwnymi kątami do drogi, jakby ich mieszkańcy nie chcieli pamiętać, że od sąsiadów dzieli ich zaledwie kilka metrów. Ogródki były zadbane, otoczone niskimi kamiennymi murkami obrośniętymi pnączami, a z kominów unosiły się smugi dymu. Jadąc drogą w

głęb osady, Lawrence zauważył kilku mieszkańców miasteczka - niektórzy stukali w ramię towarzyszy i pokazywali im nieznanego.

Usiłował przywołać na twarz dobroduszny uśmiech, ale każda próba kończyła się ponurym grymasem. Miejscowym było wszystko jedno - rzucali mu tylko taksujące, podejrzliwe spojrzenia.

Wjechał na plac targowy, z jednej strony zamknięty szarym masywem prezbiteriańskiego kościoła. Witraże w oknach przedstawiały sceny gniewu i surowego boskiego sądu. Był to ponury przybytek i Lawrence nie potrafił sobie wyobrazić, by *jego* brat - pogodny i uśmiechnięty Ben - miał się żenić w tej świątyni potępienia i smutku. Ale czy można sobie wyobrazić lepsze miejsce na pochówek? Lawrence miał wrażenie, że posępny wygląd kościoła odzwierciedla jego własny nastrój.

Na drugim krańcu placu stała gospoda. Lawrence wiedział, że cieszy się ona większą popularnością wśród stałych bywalców niż kościół. Minał oba budynki i boczną uliczką pojechał do wielkiego drewnianego gmachu o źle dobranej nazwie Czarny Lód. Chłodnia była jedynym miejscem pracy w miasteczku. Wielu mieszkańców Blackmoor zaczynało tu dorosłe życie - jeszcze jako chłopcy - i tu je kończyło, tak jak teraz Ben, jako ciało ułożone na bryłach lodu w oczekiwaniu na pogrzeb.

Lawrence omal nie zwymiotował na tę myśl, ale szybko wziął się w garść. Zsiadł z konia i przywiązał go do palika, Podszedł do wielkich wrót, lekko uchylonych. Na twarzy poczuł powiew chłodnego powietrza i zrozumiał, że wejście do środka będzie go słono kosztować.

Jeśli Ben to znosi, ja też mogę. Pchnął wrota i wszedł. Lawrence'owi nigdy jeszcze nie było tak zimno. Powietrze było duszne i wilgotne, a latarnie świeciły słabo w przytłaczającym półmroku. Szedł głównym przejściem, mijając puste drewniane skrzynie służące jako formy do lodu, wielkie piły tnące go na bryły i kostki, długie bloki lodu przykryte słomą, żeby wolniej się topiły, i boczne pomieszczenia, gdzie rzeźnicy przechowywali i rozbierali mięso.

Ben Talbot leżał na ostatniej bryle lodu na końcu rzędu, pod tylną ścianą budynku. Ktoś przykrył go całunem i chociaż kolor zbladł już do ciemnego brązu, Lawrence widział, że plamy na tkaninie były wcześniej

jasnoczerwone. Cierpiał, widząc brata w takim miejscu, leżącego na bryle lodu jak kawał wołowiny. Bezbronny, odartego z godności.

Samotnego.

Samego w tym zimnym i okropnym miejscu.

Wyciągnął drżącą rękę i ściągnął całun. Z początku odkrył tylko twarz brata. Przez długą chwilę usiłował nałożyć jego dziecięce rysy na twarz zmarłego. Ben miał zamknięte oczy, i choć był to gest łaski, ujmował mu też osobowości. Lawrence z trudem rozpoznawał w martwym mężczyźnie chłopca - brata - którego kochał.

Twarz Bena była odwrócona, widoczny policzek - gładki. Ale kiedy Lawrence się nachylił i przyjrzał uważniej, ze zgrozą spostrzegł, że drugi policzek jest rozorany od skroni do linii szczęki. Znaczyły go cztery długie, głębokie rany.

Drżącymi dłońmi ściągnął całun do pasa Bena.

- Dobry Boże!

Krzyknął i zatoczył się w tył, zakrywając usta dłonią. Poczł, że brakuje mu powietrza. Całe pomieszczenie zawirowało. Chwiejnie zrobił krok do przodu, uderzając udami o twardą lodową bryłę.

- Co... co... to zrobiło? - zapytał, ale odpowiedziało mu tylko echo.

Ben Talbot został wypatroszony jakimiś okrutnymi, dzikimi szponami. Jego muskularny brzuch był rozcięty jakby mieczem, jednak krawędzie ran wydawały się zbyt poszarpane, by zadało je stalowe ostrze. To były z całą pewnością ślady pazurów. Lawrence pomyślał, że tak okropne obrażenia mógł zadać jedynie tygrys albo niedźwiedź. Skóra Bena, bezkrwista i biała, zwisała jak strzępy płótna, a w ziejącej dziurze brzucha Lawrence widział prażkowane mięśnie, żółte krople tłuszczu, zwoje fioletowych jelit i ostre końce strzaskanych żeber.

Wyczuł za sobą ruch i się odwrócił. Zobaczył ponurego rzeźnika w poplamionym skórzanym fartuchu. Mężczyzna dotknął dłonią czoła.

- Pan Lawrence, jak mniemam? - spytał. Jego oddech parował w zimnym powietrzu. - Brat pana Benjamina? Lawrence pokiwał głową, niezdolny wydobyć słowa. Rzeźnik sięgnął obok niego i naciągnął całun z powrotem na zwłoki, zostawiając odkrytą twarz. Był to litościwy gest i Lawrence kiwnął głową w bezgłośnym podziękowaniu. Odwrócił głowę i zamrugnął, tłumiąc łzy.

Oparł się o drewnianą ścianę i oddychał głęboko, dopóki nie upewnił się, że nie zacznie płakać. Po kilku chwilach rzeźnik odchrząknął. - Wszystkim nam bardzo przykro z powodu śmierci pana brata. Był dobrym człowiekiem.

- Doprawdy? - spytał Lawrence nieobecny głosem. Odwrócił się i popatrzył na Bena. Przez ułamek chwili jego brat wyglądał jakby spał. - Przegapiłem całe jego życie... Rzeźnik zakłopotany przestąpił z nogi na nogę.

- Sir... może nie powinienem... Lawrence odwrócił się do niego.

- Niech pan mówi.

- Cóż, sir... pański ojciec polecił pogrzebać osobiste rzeczy pana Benjamina wraz z nim. - Sięgnął do obszernej kieszeni i wyciągnął z niej niewielką skórzaną torbę. - Ale byłoby szkoda. Zwłaszcza że jest pan jego bratem i w ogóle.

Wyciągnął torbę przed siebie w zakrwawionej ręce. Po krótkim wahaniu Lawrence ją wziął, mamrocząc nieskładne podziękowanie. Rzeźnik skinął głową i na powrót zniknął w półmroku chłodni. Talbot został jeszcze dziesięć minut, wpatrując się w twarz brata i przyciskając do piersi torbę z jego rzeczami. Czuł, jak serce tłucze mu o zaciśniętą pięść, trzymającą ostatnie przedmioty, których Ben dotykał przed śmiercią.

Potem wyszedł chwiejnie z chłodni na światło dnia.

Lawrence siedział nad szklanką whisky, pogrążony w najczarniejszych myślach. W gospodzie było ciemno, co świetnie pasowało do jego ponurego nastroju. Pod czernionymi belkami sufitu unosiła się chmura dymu z fajek i palonego torfu. Głosy pięćdziesięciu mężczyzn i garstki kobiet zlewały się w miarowy gwar, zagłuszający dźwięki rozstrojonego pianina i głos fałszującego pijaka, śpiewającego do granej przez pianistę melodii. Ośmioletni chłopiec przeszedł tyłem po sali, rozrzucając na podłodze trociny ze starego, skórzanego, okrętowego wiadra. Portrety na ścianach przedstawiały dumne oblicza miejscowej szlachty, hojnie wspierającej gospodę w różnych okresach jej długiej historii. Nad barem wisiał dwustuletni garłacz, a barman - były żeglarz o nikczemnym obliczu, z blizną po nożu nadającą mu wygląd pirata - ciągnął za rzeźbione w zwierzęce łby gałki nalewaka, napełniając cynowe kufle lokalnym ciemnym piwem.

Talbot zobaczył to wszystko, kiedy wszedł, ale niewiele go to obeszło. Znalazł stolik w kącie i usiadł, żeby przejrzeć rzeczy Bena i napić się mocnej miejscowej whisky. Trunek smakował podle, drapał w gardło i idealnie pasował do jego nastroju.

Popijał whisky i jednym palcem układał przedmioty w nierówny rząd na stole. Okulary do czytania były pogięte i porysowane - widać było, że Ben często ich używał. Lawrence zastanawiał się, czy brat został uczonym. Kiedy był mały, uwielbiał różne opowieści. Co czytał jako dorosły mężczyzna? Nie sądził, by Ben skłaniał się ku nauce - filozofia naturalna była pasją ich ojca, a jego brat był raczej marzycielem. Może czytywał powieści? Albo poezję. Lawrence postanowił się tego dowiedzieć. Gwen Conliffe na pewno wie coś więcej może zechce porozmawiać o rzeczach, które fascynowały Bena. Mógł też zagadnąć Singha. Nie zamierzał pytać ojca.

Wśród rzeczy Bena był kieszonkowy zegarek. Lawrence rozpoznał w nim pamiątkę należącą do ich dziadka ze strony matki. Nigdy go nie spotkali, ale matka rozdzieliła między nich jego rzeczy. Lawrence dostał srebrną cygarnicę, w której trzymał złapane świerszcze i inne owady. Myśl o tym omal nie wywołała uśmiechu na jego chmurnej twarzy. Potem przypominał

sobie, że stracił tę pamiątkę po śmierci matki, wraz ze wszystkim innym, co posiadał, i zmarszczył czoło jeszcze bardziej.

Zainteresowały go zwłaszcza dwa przedmioty i oba kilka razy brał do ręki. Jednym był dagerotyp Gwen Conliffe. Lawrence jeszcze jej nie poznał i oglądał zdjęcie z wielkim zainteresowaniem. Była piękną kobietą - wyjątkowo piękną, uznał, o inteligentnych oczach, które - przynajmniej na zdjęciu - zdradzały wielką łagodność, a może również mądrość. Pomimo zwyczaju przybierania surowych min podczas pozowania, na jej ustach igrał uśmiech przyprawiający o szybsze bicie serca. Choć ubrana była skromnie, suknia nie potrafiła ukryć bujnych kobiecych krągłości. Nawet ponury i wstawiony Lawrence zachował dość przytomności umysłu, by odczuwać kpiące rozbawienie faktem, że ta kobieta w prostej sukni pobudza jego pierwotne instynkty silniej niż setki nagich ciał, które miał na skinienie przez ostatnie kilka lat. Kiedy o tym pomyślał, na jego ustach wykwitł przelotny uśmiech.

Patrzył na zdjęcie i zastanawiał się, jaką kobietą jest Gwen. Jego matka była zarazem mądra i smutna, zabawna i skomplikowana. Niewiele kobiet, które Lawrence spotkał w teatrze - czy to wśród aktorek, czy rzeszy teatromanek, gotowych odrzucić konwenanse, aby nawiązać romans z „gwiazdorem” - miało choćby połowę jej rozumu i uroku, a żadna nie miała jej wdzięku. Patrzył na uśmiech Gwen Conliffe, na to, jak unosi brodę, na wyraz jej oczu i zdawało mu się, że widzi w jej rysach kobietę o osobowości bardziej złożonej, niż można by przypisać narzeczonej posiadacza ziemskiego. Jeśli rzeczywiście Ben aspirował do tego miana. Spostrzeżenie to zakłuło Lawrence'a. Tak wielu rzeczy nie wiedział o bracie. Skoro zdobył taką kobietę, musiał być wyjątkowym człowiekiem. Zrobiło mu się smutno, bo nie zrobił nic, żeby poznać brata bliżej. Długie lata jedynie do siebie pisywali. A teraz możliwość ta została mu już na zawsze odebrana.

Odłożył zdjęcie i wziął do ręki najdziwniejszy przedmiot, który odnalazł wśród rzeczy brata. Był to medalion na srebrnym łańcuszku. Podniósł go do światła, żeby przyjrzeć się obrazkowi wybitemu na metalowym krążku - mnichowi w średniowiecznym habicie otoczonemu ze wszystkich stron przez szczyrzące kły wilki. Dziwne, pomyślał. Nie potrafił powiedzieć, czy mnichowi grozi pożarcie, czy raczej jakaś niebiańska moc trzyma wilki w ryzach.

Odcisk był zbyt niedokładny, by oddać znaczenie tej sceny. Tak czy inaczej, medalion sprawił, że Lawrence poczuł się nieswojo. Zagłada czy zbawienie? Po co Ben go nosił? Co ten medalion znaczył dla brata? Rzeźnik powiedział, że znajdował się wśród jego rzeczy, nie na szyi. Czyli było to coś, co się przekazuje, a nie nosi.

Na wisior padł cień. Lawrence podniósł wzrok i zobaczył mężczyznę w średnim wieku, właściciela gospody. Karczmarz ruchem głowy wskazał pustą szklanę obok łokcia Talbota i uniósł trzymaną butelkę whisky.

- Dolać, sir?

Przytaknął i z roztargnieniem patrzył, jak tamten nalewa trunku do pełna i odchodzi. Przez moment wydawało mu się, że karczmarz go rozpoznał. Może po prostu dodał dwa do dwóch, pomyślał.

Grupa hałaśliwych mężczyzn zawołała o napitek. Karczmarz i jego pomocnik pospieszyli do nich z piwem i whisky. Mężczyźni siedzieli w luźnym kole wokół dużego stołu, na którym leżały nakrycia głowy - meloniki, czapki i cylindry - oraz stały najróżniejsze kufle i kieliszki. Lawrence przyjrzał się im pobieżnie, bo ściągali na siebie uwagę całej sali - byli to ludzie z rodzaju tych, co uważają się za dość ważnych, by mówić głośnie i mniej oględnie niż inni. Jeden z nich ubrany był na czarno, z koloratką - Lawrence uznał, że to miejscowy pastor. Obok siedział elegancki mężczyzna w drogim ubraniu.

Tutejszy dziedzic, zdecydował Lawrence. Następny był wyprostowany jak strzała człowiek o gęstych, siwiejących włosach, który wyglądał na byłego wojskowego - sądząc po patrycjuszowskich rysach, oficera. Dalej siedział mężczyzna o sumiastych wąsach i podejrzliwym spojrzeniu - niemal na pewno konstabl. Rozebrał się do koszuli, ale na oparciu krzesła wisiała służbowa marynarka. Łysy mężczyzna w okularach wyglądał na wykształconego i Lawrence uznał, że to nauczyciel lub lekarz. Jego sąsiad, barczysty i ogorzały, o przenikliwym spojrzeniu myśliwego, był zapewne włościaninem lub leśniczym - a z pewnością żył bliżej natury niż pozostali. Lawrence często się tak zabawiał - teraz też to robił, chcąc oderwać się od obezwładniającego żalu. Jak większość zawodowych aktorów potrafił trafnie odgadnąć czyjeś zajęcie po stroju, manierach i sposobie mówienia. Obserwowanie prawdziwych ludzi w codziennych sytuacjach było jedną z

rzeczy, które sprawiały, że był tak dobry w tym, co robił. Wystarczyło, żeby posłuchał, o czym rozmawiają przez dziesięć minut, a mógł przekonująco zagrać każdego z nich na scenie.

Mężczyźni mówili wszyscy naraz - każdy z nich próbował zdominować dyskusję, tak że ich głosy nakładały się i mieszały.

- Trudno będzie zastąpić młodego Tolanda - powiedział dziedzic. - Był jednym z moich najlepszych ludzi. Teraz mam na karku wdowę z piątką dzieci. Nie wspominając już, że straciłem dwie setki w zwierzętach. Dałbym jeszcze dwie za łeb bestii, która to zrobiła. - Pokręcił głową. - Wdowa i piątka dzieci...

- Żał mi sir Johna - zahuczał konstabl. - Biedny łajdak. Żeby tak stracić syna. Oczywiście jest trochę obłąkany, jeśli chcecie znać moje zdanie. A jeśli przez coś miałby postradać zmysły do końca, to właśnie przez to.

Dziedzic pociągnął nosem.

- Zastanawiam się, co się stanie z Talbot Hall, kiedy stary umrze.

Lawrence zacisnął dłoń na szklance whisky. Czy oni rozmawiają o mojej rodzinie?

- A niech mnie kule biją - powiedział konstabl do dziedzica. - Ależ z pana sęp.

- Wypraszam sobie! - zaprotestował ziemianin.

- Najpewniej jakiś dawno zapomniany krewny dostanie miły list od jego adwokata.

Odezwał się pastor, kierując rozmowę na sprawy mniej materialne:

- Widziałem ciała na własne oczy. - Nachylił się, a jego głos nabrał tajemniczości. - Nienaturalne rany. Zupełnie nienaturalne. Dzieło plugawej istoty, zaprawdę. Nie zwykłego zwierzęcia - dodał, rzucając pełne dezaprobaty spojrzenie konstablowi - jak chcieliby niektórzy.

Lawrence już miał się odezwać, ale się powstrzymał. Mocno zaciskał palce na szklance.

Wojskowy wydał usta. Jego głos pasował bardziej do placu ćwiczeń niż do zatłoczonej gospody.

- A jeśli to nie była bestia, tylko sprytny morderca? Ktoś, kto źle życzył tym ludziom?

- Co pan ma na myśli? - spytał dziedzic.

- To prosta taktyka. Chcąc zmylić władze, zabija swoje ofiary, a potem rozszarpuje ich ciała, pozorując atak dzikiej bestii. Widywałem już...

Wszyscy naraz zaprotestowali. Gwar się wzmaczał, aż zaczęli się przekrzykiwać.

Konstabl uderzył otwartą dłońią w stół.

- To niedorzeczne, pułkowniku! Kto zadawałby sobie tyle trudu? I po co ryzykowałby zabijanie kogoś więcej niż zamierzonej ofiary?

Pułkownik rozłożył ręce.

- Żeby ukryć prawdziwe zamiary, jak mówiłem, Przez całą kłótnię pastor kręcił głową, a teraz podniósł rękę, jakby chciał udzielić błogosławieństwa.

- Liczne są sługi szatana - powiedział żalobnym tonem. - Zły ma w zanadru ciała i postaci o wiele straszliwsze niż zwykłych ludzi i zwierzęta. Właściciel gospody pokręcił głową.

- A ten tańczący niedźwiedź Cyganów? To mógł być on. Pułkownik prychnął.

- To wyleniałe stworzenie miałoby zabić trzech dorosłych mężczyzn? Wątpliwe, Kirk, mocno wątpliwe. Karczmarz wzruszył ramionami.

- A więc co, panie pułkowniku? - Kiedy ten nie odpowiedział, Kirk zwrócił się do duchownego. - Zgadza się pan, pastorze Fisk, prawda?

Fisk wydał usta.

- To nie musiał być niedźwiedź - powiedział z powątpiewaniem - ale stoją za tym ci Cyganie. Zapamiętajcie moje słowa. Dotknęła nas klątwa, którą sami na siebie ściągnęliśmy, wpuszczając tych pogan między nas.

Mężczyzna o oczach myśliwego parsknął.

- Ci przekłeci Cyganie nie mieli z tym nic wspólnego i dobrze o tym wiecie.

Rozmowy przy stole ucichły, podobnie jak gwar w całej sali.

- Takie rzeczy zdarzały się już wcześniej.

- O czym mówisz, MacQueen? - spytał pułkownik.

MacQueen zapalił kciukiem zapałkę, przytrzymał ją nad fajką i mocno się zaciągnął. Choć ubrany był w prosty, znoszony strój, pozostali czekali, aż się odezwie, najwyraźniej ciekawi jego opinii. MacQueen wypuścił kłęb sinego dymu pod sufit i rozparł się wygodnie na krześle. Byстрыm wzrokiem zmierzył pozostałych mężczyzn, a kiedy się odezwał, jego głos był cichy i spokojny. Nawet Lawrence pochylił się do przodu, żeby go posłuchać.

- To było dwadzieścia pięć lat temu. Znalazł go mój tatko, w kamiennym kręgu. Quinn Noddy. Znał pan jego i jego rodzinę, pastora. Pan też, konstablu Nye. Noddy mieszkają w tej okolicy od dawna. Mój tatko wyjechał wcześniej rano, tropił krwawy ślad i myślał, że to jakiś zdziczały ogar. Znalazł Quinna Noddy'ego i jego stado rozszarpanych na kawałki, na wpół pożartych. Tak samo jak ci nieszczęśnicy. Mózg, flaki i Bóg wie co jeszcze leżały porozrzucane po wrzosowisku na ćwierć mili. A Quinn... wyraz twarzy miał taki, jakby go coś żarło żywcem.

- Dobry Boże - mruknął mężczyzna w okularach.

- Tak jest, doktorze Lloyd. Dobry Bóg nie ustrzegł tamtej nocy Quinna i jego owiec. Cokolwiek to zrobiło, było wielkie, miało pazury i nie robiło sobie nic z grubego śrutu, bo w strzelbie Quinna znaleźliśmy dwie puste gilzy. Quinn dobrze strzelał. Razem z moim tatkiem ustrzelili niejednego bażanta. Nigdy nie chybiał.

- Każdy może chybić - powiedział pułkownik, ale w jego głosie nie było przekonania.

MacQueen spojrzał na niego z wyższością.

- Gdyby coś zabijało całe stado pańskich owiec, pułkowniku Montford, chybiłby pan? Czy chybiłby pan, gdyby to coś było wystarczająco blisko, żeby rozedrzyć pana na strzępy? Może któryś z pana zielonych rekrutów tak, ale Quinn znał się na rzeczy i umiał przymierzyć. Ale nie było tam nic... ani ścierwa, ani juchy. Cokolwiek zabiło i rozerwało na kawałki Quinna i jego stado, nie sposób było zabić tego śrutem, ot co.

Doktor Lloyd chciał coś powiedzieć, ale zamknął usta. Konstabl Nye odchrząknął.

- Pański ojciec wiedział, co zabiło Noddy'ego? MacQueen uśmiechnął się tajemniczo. Nie był to przyjemny uśmiech. Possał fajkę.

- Cóż, drogi panie, wiem tylko, że kiedy mój tatko wrócił do domu, przetopił srebrne łyżeczki z posagu matki na kule. Zawsze miał taką w jednej lufie, a resztę w kieszeni, kiedy wychodził na wrzosowiska, nawet w środku dnia. - MacQueen przerwał. W gospodzie było cicho jak makiem zasiał. - A w nocy? Cóż... Od tamtej pory tatko nie wychodził z domu podczas pełni.

Pułkownik Montford się roześmiał, próbując umniejszyć efekt słów MacQueena. Jego śmiech zabrzmiał głucho.

- Dajże spokój, MacQueen. Doktor Lloyd popatrzył porozumiewawczo na pastora Fiska.

- Pański ojciec uważał, że to wilkołak? - spytał Montford. McQueen palił fajkę i milczał,

Dziedzic poklepał go po ramieniu.

- Pański ojciec był doskonałym leśniczym, niech spoczywa w pokoju... ale i prostą duszą.

- Strickland ma rację - przytaknął pułkownik. - Pana ojciec rzucał sól przez lewe ramię i odpukiwał w drewno przy każdej okazji. Sam widziałem, jak to robi.

Ziemianin pokiwał głową, ale MacQueen dalej siedział w milczeniu, otoczony siwym dymem z fajki niczym aurą.

Ciszę przerwał pastor Fisk. Zniżonym, niepewnym głosem powiedział:

- Być może, panie Strickland... a być może nie. MacQueen żyje bliżej natury niż my. Tacy jak on widzą rzeczy, które nam umykają. Poza tym... Mój wuj latami narzekał, że jego owce giną z rąk diabelskiej bestii.

Karczmarz odchrząknął.

- Moim zdaniem to robota niedźwiedzia. Przekłęci Cyganie. Nie trzeba się tu doszukiwać działań szatana, pastorze. Ci łajdacy bez przerwy włóczą się po okolicy, kalając wszystko swoją nikczemnością. Ledwie się pokazali, a dwa tygodnie później zdarza się coś takiego... - Pokręcił głową. - Moim zdaniem Ben Talbot pojechał do ich obozu wyobrać cygańską dziewczkę. Niedźwiedź go dopadł, a oni porzucili jego szczątki w rowie.

- Nie, nie - powiedział doktor Lloyd. - Wszystko ładnie pięknie, Kirk, ale jak w takim razie wytłumaczyć...?

Dziedzic Strickland nie dał mu dokończyć.

- Można by pomyśleć, że Talbotowie dostali już nauczkę, żeby nie zadawać się z Cyganami!

- Słusznie - przytaknął pułkownik Montford. - Pamiętacie tę czarnooką Salome, z którą ożenił się stary? Tę, co postradała rozum i się zabiła? Czy to nie była czasem cygańska ładaczka?

Lawrence poderwał się tak gwałtownie, że nogi jego krzesła zazgrzytały wściekle na podłodze. Podszedł wprost do stołu, przy którym siedzieli mężczyźni. Ci zaś zamilkli i spojrzeli na wysokiego, barczystego nieznanego. Grymas na twarzy Lawrence'a był tak wściekły, że większość z nich się wzdrygnęła.

- Tak, rzeczywiście była szalona - warknął Lawrence - skoro zgodziła się przyjechać do tej zasranej nory, którą nazywacie miastem!

Jego słowa wprawiły ich w osłupiałe milczenie, wszystkich oprócz na wpół głuchego pastora, który nachylił się do dziedzica.

- Co on powiedział?

Pułkownik Montford pierwszy się opanował.

- Za dużo wypieś, chłopcze - powiedział spokojnie.

- Czyżby? - prychnął Lawrence. - W takim razie pan musiał się kapać w dziedzie, skoro kłapie jadaczką o sprawach, o których nie ma pojęcia!

Montford zerwał się na nogi, tak że jego krzesło runęło z trzaskiem na podłogę. Czerwony z wściekłości stanął twarzą w twarz z Lawrence'em. Kirk ustawił się za pułkownikiem, a jego spojrzenie mówiło, że jeśli dojdzie do wymiany ciosów, weźmie stronę stałego bywalca przeciwko nieznanemu. Lawrence nie dbał o to. Nienawidził tych mężczyzn tak głęboko, jakby byli jego wrogami od lat. Wystarczyło to, co mówili o Benie, ale potem ośmielili się - ośmielili! - oczernić w tak podły sposób także jego matkę. Zacisnął pięści, gotów się na nich rzucić; gotów bronić honoru brata i utoczyć im krwi. Dał krok w stronę Montforda, z ustami wykrzywionymi w grymasie, który nadał jego twarzy wilczy rys.

- Ja... - zaczął, ale konstabl Nye zerwał się z krzesła i rzucił między Lawrence'a i pułkownika.

- Nic z tego! - ryknął.

- Wyrzuć go z mojej gospody, Nie! - warknął Kirk. Lawrence chciał wyminąć konstabla, ale ten go zatrzymał, kładąc mu rękę na piersi.

- Nie!

Lawrence popatrzył na jego dłoń, a potem delikatnie ją odsunął. Spojrzał na pułkownika z taką pogardą, że Montford aż się cofnął.

- Moja matka była markizą, ty durniu. Nazywała się Solana Montrosa de Verdad. - Splunął na podłogę. - I nie była Cyganką.

Z tymi słowy odwrócił się i wyszedł z sali, zostawiając za sobą ciszę tak głęboką, że zebrani w karczmie słyszeli cichy syk polan płonących w kominku po drugiej stronie izby.

Milczenie przerwał doktor Lloyd.

- To Lawrence Talbot.

Nye popatrzył na pułkownika Montforda przeciągle i nieprzyjemnie. Echo słów Lawrence'a nadal rozbrzmiewało w powietrzu wokół nich. Pułkownik się odwrócił, porwał ze stołu kieliszek wina i wychylił go jednym haustem. Potem bez słowa opadł na krzesło.

Słońce opadało ku zachodowi, barwiąc niebo resztkami promieni. Lawrence maszerował ulicą, wściekły, ze zwiniętymi pięściami i szczęką obolałą od zaciskania zębów. Boże, z chęcią sprząby ich na kwaśne jabłko, zwłaszcza tego nadętego bufona, pułkownika.

Gdy dotarł do kościoła, zawrócił na pięcie i ruszył z powrotem do gospody. Może właśnie należało wbić im trochę rozumu do głowy. Może tego było trzeba, żeby...

Nagle z cienia wyszedł konstabl Nye i zagroził mu drogę. Lawrence się pochylił, gotowy do walki, ale konstabl uśmiechnął się do niego smutno i wyciągnął mały woreczek z rzeczami Bena.

- Moje kondolencje, Talbot... Pora, żeby pan wrócił do domu.

Mężczyzna jeszcze mocniej zacisnął zęby. Spojrzał nad ramieniem Nye'a na drzwi gospody. Milczeli długą chwilę.

- Święta prawda.

Wciągnął powietrze przez nos, wypuścił je powoli i wziął woreczek od Nye'a. Kiedy zawrócił i ruszył do miejsca, gdzie przywiązał wałacha, konstabl poszedł za nim.

- Co się stało z moim bratem i tamtymi? - spytał Lawrence po kilku krokach.

Nye pokręcił głową.

- Najpewniej zaatakowało ich jakieś zwierzę.

- I co pan robi w tej sprawie?

Nye się zawahał. Lawrence przystanął i odwrócił się do niego. Był wyższy, więc konstabl musiał patrzeć w górę.

- Nic pan nie robi. Mimo wściekłości, jaka była od Lawrence'a, konstabl Nye nawet drgnął.

- Nie znalazłem żadnych nowych śladów zwierzęcia. Cokolwiek to było, pewnie powędrowało gdzieś dalej...

- A jeśli nie? - spytał Lawrence. - Co wtedy?

Nye nie odpowiedział. Było jasne, że już się nad tym zastanawiał i nie miał pojęcia, co robić.

- Tak myślałem - stwierdził Lawrence jadowitym tonem i odepchnął konstabla z drogi. Pomaszerował do konia, odwiązał wodze z kutej balustrady i wskoczył na siodło. Rzucił ponure spojrzenie Nye'owi i dłuższe, jeszcze mroczniejsze na drzwi gospody. Potem kiwnął głową, jakby podjął trudną decyzję i popędził konia do kłusa.

Ponury nastrój nie opuszczał Lawrence'a przez całą drogę do domu. Poprawił się dopiero, choć nieznacznie, kiedy Singh poinformował go, że sir John i Gwen Conliffe czekają na niego przy stole. Lawrence miał wciąż przed oczami zdjęcie młodej kobiety, jakby jej obraz wniknął mu pod skórę. Wykąpał się i ubrał, targany sprzecznymi emocjami. Gwen była narzeczoną Bena. Nie znał jej. Mimo to czuł do niej silny pociąg.

Pożądanie, poczucie winy i złość na mężczyznę z gospody były jak bandaże kryjące prawdziwą ranę - rozpacz. Lawrence wiedział o tym, a świadomość ta tylko go irytowała.

Podczas kolacji nadal miał zamęt w głowie. W rzeczywistości Gwen Conliffe była jeszcze piękniejsza niż na fotografii - młoda i tak śliczna i świeża, że olśniewające aktorki, z którymi dokazywał, nagle wydały mu się pospolite. Była nieskażona, niesplamiona. Miała jasną cerę, której nie zawdzięczała warstwie pudru i farbek, a jej oczy były jak bezdenne studnie. Żałobna czarna suknia, pięknie skrojona, nie ujmowała jej urody. W przeciwieństwie do niej sir John włożył staromodny strój. Elegancki, ale nie na miejscu, a do tego wyraźnie znoszony. Siwe włosy starca były niedbale uczesane, twarz niedokładnie ogolona. Lawrence nie miał żałobnego ubrania, włożył więc najciemniejszy garnitur i najskromniejszy krawat, jaki znalazł. Jadalnia również nie wyglądała stosownie do okazji. Wielka sala jadalna wymagała remontu, a mniejsza, w której siedzieli, przeznaczona była do spożywania nieformalnych posiłków, takich jak ten. Stół był jednak za wielki, draperie za ciężkie, boazeria zbyt ciemna, a na świeczniku płonęło zbyt wiele świec, przez co wnętrze raziło ostentacją na granicy klaustrofobii. Pod ścianami tłoczyły się szafki i stoliki, a sam stół jadalny uginał się pod ciężarem absurdalnie obfitej uczy. Lawrence podejrzewał, że Singh wykorzystał wszystkie srebrne tace, jakie znalazł w domu. Piętrzyły się na nich węgorek pieczone z cytryną i czarnym pieprzem, całe bażanty w gniazdach prażonych orzechów, pstrągi z rusztu, pieczone żeberka jagnięce w sosie miętowym i olbrzymi łeb dzika, któremu w pysk wepchnięto jabłko

większe niż pięć Lawrence'a. Obok stały miski pieczonych ziemniaków i ostatnie jesienne warzywa.

W normalnych okolicznościach Lawrence rzuciłby się na jedzenie z apetytem Rzymianina na bachanaliach, ale teraz uznał, że to za wiele i za wcześnie. Taka uczta bardziej pasowałaby do uroczystej stypy.

Przelotnie podchwycił spojrzenie Gwen, skubiącej rybny filet. Miała maniery eleganckiej londyńskiej damy, ale Lawrence nie znał jej jeszcze na tyle, by stwierdzić, czy idzie z nimi w parze londyński snobizm. Nie wiedział też, czy jej rezerwa wynika - podobnie jak u niego - ze smutku i skrępowania.

Zamienili ledwie dziesięć słów od chwili, kiedy sir John przedstawił ich sobie i zaprosił pannę Conliffe do stołu. Sam starzec zasiadł do uczty z zapalem i między wielkimi porcjami kolejnych mięs zgrabnie podtrzymywał rozmowę. Lawrence przyglądał się Gwen, patrzącej, jak jego ojciec sięga przez stół i odrywa sobie kolejne pieczone żeberko. Kruche kości trzasnęły, a on uśmiechnął się na ten dźwięk i wbił w mięso mocne białe zęby. Dziewczyna zaczerwieniła się lekko i odwróciła, nagle zainteresowana sztucami leżącymi obok talerza. Sir John musiał to spostrzec, bo rzucił spojrzenie najpierw Gwen, a potem Lawrence'owi.

- Mogłeś nas uprzedzić, że przyjeżdżasz - powiedział z pełnymi ustami. - Wiesz, mamy tu w Blackmoor telegraf.

Lawrence nie odpowiedział. Starał się nie przypatrywać Gwen, raz po raz odtwarzając w myślach chwilę, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy. On i ojciec już usiedli i sir John zaczął bez zbędnych wstępów jeść, kiedy otworzyły się drzwi zagraconej jadalni, Lawrence się odwrócił, a ojciec zwinnie zerwał się na nogi. Lawrence wstał powoli, zahipnotyzowany, pierwszy raz w życiu nieświadom emocji malujących się na jego twarzy.

Sir John był bardziej niezręcznym gospodarzem, niż można było podejrzewać. Zachowywał się szorstko, zaborczo a nawet nieuprzejmie - jednak tylko wobec Lawrence'a. W stosunku do Gwen odnosił się z przesadnym szacunkiem i grzecznością.

Teraz, pół godziny później, sir John wciąż jadł, a Gwen i Lawrence wydawali się czekać na sposobność, żeby uciec od stołu. Lawrence miał nadzieję nawiązać z dziewczyną kontakt wzrokowy i dać jej do zrozumienia, że myślą

o tym samym. Czy się uśmiechnie? Nawet smutny uśmiech byłby wspaniały na tak pięknej twarzy.

- Dziwi cię to?

Lawrence zamrugał, uświadamiając sobie, że ojciec mówi do niego. Dopiero po dłuższej chwili zrozumiał, że ojciec pije do swojej uwagi o telegrafii. Lawrence nie zamierzał chwycić przynęty. Uśmiechnął się obojętnie, skłonił głowę i napił się wina. Przynajmniej ono było świetne.

Sir John sięgnął po tacę i podał ją Gwen.

- Może pieczonego węgorza? Singh przeszedł sam siebie. Gwen się uśmiechnęła - również obojętnie - i wybrała kawałek ryby, który wyglądał na mniej żywy niż pozostałe.

- Lawrence wydaje się zaskoczony faktem, że linia telegraficzna sięga odludnego starego Blackmoor. - Sir John przez chwilę żuł w milczeniu. - A propos... słyszałem, że Amerykanie instalują nową sieć telefoniczną w okolicy Bostonu. Co pani na to?

- Doprawdy? - spytała Gwen z udawanym zainteresowaniem. Gdyby aktorka wygłosiła tak swoją kwestię, Lawrence by ją złąził, ale sir John był wyrozumiałym widzem i potraktował to jako zachętę do dalszej rozmowy.

- Chyba bym nie zniósł takiego natręctwa - powiedział starzec, nakładając sobie kolejną porcję węgorza. - Być na zawołanie byle kogo przez jedno urządzenie.

- Nie dziwię się - mruknął Lawrence i natychmiast tego pożałował, bo sir John spojrzał na niego wrogo. Przez chwilę w powietrzu wisiało napięcie, potem jednak stary Talbot zerknął ukradkiem na Gwen i wpakował do ust wielki kęs ryby.

Gwen wykorzystała tę chwilę, by zmienić temat. Skierowała szaroniebieskie oczy na Lawrence'a.

- Czy dom bardzo się zmienił, panie Talbot? Lawrence nie spojrzał na ojca.

- Blackmoor wydaje się takie samo, jak kiedy stąd wyjeżdżałem.

- Jak to? - burknął sir John.

Lawrence przybrał znudzony wyraz twarzy.

- Miejscowi mają najdziwniejsze pomysły.

- Tak - stwierdził sir John. - W istocie, to zaściankowa (łuszczą. Tępa. Zabobonna. Dla człowieka światowego, takiego jak ty, jesteśmy dzikusami z krańca świata...

- Nie zamierzałam wszczynać sprzeczki... – przerwała mu Gwen.

- Nie, nie - odparł sir John, zagłuszając jej protest. - Widziałem dzikusów z krańca świata. Mówię tylko, że prostych ludzi lekceważy się na własne ryzyko. Obruszony ton ojca rozbawił Lawrence'a. Napił się wina i rozsiadł wygodnie na krześle.

- Zastanawia mnie twój brak pewności siebie. Sir John uniósł brew, również rozbawiony.

- Och? A jak dobrze ty się czujesz we własnej skórze?

- Do wszystkiego można się przyzwyczaić - odparł Lawrence.

Rozległ się głośny szcęk metalu. Gwen cisnęła sztucę na stół i zaczęła wstawać. Lawrence uniósł się z krzesła, zgięty w półukłonie.

- Proszę - powiedział. - Niech pani zostanie.

Usiadła wyprostowana jak trzcina, ze spojrzeniem chłodnym i wyzywającym. W oczach sir Johna również kryło się wyzwanie, tyle że jego wzrok był rozpalony.

Lawrence wiedział, że tylko od niego zależy, jak rozwinie się sytuacja. Skinął głową Gwen i ojcu, kładąc dłoń na piersi bez cienia afektacji.

- Chciałbym was oboje przeprosić - powiedział. Mówił cicho, a jego głos brzmiał szczerze. - Za to, że nie przyjechałem wcześniej i w bardziej... szczęśliwych okolicznościach.

Dwie pary oczu dalej się w niego wpatrywały, więc Lawrence dodał:

- Będę tego żałował do końca życia.

Było to dramatyczne wyznanie, które miało złagodzić napięcie. Ale Lawrence spojrział w przepastne niebieskie oczy Gwen Conliffe i zrozumiał, że mówił szczerze.

Sir John opadł na oparcie krzesła i dolał sobie wina. Patrzył na syna badawczo. Gwen też przyglądała się Lawrence'owi. W końcu podjęła decyzję. Skinęła mu krótko głową, a kiedy to robiła, jej spojrzenie złagodniało. Odrobinę.

Reszta kolacji upłynęła w atmosferze uprzedzającej grzeczności. Wszyscy starannie unikali kontrowersyjnych czy drażliwych tematów. Kiedy Singh pozbierał talerze, Gwen pożegnała się i wyszła.

Talbotowie zostali sami. Lawrence spodziewał się, że ojciec wróci do ich sporu, ale zamiast tego sir John zaproponował, żeby przeszli do wielkiej sali na drinka. Syn zgodził się z radością.

Sir John nalał whisky do szklanek z rżniętego szkła. Łby zwierząt na ścianach patrzyły na niego ze szklistą obojętnością. Starzec zaniósł szklanki do dwóch foteli ustawionych przed huczącym ogniem. Lawrence stanął przy jednym z nich. Blask płomieni pełzał mu po twarzy, w ciemnych oczach odbijał się żar. Przyjął trunek ze skinieniem głowy i napił się aromatycznej single malt. Nie wzniesli toastu, nie stuknęli się nawet szklankami - byłby to gest absurdalny i dobrze o tym wiedzieli.

Sir John usiadł w jednym z foteli i spojrzał znad krawędzi szkła na stojak z masajskimi włóczniami, które kupił, zanim Lawrence się urodził. Wzrok miał nieobecny, jakby błakał się po równinach wspomnień.

Młodszy Talbot, popijając szkocką, zaczął przechadzać się po pokoju, przystając co chwila, żeby popatrzeć na myśliwską broń oraz wypchane zwierzęta, które padły jej ofiarą. Potem zauważył gazetę złożoną na sofie. Podniósł ją i otworzył. Ujrzał stronę z recenzjami teatralnymi „London Timesa”. Nagłówek głosił: „Hamlet w wykonaniu trupy Victoria Playersa. Sukces amerykańskiego tragika Lawrence'a Talbota”.

- Nigdy tego nie rozumiałem - powiedział ojciec. Lawrence odwrócił się i zobaczył go tuż za sobą. Nie słyszał, jak starzec podszedł. - Aktorstwa. Odgrywania innych ludzi... Ale, jak mniemam, ty jesteś za to ceniony. Sławny nawet. Może któregoś dnia sam się przekonam, o co to całe zamieszanie.

Lawrence rzucił gazetę na biurko.

Sir John wychylił resztę szkockiej. Nalewając kolejnego drinka, zerknął na syna, który przyglądał się pięknemu portretowi Solany Talbot, wiszącemu nad kominkiem. Starzec upił solidny łyk whisky.

- Była taka piękna - mruknął Lawrence.

- Bardzo kochała was obu.

Lawrence odwrócił się do ojca. Na usta znów wypełził mu nieprzyjemny grymas.

- Dlaczego odebrała sobie życie?

Sir John długo zwlekał z odpowiedzią.

- Nie wiem - odparł cicho.

Lawrence'a ogarnął bojowy nastrój. Wcześniejszy gniew wzniecił pożogę w jego sercu.

- A może to przez ciebie?

Ojciec odwrócił się od obrazu i spojrzał na niego z tak szczerym cierpieniem w oczach, że syn się zawahał.

- Za kogo mnie masz? Jaka cudaczną historię sobie wymyśliłeś?

- Nie odpowiedziałeś na pytanie.

- Twoja matka była królową. - Sir John odstawił szklanke i stanął przed synem. Przez kilka bolesnych chwil jego spojrzenie błądziło po twarzy Lawrence'a. - Kochałem ją szczerze, a ona nigdy nie dała mi powodu, żebym podniósł na nią głos, a co dopiero rękę. Tęsknię za nią każdej chwili.

Syn chciał coś powiedzieć, ale ojciec pokręcił głową. Jego oczy były mokre od łez.

- Nigdy przedtem nie spotkałem podobnej kobiety. Na tym nieszczęsnym świecie takie jak ona zjawiają się zbyt rzadko. Jeśli przyjmujemy, że ewolucja jest faktem, to takie jak ona powinny płodzić dzieci, żebyśmy mogli oddalać się od barbarzyństwa naszych przodków... i okrucieństwa nam współczesnych. Możliwe, że nie jesteśmy gotowi na taki krok do przodu. Możliwe, że na niego nie zasługujemy. Być może więc kobiety takie jak wasza matka nie są przeznaczone temu burzliwemu, choremu i okropnemu światu. Ona z pewnością nie była i świadomość tego mnie zabija. Świat ją ciemnił, ranił. Życie okazało się dla niej zbyt przerażające. Była dzielna i silna, ale w końcu, po wielu zmaganiach... przegrała.

W oczach sir Johna płonęły tęsknota i cierpienie. Przełknął ślinę i powoli zamrugał, jakby nagle przypomniał sobie, gdzie jest i z kim rozmawia.

- Czy to starczy ci za odpowiedź? - spytał cicho.

- Nie wiem, co...

Lawrence poczuł, że serce łomocze mu w piersi. Choć wiele razy wyobrażał sobie tę rozmowę, nie spodziewał się takich słów. Ani takiej szczerości. Prawda przeszła mu serce. Zajrzał ojcu głęboko w oczy, szukając kłamstwa, szukając potwora, za jakiego go uważał. Ale zobaczył jedynie ogromny, straszny, niezaleczony ból. Teraz zrozumiał. Ruinę domu, zaniedbanie ziemi, izolację. To nie był potwór, który odgradzał się od innych, bo byli mu obcy. Kierowało nim cierpienie. Chciał uciec przed rozpaczą.

Zamknął usta, zacisnął powieki i zaczął dla uspokojenia oddychać przez nos.

- Tak - powiedział.

Ojciec po dłuższej chwili pokiwał głową.

- Widziałem dzisiaj Bena. - Lawrence zmienił temat. - Jakie zwierzę mogło zrobić coś takiego?

- Nie mam pojęcia - odparł sir John, odwracając się do ognia. Obrócił szklanke w rozpostartych dłoniach. - Widziałem robotę niedźwiedzia komiackiego i tygrysa bengalskiego. Natury w swej najstraszliwszej postaci. Ale... nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

- Czy to mógł być człowiek? Sir John zerknął na syna.

- Człowiek? Pytasz o szaleńca grasującego po wrzosowiskach? - Pokręcił głową. - Po tym, jak zaginał, przeczesalem każdy cal okolicy. Wypłoszyłbym go psami. Ale kto wie? Rany są tak straszne, że... Chyba tylko człowiek jest zdolny do tak bezmyślnej brutalności. Zwierzęta zabijają, aby jeść albo żeby chronić swoje młode. Nie są okrutne. A rany zadane Benowi i pozostałym... to było bestialskie, jakby cierpienie ofiary było tak samo ważne jak potrzeba lodzenia.

- Miejscowi winią Cyganów - zauważył Lawrence.

- Winią ich o wszystko. Jeśli urodzi się martwe cielę albo kogut zapieje o niewłaściwej porze, to wina Cyganów. Są winni ledwie połowy tego, o co się ich oskarża, i odpowiadają za dwa razy więcej rzeczy, niż byłbyś gotów im przypisać.

Lawrence sięgnął do kieszeni i wyjął medalion. Podniósł go za srebrny łańcuszek, tak że wisior zakręcił się powoli, odbijając blask ognia.

- Znalazłem to wśród rzeczy Bena.

Sir John patrzył na syna przez dłuższą chwilę, potem wziął medalion. Obejrzał go uważnie, popijając whisky.

- Hm... Święty Kolumba. Irlandzki święty. Patron druciarzy i Cyganów.

- Czyli... Ben się z nimi zadawał?

- Tak. Miejscowa szlachta się im opłaca, dzięki czemu ograniczają swoją przestępczą działalność do minimum. To haracz, naturalnie, ale też częsta praktyka. Tu i gdzie indziej, pewnie wszędzie. Płacimy im w zamian za gwarancję, że ich pobyt będzie dla nas znośny. Kiedy sprzedadzą już miejscowym chłopcom całe wino i wszystkie kobiety, na jakie tamtych stać, jada dalej.

Sir John oddał medalik i odwrócił się, chcąc uniknąć badawczego spojrzenia syna. Jeszcze raz popatrzył na portret pięknej damy, którą obaj kiedyś kochali - nadal kochali - a potem wyszedł przez wielkie przeszkłone drzwi na taras.

Lawrence odprowadził go wzrokiem. Bardzo wyraźnie czuł, że patrzy na swojego ojca. Nie na złowrogi bohatera wszystkich lęków, złoczyńcę z mrocznych wyobrażeń, ale na ojca. Samotnego człowieka rozdartego przez żal zarówno ten dawny, jak i świeży.

Żal, który Lawrence z nim dzielił. Świadomość tej wspólnoty otworzyła w jego duszy drzwi, o których myślał, że zostały zamknięte na wieki.

Otarł łzy z oczu i wyszedł za ojcem na zewnątrz.

Taras był rozległy, przyozdobiony kamiennymi rzeźbami z zeszłego wieku. Sylwetki rosnących nieopodal drzew rozmywały się w wieczornym mroku; jedynie ich najwyższe gałęzie księżyc malował srebrem. Sir John nachylał się nad okularom wspaniałego starego teleskopu, majstersztyku sztuki szlifierskiej. Z wprawą kręcił delikatnymi, mosiężnymi pokrętłami.

- „Ta krągła dama w ogniu białym, Księżycem wśród śmiertelnych zwana”... - zacytował cicho.

Lawrence odchrząknął.

- Widzę, że filozofia naturalna wciąż jest ci bliska. - Podeszedł i popatrzył wzdłuż tubusu teleskopu w górę. - Zawsze lubiłem oglądać z tobą nocne niebo.

Dłoń sir Johna znieruchomiała. Potem znów zaczął obracać pokrętłem.

- Tak. Pamiętam. Gdzieś w ciemniejącym lesie pytająco zahukała sowa.
- Ojciec... - zaczął cicho Lawrence - czy myślisz czasami, że mogło być inaczej...
- Nigdy - uciął sir John, jakby lękał się tego pytania cały wieczór. Odchrząknął. - Nie ma sensu tego roztrząsać.

Zamilkł. Po chwili znów się odezwał, niemal szeptem:

- Żałuję tylko, że należycie się tobą nie zaopiekowałem - powiedział. - Że wysłałem cię do tego szpitala.

Lawrence odwrócił wzrok. Tego było dla niego zbyt wiele. Za sobą słyszał ojca, majstrującego przy teleskopie, maskującego w ten sposób swoje skrepowanie.

Starzec znów odchrząknął, a kiedy się odezwał, jego głos był swobodny:

- Ma olbrzymią moc.
- Księżyc? - spytał Lawrence, już opanowany.

Sir John podniósł wzrok i spojrzał na syna. Jego twarz skrywał cień.

- To o niej rozmawiamy.
- Zawsze mówisz o księżycu w rodzaju żeńskim.
- To prawda. - Sir John z powrotem nachylił się do okularu. - Jej potęga jest subtelna, wykorzystywana delikatnie, jak kobieca. I absolutna. To dlatego stare podania nazywają ją Boginią Łowów.

Wyprostował się i wskazał teleskop. Lawrence skinął głową i nachylił się, żeby spojrzeć. Czary soczewek przybliżyły mu księżyc na odległość wyciągniętej ręki, idealnie ostry. Zimny, potężny, jaśniejący... i całkowicie pusty. Nieprzyjazny.

Podniósł głowę, czując, jak przenika go fala zimna - jakby stał po kolana w pozbawionym powietrza smutnym pyłe tej starożytniej skały.

Jego ojciec znów nachylił się do teleskopu i Lawrence'owi zdawało się, że po jego twarzy przemknął uśmiech. Stali tak obaj i patrzyli na księżyc, każdy na swój sposób.

- Lawrence... - rzucił sir John, nie odrywając oka od okularu. - Cieszę się, że wróciłeś do domu.

Syn nie wiedział, co odrzec. Nic w dotychczasowym życiu nie przygotowało go na tę chwilę, więc milczał, bojąc się powiedzieć coś

niewłaściwego. Popijał szkocką i patrzył na ojca obserwującego wielką i lodowatą Boginię Łowów.

I wtedy, po raz pierwszy w dorosłym życiu Lawrence Talbot poczuł, że jest w domu.

Księżyc w górze, jasny w nieskończonej ciemności, patrzył na niego i się śmiał. A Lawrence słyszał tylko szept nocnego wiatru.

Życzył ojcu dobrej nocy i wrócił do środka. Wszedł na górę, zamyślony, z rękami w kieszeniach i brodą spuszczoną na piersi. Singh zawczasu otworzył i przewietrzył jego dawny pokój. Stopy Lawrence'a niosły go raczej z nawyku niż rozmyślnie. Kiedy sięgnął do klamki, z drugiej strony korytarza usłyszał damski głos. Odwrócił się i zobaczył, że drzwi pokoju Bena są uchylone, a ze środka pada światło.

Przystanął na chwilę, a potem ruszył niepewnym krokiem w stronę dawnego pokoju brata. Zza zdobionych drzwi słyszał stłumione głosy dwóch kobiet.

Teraz albo nigdy, powiedział sobie w duchu i zastukał lekko w drewno.

Chwilę później zobaczył surową twarz pokojówki.

- W czym mogę pomóc, sir?

Lawrence był od niej o wiele wyższy i widział nad jej głową wycinek pokoju - wystarczająco duży, by dostrzec wielkie lustro stojące w przeciwległym rogu. Odbijała się w nim Gwen Conliffe. Stała tyłem do drzwi i bokiem do lustra, więc nie widziała, że Lawrence się jej przygląda. Talbotowi zaparło dech. Gwen miała na sobie przezroczystą halkę i powoli wsuwała ręce w rękawy delikatnej podomki. Przez chwilę mężczyzna widział jej kremową skórę, naga od pasa w górę. Ciało Gwen było smukłe i kształtne, jej piersi pełne, o delikatnych różowych sutkach. Nie miała żadnej blizny, żadnej skazy. Lawrence podziwiał doskonałość jej urody, zwłaszcza widzianej w ten sposób - niezamierzony, bez upiększeń, niemal boskiej w kształcie i formie. Zobaczył to wszystko w mgnieniu oka i natychmiast spuścił wzrok na pokojówkę, jakby w żaden sposób nie naruszył prywatności tego pokoju.

- Miałem nadzieję zamienić słowo z panną Conliffe. Nazywam się Lawrence Talbot.

Pokojówka zmierzyła go surowym, taksującym spojrzeniem. Lawrence omal się nie zaczerwienił. Dzięki Bogu, że korytarz jest słabo oświetlony, pomyślał.

- Chwileczkę, sir - wycodziła.

Zamknęła drzwi nieco mocniej, niż to było konieczne.

Lawrence popatrzył na drewno i westchnął. - Drogi panie - powiedział do swojego cienia - niewiarygodny z pana prostak.

Na dole sir John Talbot grał na fortepianie, pogrążony w myślach. Jego palce muskały klawisze, wydobywając z nich stare, tęskne melodie. Nie żadne konkretne utwory, lecz luźne fragmenty zagrywek i tematów tuzina różnych kompozytorów, przeplatane jego własnymi nastrojowymi improwizacjami.

Domostwo było olbrzymie, wzniesione na kośćcu belek z drzew niemal tak samo starych jak samo brytyjskie imperium. Kamienie węglne pochodziły z rzymskich umocnień i mostów. Wystrój odzwierciedlał starożytne wierzenia stu różnych kultur. Wszystko w Talbot Hall było przesiąknięte historią, a przeciągi w korytarzach szeptały dawno zapomniane sekrety.

Sir John lubił aurę, którą emanował dom. Cenił jego trwałość i siłę. Na wiele sposobów budynek przypominał mu jego samego: człowieka, który z wiekiem stawał się mądrzejszy i silniejszy, zamiast słabszy. Choć pod sufitem wisiały pajęczyny, a na strychu zagnieździły się zięby, dom pozostawał mocny. Jak zawsze. Tak samo jak mocny był sir John. Zawsze, bez względu na wiek.

Wydobywał muzykę z klawiszy. Obok niego siedział Samson, wilgotnymi, brązowymi ślepiami śledząc blade dłonie pana. Wielkie uszy czujnie nasłuchiwały wszelkich hałasów. Kiedy Lawrence przystanął pod pokojem Gwen, Samson usłyszał jak jego ciężar delikatnie wygina deski podłogi. Kiedy mężczyzna pospieszył do własnego pokoju i zamknął drzwi, pies wyszedł każdy stłumiony krok. Zmysły wilczarza były dostrojone do Talbot Hall. Gdy na korytarzu na górze rozległy się cichsze kroki Gwen, cicho prychnął.

Sir John, nie gubiąc ani jednej nuty, rzucił spojrzenie psu, a potem z porozumiewawczym uśmiechem popatrzył na sufit.

Grał, a uśmiech nie schodził z jego ust.

Lawrence poszedł w głąb korytarza i opadł na jeden z dwóch foteli stojących we wnęce. Wiele lat temu kącik ten był mostkiem „kapitana”, na którym lord Nelson planował zniszczenie francuskiej floty pod Trafalgarem.

Lawrence zawsze był Nelsonem, a Ben jednym z jego kapitanów. Czasami kącik był chatą, w której Robinson Crusoe - Lawrence - i Piętaszek - Ben - naradzali się, jak najlepiej uporać się z piratami. Czekając na Gwen, Lawrence schylił się i zajrzał pod poręcz. Inicjały wciąż tam były. BT i LT, wydrapane paznokciami i dawno zalakierowane. Uśmiechnął się.

- Panie Talbot?

Był tak pogrążony w myślach, że nie słyszał jej kroków i teraz zerwał się na nogi podenerwowany jak młody panicz na balu debiutantów. Tkwiący w nim aktor natychmiast zbuntował się na tę głupotę i ściągnął rysy jego twarzy w uprzejmy uśmiech.

- Panno Conliffe.

- Dziękuję, że pan przyjechał - powiedziała, kiedy zaproponował, by usiadła w drugim fotelu. Skromnie ułożyła brokatowe okrycie, którym szczelnie się owinęła. Lawrence zauważył kręcącą się w korytarzu pokojówkę. Kobieta miała surową minę, ramiona skrzyżowała na okazałym biuście. Nie chciałbym ściągnąć na siebie jej gniewu, pomyślał Talbot.

- Przykro mi, że spotykamy się w takich okolicznościach. - Sięgnął za fotel i podniósł małą torbę z rzeczami Bena.

- To należało do mojego brata. Chciałby, żeby trafiło do pani. Było jasne, że Gwen rozpoznała torbę. Jej oczy zwilgotniały, kiedy brała ją do ręki. Położyła ją na kolanach i pogładziła wytartą skórę. Potem otworzyła torbę i wyjęła swoje zdjęcie. Wspomnienie, być może szczęśliwego dnia, kiedy je zrobiono, wyraźnie ją poruszyło i z jej piersi wydarł się szloch. W oczach wezbrały łzy.

- Jeśli... jeśli mogę coś dla pani zrobić - powiedział Lawrence, który nagle poczuł się wielki i niezgrabny. - Cokolwiek, proszę tylko powiedzieć.

Zerknęła na niego znad zdjęcia. Zobaczył, że jej spojrzenie zmienia się z bezbronnego i pełnego łez, w twarde i zimne.

- Chcę wiedzieć, co się z nim stało - powiedziała.

- Ja też. I zrobię, co w mojej mocy, żeby to wyjaśnić.

Te słowa, ta obietnica, złamały jej kruche opanowanie i Gwen Conliffe załzała się łzami. Lawrence szybko usiadł obok niej, wziął ją w ramiona i pogładził po głowie, a ona wtuliła twarz w zagłębienie jego szyi i łkała.

Pokojówka ruszyła w ich stronę, ale Lawrence pochwycił jej spojrzenie i lekko pokręcił głową. Kobieta przystanąła, popatrzyła na swoją panią, a potem skinęła głową i wróciła na posterunek.

Lawrence nie wypuszczał płaczącej Gwen z objęć. Jej szloch był tak dojmujący, rozpacz tak wielka i dotkliwa, że Talbot zastanawiał się, czy miała przedtem okazję go z siebie wyrzucić. Z pewnością sir John nie oferował jej ramienia, żeby się wyplakała. Lawrence czuł się okropnie, wiedząc, że nie może jej pomóc, ale cieszył się, że może zrobić chociaż tyle. Jej łzy paliły go w szyję jak kwas i z trudem sam tłumił w piersi szloch.

Lawrence wiedział, że tej nocy nie zazna wiele snu, o ile w ogóle zaśnie. Za dużo się wydarzyło. Za dużo wciąż się działo. Jutro czekał go pogrzeb brata, a narzeczona zmarłego spała na tym samym piętrze. Myśli Lawrence'a przelewały się jak płynna rtęć od rozpaczony po stracie do poczucia winy z powodu własnych żądzy. Do diabła ze snem.

Chodził w tę i z powrotem po pokoju, pijąc za dużo whisky, marszcząc brwi na cienie, przypominając sobie śmiech i dziecinne zabawy sprzed lat. Wszystkie rzeczy jego i Bena wciąż tu były. Kiedy Lawrence opuścił dom po śmierci matki, Ben przeniósł się na drugą stronę korytarza, porzucając pamiątki z dzieciństwa. Lawrence'a otaczały półki pełne nakręcanych zabawek, ołowianych żołnierzyków i blaszanych mieczy. Na wieszaku w kącie wciąż wisiały ich czerwone płaszcze rzymskich żołnierzy, i kubraki, w których kroczyli po pokładach wyimaginowanych okrętów. Połamany koń na biegunach opierał się o ścianę obok kija do krykieta i stosu wyszczerbionych drewnianych klocków. Wszystkie kolory wyblakły jak stara fotografia... jak wspomnienia Lawrence'a, które wypalone przez upływające lata straciły na wyrazistości i szczegółach.

W oddali, wiele mil za posiadłością, zahuczał grom, niski i groźny jak chrząknięcie starego smoka. Lawrence prawie się uśmiechnął, wspominając, jak Ben mu wmawiał, że gromy to głosy smoków. Potem obraz ten przeorała inna myśl. Piorun znów uderzył, a Lawrence stał bez ruchu wpatrzony w wielkie łóżko z baldachimem, przypominając sobie rzeczy, do których miał nadzieję już nie wracać. Nigdy, zwłaszcza tutaj...

Grom zahuczał na wschodzie. Dygot starych belek domu wyrwał młodego Lawrence'a Talbota ze snu o smokach. Z sercem w gardle chłopiec wypełzł z łóżka i po zimnej podłodze podszedł do posłania brata. Nachylił się nisko nad śpiącą postacią.

- Ben! - syknął. - Obudź się!

- Umm... jest noc... śpię... Lawrence potrząsnął bratem.

- Coś słyszałem.

Ben podparł się na łokciach i posłuchał, nie otwierając oczu.

- To tylko burza - powiedział, po czym opadł z powrotem na łóżko i naciągnął koc na głowę. Po chwili spod nakrycia dobiegło ciche chrapanie.

Lawrence skrzywił się sfrustrowany, ale nie wrócił na swoje posłanie. Stał w miejscu, wciąż nachylony, nadstawiając uszu.

Znów ten dziwny dźwięk. Bardziej warknięcie niż grzmot, ale stłumione. Gdzieś poza domem... Czy w środku? Lawrence podkradł się do drzwi pokoju i najciszej jak mógł nacisnął klamkę, starając się dociec, co usłyszał.

W pokoju panowała cisza.

Przywołując całą swoją odwagę, otworzył drzwi i wyszedł na korytarz, stąpając po podłodze niczym po kruchym lodzie zamrożonego jeziora. Stopniowo przenosił ciężar ciała, zaklinając deski, aby nie zaskrzypiały. Korytarz zdawał się ciągnąć mile. Kiedy za oknem strzeliła błyskawica, skaczące cienie sprawiły, że rzędy jelenich łbów odwróciły się do chłopca, szklanymi ślepiami wypatrując przerażonego intruza.

Lawrence ruszył bokiem, przyklejony plecami do ściany. Rozglądał się na wszystkie strony, aby się upewnić, że cienie są niegroźne i że nic nie czyha w ciemności, aby sięgnąć go szponiastą łapą. Często w takie noce śnił o potworach przemykających w ciemności - dziwnych, bezkształtnych istotach skradających się w czarnym lesie, węszących za delikatnym, świeżym mięsem. Ojciec i Singh śmiali się z jego opowieści, zapewniali, że lasy są bezpieczne, a dom to forteca, ale Lawrence zawsze się bał, że mówią tak tylko po to, żeby go uspokoić. Żeby go chronić przed prawdą. Może w ciemności naprawdę kryją się potwory.

Grzmot zatrzęsł oknami. Lawrence'owi zdawało się, że ponad ich brzęczeniem usłyszał inny dźwięk, ten sam, który wyrwał go ze snu. Nieokreślony odgłos wydawany przez coś, czego - był tego pewien - nie powinno tu być. Na szczycie schodów przystanął, nerwowo oblizując spierzchnięte usta. Może powinien obudzić ojca?

Nie! Ojciec wyjechał w interesach.

Ta myśl przeraziła Lawrence'a. Dlaczego tata wyjechał, kiedy nadchodziła burza? Ojciec miał strzelby, zabijał z nich niedźwiedzie, dziki i inne zwierzęta. Na pewno nie bał się niczego, co mogło mieszkać w lesie...

Świadomość, że nie ma tu jego bohatera i obrońcy zmroziła chłopcu krew w żyłach. A Singh?

Pokój Sikha był po drugiej stronie domu. Przy wszystkich tych groźnych cieniach równie dobrze mógł się znajdować po ciemnej stronie księżyca.

Piorun uderzył gdzieś niedaleko i cały dom zadygotał. Lawrence obejrzał się przez ramię. Przysiagliby, że jelenie głowy odwróciły się do niego, z rogami ostrymi jak noże i ślepiami rozjarzonymi wrogością. Szybko się wycofał, tyłem schodząc po schodach. Zrobił kilka kroków, potem kilka następnych, a gdy uderzył kolejny piorun, odwrócił się na pięcie i zbiegł na dół, bosymi stopami uderzając o lodowate drewno. Burza przyniosła ze sobą wicher, który wyl przez szpary w ścianach i szczeliny pod drzwiami. Odgłos narastał, aż przeszedł w przeszywający wrzask. Lawrence chciał zatkać uszy, ale jednocześnie czuł, że wycie go przyciąga. Wołało go, krzyczało na niego, rozdzierając noc na strzępy.

Zbiegł po ostatnich stopniach i popędził bocznym korytarzem, z dala od wielkich frontowych drzwi, w stronę tylnego wyjścia prowadzącego do zimowego ogrodu matki. Oczywiście o tej porze nie mogło jej tam być, ale tam zawsze czuła się bezpieczna i tam czytała Lawrence'owi i Benowi. Chociaż ściany ogrodu były ze szkła, Lawrence'owi wydawały się bardziej bezpieczne niż mury z kamienia i drewna. Dlatego biegł, ścigany przez cienie, wśród pohukiwań gromu. Wycie wiatru wciąż narastało do upiornego zawodzenia. Ciemność rozciąła błyskawica tak jasna, że korytarz nagle stał się czarno-biały. Błysk wydobył z ciemności każdy zawijas zdobionych, kutych drzwi szklarni, każdą ich szybkę malując kolorem mleka. Potem zgasł i wejście zniknęło w ciemności - wcześniej jednak Lawrence zdołał go dopaść i chwycić gładką, zimną, znajomą klamkę.

Znów grom. Wycie wichury przeszywało mu mózg rozgrzanymi do białości igłami.

Lawrence pchnął drzwi. Zawodzenie stało się jeszcze głośniejsze i przez jedną straszną chwilę chłopiec myślał, że to czyjś krzyk, a nie wiatr. Niepewnie wszedł do oranżerii, szarpany podmuchami, i zrozumiał, dlaczego tak wyraźnie słyszy wicher - drzwi prowadzące do ogrodu na zewnątrz stały otworem, kołysane w tę i z powrotem falami deszczu. Szklarnia była zalana

woda, lodowata ciecz omywała kostki Lawrence'a, tak że chłopiec dostał dreszczy. Wycie nie cichło. Jak zahipnotyzowany, zagubiony w mrocznych odmetach wichury, grzmotu, deszczu i błyskawic, chłopiec ruszył przed siebie jak we śnie, niezdolny powstrzymać marznących stóp. Zamrugał, kiedy poczuł na twarzy deszcz siekający przez otwarte drzwi do ogrodu.

Pioruny waliły raz za razem, a pomiędzy grzmotami słychać było zawroźnienie. Lawrence się zatrzymał. Cały świat się zatrzymał.

Chłopiec spojrzał na wodę spływającą ku niemu z krawędzi tarasu. Była czarna od cieni i pozostawała taka nawet w błyskach piorunów.

Lawrence zmarszczył brwi.

Czarny deszcz, to bez sensu.

Powiódł wzrokiem wzdłuż pęknięć w kamieniu do podstawy wielkiej kamiennej fontanny, rzeźbionej w ptaki, wiewiórki i szyszki. To stamtąd spływała czarna woda.

Błyskawica zajaśniała jeszcze raz, ale słabiej, jakby burza zaczynała się oddalać. W jej błysku Lawrence zobaczył coś, czego zupełnie nie pojmował. Przed fontanną klęczał mężczyzna, z głową sklonioną jak do modlitwy. Klęczał, a jego ramiona dygotały.

Lawrence rozpoznał te ramiona, to ubranie.

Ojciec? Ale jak to? Jak ojciec może być tutaj, skoro wyjechał w interesach? Co tu robi? I... czy on się śmieje? Płacze?

Znów uderzył piorun i wszystko stało się jeszcze dziwniejsze, bo Lawrence zobaczył, że jego ojciec nie klęczy przed fontanną sam. Ramionami obejmował kogoś innego, przyciskając go do piersi. Kobieta.

- Mamo? - szepnął Lawrence.

Zawroźnienie rozdzierało noc, unosilo się znad klęczącej postaci. Sir John podniósł głowę i wrzasnął w twarz burzy. Kiedy to zrobił, ciało w jego ramionach się przesunęło i Lawrence zobaczył opadającą bezwładnie rękę matki, uderzającą o moką ziemię. Czarny deszcz płynął właśnie od niej, z jej ręki, z jej ciała. Z jej skóry. Rzeka ciemności płynęła od niej, po kamieniach, do Lawrence'a.

- Mamo...? - powtórzył chłopiec. Tym razem starszy Talbot usłyszał jego cichy, żalony głos. Odwrócił się, przyciskając Solanę do piersi. W świetle

błyskawicy Lawrence zobaczył rysy straszliwej, niemożliwej rozpaczony wyryte na twarzy ojca. Oczy sir Johna były ciemne, gorejące żalem, wściekłością i szalem wywołanym stratą, z którą nie mógł się pogodzić.

Sir John otworzył usta i wydał z siebie rozpaczliwy krzyk, który wstrząsnął nocą. Lawrence poczuł, że ciemność burzy nagle zacieśnia się wokół niego, zamyka jak dłoń na jego gardle. Jego krzyk uniósł się w powietrze wraz z eksplozją błyskawic i gromów.

A potem była już tylko ciemność.

Lawrence leżał na łóżku, wpatrując się w czarny sufit. Czuł się stary, wypalony i poraniony na sto sposobów. Wydawało mu się, że pozbył się wspomnień tamtej okropnej nocy. Jego matka od trzydziestu lat leżała w grobie, a Lawrence od tamtej pory nie postawił stopy w domu.

Ale teraz, jakby drewno i kamień przechowały każdy najdrobniejszy detal tamtych wydarzeń, raz za razem rozgrywały się one na nowo przed jego oczami. Nieważne, ile wypił whisky, obrazy nie dawały się odpędzić. Każdy szczegół tamtej nocy... i tego, co było potem...

Czarny powóz nie był karawanem, choć tak wyglądał. Wielki i ciężki, z zasłoniętymi oknami i czterema czarnymi końmi w zaprzęgu, powożonymi przez ponurego mężczyznę w czarnym ubraniu.

Młody Lawrence niejasno zdawał sobie sprawę, że jest niesiony. Jego umysł nie rejestrował czasu, ruchu ani działań z wyrazistością czy spójnością. Chłopiec miał wrażenie, że się unosi. Kiedy słyszał głosy, nie wiedział, do kogo należą. Głos ojca był dla niego głosem nieznanego. Drugi głos - ludzie nazywali go doktorem Hoennegerem - był mu równie obcy. Lawrence nie kojarzył już ludzi z rzeczywistością, bo nic nie było rzeczywiste. To wszystko tylko sen. Koszmar. Lawrence o tym wiedział. To, co widział wczoraj w nocy w ogrodzie, też było koszmarem. Czarny deszcz. Zwłoki matki. Bezbrzeżna rozpacz ojca. Takie rzeczy nie są możliwe w rzeczywistym świecie... To coś rodem ze złych snów. Lawrence to rozumiał. Tak samo jak to, że czarny powóz i doktor Hoenneger nie należą do świata jawy. I czarne konie, i ten dziwny gmach - to wszystko elementy koszmaru. To przez burzę. Była za głośna, zbyt gwałtowna i popsowała świat. Wiatr i deszcz zmyły cały sens.

Lawrence rozmyślał o tym wszystkim nieświadom, że myśli. Jego umysł poskręcał się w dziwne kształty, a świadomość spłynęła do rynsztoka z czarnym deszczem.

Oczy chłopaka widziały litery namalowane na drewnie przed gmachem, ale te słowa nic dla niego nie znaczyły. Nie miały z nim żadnego związku. Z nim ani z jego światem. W jego świecie nie ma szpitala Lambeth, a nawet

gdyby był, Lawrence by do niego nie trafił, bo ojciec by go tam nie zabrał. Koszmary już takie są - różne dziwne rzeczy bez sensu składają się w całość niemieszczącą się w głowie.

- Biedny chłopak - mówił głos. Lawrence nie znał tego głosu i nie obchodziło go to.

Patrzył w górę oczami wysychającymi od niemrugania, ale nie czuł niewygodny. Dyskomfort należał do innego świata. Nie czuł też ukłucia igły. To tylko ból, ale ból już się go nie miał.

Jedynie, co go obchodziło, to ciemność. Czuł ją - jak rozchodziła się po jego ciele i zamykała wokół niego - a kiedy się w nią zapadał, słyszał głos matki śpiewającej starą hiszpańską kołysankę. Wiedział, że powinien znać słowa, ale ich nie pamiętał, i jakoś wcale się tym nie przejmował.

Czerń była tak miękka i gładka i okrywała wszystko...

Okrutnie wyraziste wspomnienie wydarzeń, które dla małego chłopca było zaledwie snem, sprawiło, że Lawrence zakrył ręką oczy, nie chcąc przyznać, nawet przed samym sobą, że płacze.

Następnego dnia pochowali Benjamin Talbota.

Pogrzeby powinny się odbywać w ponure dni, kiedy szare niebo płacze deszczem. Ale słońce uparcie świeciło, a drzewa pełne były głupich ptaków, które śpiewały, jakby powietrza Blackmoor nie zatrwały krzywdą i cierpieniem. Ceremonia zaczęła się w kościele, gdzie pastor Fisk wygłosił długą i monotonną homilię o niestałości i kruchości życia oraz niekończącym się cierpieniu śmierci. Podczas mszy Lawrence siedział obok ojca i z nienawiścią wbijał wzrok w starego duchownego. Pogłębiać rozpacz religijnym poczuciem winy było według niego najcięższym grzechem. Nie wystarczyło już cierpienie spowodowane niepowetowaną stratą?

Rzucał ukradkowe spojrzenia w lewo, gdzie siedział sir John, sztywny i z kamienną twarzą, i w prawo, gdzie Gwen Conliffe garbiła się przygnieciona rozpaczą. Ścisnęła ramię ojca i bezustannie płakała. Lawrence był przekonany, że słowa pastora sprawiają jej ból. Kiedy jego wściekłość narosła już tak, że był gotów się zerwać i kazać Fiskowi samemu skoczyć w piekielne ognie, kazanie się skończyło. Wszyscy wstali i odśpiewali hymn łaski - nieco bardziej krzepiący niż kazanie. I to był koniec. Przynajmniej kościelnych uroczystości.

Trumnę załadowano na karawan zaprzęgnięty w cztery czarne jak noc konie i rozpoczęła się procesja na cmentarz.

Była o wiele, wiele gorsza niż kazanie. W kościele znalazł się przynajmniej ktoś, przeciwko komu Lawrence mógł skierować swoją frustrację i gniew. Teraz brał udział w powolnym marszu do miejsca, gdzie zwłoki Bena miały spocząć na zawsze. Spocząć, zgnić i zapewne zostać zapomniane najdalej w następnym pokoleniu. Nie było już więcej Talbotów, nie licząc Lawrence'a, a on nie miał zamiaru wracać na stałe do Blackmoor. Ben nie zdążył poślubić Gwen i nie miał synów, którym przekazałby nazwisko, a Gwen... jest młoda i jej żałoba kiedyś się skończy. Dziewczyna wróci do Londynu z ojcem, a czas uleczy jej złamane serce. Wyjdzie za innego mężczyznę i Ben będzie zaledwie epizodem w jej życiu. Jego śmierć stanie się miejscową legendą, a

mieszkańcy Blackmoor zapamiętają go raczej z powodu tego, jak zginął, niż jak żył.

Lawrence niezmiernie cierpiał z tego powodu, a kiedy szedł za karawanem, po twarzy płynęły mu łzy. Jeśli niebo nie chciało płakać nad Benjaminem, łzy Gwen Conliffe i Lawrence'a Talbota musiały wystarczyć, mimo że padały na nieczułą ziemię, gdzie wchłaniał je kurz i rozdeptywali inni żałobnicy, biorący udział w procesji raczej z poczucia obowiązku niż potrzeby serca.

Nad grobem pastor znów wygłosił mowę. Tym razem mówił zwięźle, cytując wprost z Pisma. Lawrence był już na niego tak wściekły, że w duchu go przedrzeźniał.

Kiedy wszystko już zostało powiedziane i żałobnicy rzucili po garści ziemi na trumnę, a Gwen rozsypała na jej wieko róże, pozostała tylko smutna rzeczywistość - Ben miał zostać pogrzebany. Dla Bena Talbota był to koniec wszystkiego. Patrząc, jak trumnę spuszczają do zimnego grobu, Lawrence czuł chłód ogarniający jego serce. Wiedział, że tak będzie już zawsze. Ben pozostanie w ziemi Blackmoor, aż słońce wypali się na popiół.

Chciał krzyczeć, ale nie zrobił tego.

Stał tylko i lkał. Opłakiwał brata. Opłakiwał matkę. Opłakiwał utracone na zawsze szanse. Opłakiwał sam siebie.

Żałobnicy zaczęli się rozchodzić. Gwen została najdłużej. Stała po drugiej stronie grobu, naprzeciw Lawrence'a. Przez cały ranek nie zamienili ani słowa, nie licząc pocałunku w policzek przed wyjazdem do kościoła. Kiedy podniosła wzrok znad grobu i popatrzyła na Lawrence'a, oczy miała tak samo czerwone jak on.

Nie było słów, które mogłyby opisać, co czuł Lawrence. Skinał Gwen głową, a ona odpowiedziała mu tym samym. Chociaż wiedział, że przekazali sobie jakiś komunikat, jego świadomość nie potrafiła go odczytać. Mimo wszystko poczuł go.

Ojciec Gwen wziął ją pod ramię i odprowadził od grobu. Dziewczyna ukradkiem spojrzała za siebie. Nie na grób, lecz na Lawrence'a. Talbot otarł twarz dłońmi, jakby chciał zetrzeć z niej coś więcej niż łzy, a gdy się odwrócił, zobaczył stojącego u stóp grobu ojca. Sir John patrzył w górę

zbocha, na ojca Gwen pomagającego córce wsiąść do powozu. Potem obejrzał się i napotkał spojrzenie syna. W jego oczach ukrytych za szklami ciemnych okularów błyszczało zrozumieniem tej chwili, być może większe niż u Lawrence'a. Bez słowa sir John się odwrócił i ruszył między nagrobkami w stronę drogi.

Po przygnębiającej stypie, podczas której musiał być uprzejmy dla ludzi, których nie lubił, i udawać, że pamięta krewnych, których nigdy nie widział na oczy, nie mając okazji zamienić słowa na osobności z Gwen, Lawrence wyszedł z domu. Przeszedł przez trawnik i ruszył ścieżką wijącą się wśród wysokich drzew lasu.

Zeszłego wieczoru, kiedy oddał Gwen rzeczy Bena, zatrzymał jedną z nich dla siebie. Nie zrobił tego umyślnie - miał ją w kieszeni i znalazł dopiero, kiedy przebierał się na pogrzeb. Idąc, wyjął ją i obejrzał. Medalion ze świętym Kolumba zdawał się mieć znaczenie w zależności od kąta padania światła. W jasnych promieniach słońca święty odpędzał wilki jakąś nadludzką mocą, zaś kiedy na wzór padał cień, wydawało się, że obrazek przedstawia ostatnie chwile jego życia.

Na czole Lawrence'a pojawiła się bruzda, która nadal znaczyła jego twarz, kiedy las ustąpił miejsca skałom. Lawrence podniósł wzrok, zaskoczony tym, jak daleko zaszedł. Jego zdumienie się pogłębiło, gdy spostrzegł, że nie jest jedyną osobą, która wybrała się na spacer w to okropne popołudnie. Pięćdziesiąt jardów przed nim, na krawędzi głębokiej rozpadliny, wyznaczającej jedną z granic rozległej posiadłości Talbotów, stała Gwen Conliffe.

Mężczyzna ruszył w jej stronę, urzeczony nieprawdopodobnym pięknem tej chwili. Gwen, ubrana w żałobne kolory, stała z uniesioną głową, patrząc na góry, zalesione zbocza i bezkresny błękit nieba. Ten widok zaparł Lawrence'owi dech w piersi. Talbot zwolnił, żeby Gwen nie zauważyła zbyt szybko jego obecności. Bał się, że kiedy dziewczyna się odwróci, czar pryśnie. Podeszedł bliżej i zauważył, jak blisko krawędzi stała Gwen. Nie chcąc jej przestraszyć, zawołał do niej cicho z odległości kilku kroków.

- Dzień dobry.

Drgnęła, ale nie zrobiła nierozważnego kroku. Zamiast tego odwróciła się, czujna, poważna, z zagadkowym spojrzeniem. Zaczekała, aż Lawrence stanie obok, a potem ruchem głowy wskazała skaliste półki i ścieżki urwiska.

- Ben mówił, że bawiliście się tu jako dzieci. Lawrence wychylił się i spojrzał w dół. Głębia i zapowiedź nieszczęścia, która się w niej kryła, nie przerażały go, kiedy był chłopcem. Nie przerażyły go i teraz.

- To była nasza kryjówka.

- Przed czym?

Wyprostował się i odwrócił do Gwen.

- Chciała pani zapytać, przed kim? Gwen rozważała to przez chwilę.

- Znam waszego ojca od dwóch lat - powiedziała. - Przez ten czas nie udało mi się go rozszyfrować. W jednej chwili wydawał się wesoły, jakby nie chciał, żebyśmy wyjeżdżali, a w następnej zachowywał się, jakby w ogóle nie aprobował naszego związku. Ben powiedział mi, że to dlatego, że przypominam mu waszą matkę. Teraz to rozumiem. Widziałam jej portret, potem zobaczyłam pana... Pewnie nieustannie przypominam ją waszemu ojcu. - Przerwała. - Mówił, że pan też jest do niej podobny.

Pogardliwy grymas mimowolnie wypełził na usta Lawrence'a.

- Dlatego na dwa lata umieścił mnie w przytułku dla obłąkanych, a potem wysłał do ciotki w Ameryce. Wszystko po to, żeby, kiedy się zabiję, przypadkiem też mnie nie znalazł.

- Boże... niech pan nie mówi takich rzeczy... Ale Lawrence tylko pokręcił głową.

- Niestety, sprawianie ojcu zawodu weszło mi chyba w nawyk.

- Tyle wycierpiał - stwierdziła Gwen. - Niektórzy po prostu nie potrafią poradzić sobie z rozpaczą. Nigdy nie dochodzą do siebie, ból ich pochłania i w swojej złości kasają tych, których kochają. Tych, którzy im przypominają...

- Wiem, do diabła! - warknął Lawrence. - Nie sądzi pani, że wiem o tym od dawna? Moja matka popełniła samobójstwo, a ojca zabrała mi jego obłąkana rozpacz. Wtedy pierwszy raz straciłem brata, a teraz znów. Straciłem wszystko. Proszę nie opowiadać mi o rozpaczach, bo chodzi za mną krok w krok przez całe moje przekłete życie!

Gwen dotknęła jego ręki.

- Wie pan... Ben bardzo chciał, żebyście się z ojcem pojednali. Jeśli nie zdołał tego dokonać za życia, może uda mu się to po śmierci.

Z rozpadliny powiał zimny wiatr, który zmierzwił włosy Lawrence'a. Talbot odgarnął je z oczu i popatrzył na twarz Gwen. Kilka razy otwierał usta, żeby odpowiedzieć, ale w końcu nie wypowiedział swoich myśli. Odwrócili się i stali ramię w ramię, patrząc na małe obłoki, które żeglowały jak statki po oceanie nieba.

Wrócili do Talbot Hall w milczeniu. Tyle rzeczy czekało, żeby je wypowiedzieć, ale słowa Gwen zbyt głęboko zapadły Lawrence'owi w duszę. Uciekł do pokoju, żeby pomyśleć.

O zachodzie słońca usłyszał hałas na zewnątrz i zszedł na dół, gdzie zastał Gwen, jej ojca i sir Johna stojących na frontowych schodach. Za nimi na podjeździe czekał powóz Conliffe'ów.

Sir John stał wyprostowany i sztywny, z twarzą pochmurną i ponurą. Gwen go objęła, ale zrobiła to z poczucia obowiązku i widać było, że żadnemu z nich ten uścisk nie sprawił przyjemności.

- Na pewno nie zostaniesz z nami jeszcze tę jedną noc? - spytał sir John, nieco chłodno.

- Ojciec znalazł nam nocleg w gospodzie - odparła Gwen. - Wygodniej nam będzie zdażyć rano na pociąg.

Ojciec Gwen był chudym człowiekiem o wyglądzie i ruchach spłoszonej czapli. Wydawał się zakłopotany wszystkim, co się wydarzyło, i było jasne - przynajmniej dla Lawrence'a - że boi się sir Johna. Niechętnie uściśnął jego dłoń, wyszarpując swoją, kiedy tylko uprzejmość mu na to pozwoliła. Sir John ze swojej strony wydawał się lekko rozbawiony, a może nawet zadowolony z wrażenia, jakie wywierał na Conliffie.

Gwen zobaczyła Lawrence'a i dyskretnie okazała, że jego obecność przyniosła jej ulgę.

- Kiedy wraca pan do Londynu, Lawrensie?

- Jak tylko się dowiem, co się stało z Benem. Popatrzyli na niego, zaskoczeni, wszyscy oprócz Gwen, która pokiwała głową. Jego słowa sprawiły, że się wyprostowała i zacisnęła usta, a w jej oczach błysnął ogień. Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

- Z Bogiem - powiedział.

- Pomyślnych łowów - wyszeptała mu do ucha.

Odsunęła się. Znów zebrało się jej na łzy, więc uciekła do powozu.

Po chwili wahania Conliffe skinął głową Talbotom. Zaczął wyciągać rękę do Singha, ale zatrzymał ją w pół drogi, jakby nie wiedząc, czy nie jest

to obraza dla kogoś z jego kasty. W końcu pożegnał Sikha krótkim ukłonem i czmychnął za córką.

Lawrence i sir John weszli na schody, skąd odprowadzili wzrokiem powóz jadący zarośniętą drogą. Sir John wepchnął ręce w kieszenie i spojrzał na ciemniejące popołudniowe niebo.

- Zamierzasz rozwiązać tę zagadkę, co? - mruknął.

- Ktoś musi.

- Nie bardzo wierzysz w tego durnia, Nye'a. Lawrence pokręcił głową.

- Raczej nie. Albo nie wie, jak zbadać tę sprawę, albo się boi.

- A ty uważasz, że lepiej się do tego nadajesz?

- Na pewno nie pójdzie mi gorzej niż jemu - odparł Lawrence.

- Hm... prawda.

- I mam większą motywację. Nye już się poddał. Ja nie zamierzam.

Sir John patrzył przez chwilę na syna, po czym wrócił do obserwowania nadciągającego zmierzchu.

- Wszystko to ładnie, pięknie, ale twoje śledztwo może poczekać do jutra. Dziś będzie pełnia.

- I co z tego? Boisz się, że spotkam wilkołaka? Sir John parsknął śmiechem.

- Proponuję, żebyś został w domu na wypadek, gdyby twój lunatyczny domysł był słuszny.

Lawrence nie odpowiedział.

- Znasz etymologię tego słowa? - ciągnął sir John. - Lunatyczny. Źródłosłów to luna, księżyc. *Lunaticus* to po łacinie "będący pod wpływem księżyca". Ludzie od zawsze wiedzieli, że fazy księżyca, jej siła, wpływają na nastroje z taką samą regularnością jak na pływy. Podczas pełni rozkwita szaleństwo.

- Tak - powiedział lodowato Lawrence. - Dobrze znam odgłosy przytulku pełnego obłąkanych podczas pełni.

Sir John tylko głęboko westchnął.

Powóz już zniknął i na podjeździe zaczęły się rozpełzać cienie.

- Zostaniesz na noc w domu? - spytał ojciec.

- Jeśli nalegasz - odparł niechętnie syn.

- Nalegam.

Pierwszy z wieczornych ptaków rozpoczął swoje żalosne pienia w gałęziach ciemnych drzew.

- Nie mogę stracić również ciebie - powiedział ojciec i zanim Lawrence zdołał odpowiedzieć, odwrócił się i wszedł do domu. Młodszy Talbot stał wpatrzony w drzwi, które sir John zostawił otwarte, a na cierniach w jego sercu zawisło tysiąc splątanych uczuć.

Kiedy słońce zaszło za jesienne drzewa, armie cieni zebrały się w lesie i na wschodnich zboczach wzgórz, a potem przypuściły szturm na Talbot Hall. Lawrence miał wrażenie, *te* między jednym a drugim oddechem stary dom zmienił się z rezydencji o jasnych ścianach i błyszczących szybach w bezkształtną masę, czarną jak włosiennica. Ojciec wcześniej poszedł spać i budynek był cichy i ciemny. W ani jednym oknie nie paliło się światło. Talbot Hall zamknął oczy na noc.

Lawrence nie miał nic przeciwko temu.

Wyprowadził ze stajni czarnego wałacha i cicho poprowadził go drogą. Za pasem miał pistolet, w kieszeni płaszcz składany nóż - prezent od inspicjenta z Chicago - a w olstrze siodła tkwiła nabita ciężka myśliwska strzelba. Gdyby księżyc znów wtrącił szaleńca w morderczy amok, Lawrence będzie przygotowany.

Niech tylko przyjdzie...

Kiedy dotarł do żelaznej bramy za łukiem, niebo zaczęło jarzyć się upiorną poświatą. Wschodził księżyc. Jak nazwał ją ojciec? - zastanowił się Lawrence. Bogini Łowów.

Całkiem trafnie, pomyślał. Wyszczrzył zęby w niecierpliwym grymasie. Niech morderca Bena ruszy jego tropem. Wkrótce odkryje, że i na niego ktoś poluje. - Niech przyjdzie - szepnął zawzięcie. - Boże... niech przyjdzie!

Wskoczył na siodło, a koń zarżał głośno, kiedy Talbot spał go piętami. Razem popędzili wiejskimi drogami, które oświetlał blask księżyca.

Głęboko w puszczy Lawrence przystanął na szczycie wzgórza i spojrzał w dół, na krąg starożytnych głazów, reliktyw zapomnianej epoki. Stały jak milczący strażnicy na skraju starego cmentarza, wyznaczającego granicę posiadłości Talbotów. Lawrence pamiętał, jak przychodzili tu z Benem jako chłopcy i bawili się w przygody w starożytnym świecie. Tyle że nigdy wcześniej nie widział kręgu w świetle księżyca. Skierował konia na krętą ścieżkę i wjechał między głazy.

Najmniejszy z nich był dwa razy większy od człowieka. Kamienie były tylko z grubsza ociosane, ale sir John uparcie twierdził, że postawiono je, by obliczać ruchy gwiazd.

- Nie istnieje doskonalszy zegar księżycowy - mawiał.

Lawrence jechał między ciemnymi olbrzymami, zatrzymując się przy środkowym głazie, skąpanym w bladym świetle księżyca. Schylił się w siodle i spojrzał wzdłuż płaskiej powierzchni kamienia. W istocie krawędź księżyca wylaniała się zza niego idealnie pośrodku. Nawet teraz, targany rozpaczą i gniewem, Lawrence poczuł podziw. Z jakiegoś powodu ten starożytny dowód wiary w lunarną moc pozwolił mu lepiej zrozumieć lunatyków.

Wyprostował się w siodle, zastanawiając się, czy to miejsce przyciągnie mordercę, ale po kilku minutach pokręcił głową. Nie tu powinien czekać.

Popędził konia do kłusa i ruszył przez las, kierując się w stronę miasta, a potem je omijając. W końcu znalazł to, czego szukał. Nie szaleńca, ale coś innego, co mogło mu dostarczyć odpowiedzi i tropów. Zanim to zobaczył, najpierw usłyszał: mandoliny i skrzypce, harmonie i flażolety, a między nimi dzwonienie blaszanych cymbałów.

Cygańska muzyka.

Strzelił wodzami i klucząc między drzewami, pojechał tam, gdzie w oddali tańczyły czarodziejskie światełka. Robiły się coraz większe, aż w końcu zmieniły się w pochodnie, lampiony i ogniska, wokół których stał tuzin vardo, cygańskich wozów. Ich boki i drzwi były rzeźbione w konie, ptaki, lwy, gryfy, kwiaty i pnącza, przeplatane skomplikowanymi wzorami. Vardo stały w luźnym kręgu dookoła obozu, a na jego środku znajdował się wydeptany krąg otoczony niskim wałem ulepionym z gliny. Na drewnianych, składanych krzesłach i wzorzystych kocach siedzieli i leżeli mężczyźni i kobiety. Dzieci bawiły się i mocowały na obrzeżach obozowiska albo siedziały w cieniu rodziców, oglądając przedstawienie. Lawrence zatrzymał się i patrzył na to wszystko, nie zsiadając z konia.

Grupa muzykantów grała skoczną, hipnotyzującą melodię, a ciemnowłosa, czerwonousta kobieta o oliwkowej skórze tańczyła z erotycznym zatraceniem pośrodku kręgu. Kiedy wirowała, jej liczne spódnice unosiły się wysoko, odsłaniając smukłe i umięśnione gołe nogi. Cienka

bluzka bez rękawów przykleiła się do jej spoconych pełnych piersi, a oczy błyskały ciemnym ogniem. Poruszała się jak wąż, zachowując całkowitą kontrolę nad swoim ciałem. Wiła się i skręcała w erotycznych figurach, a blask ognia pieścił jej skórę.

Lawrence przełknął pył w ustach i musiał potrząsnąć głową, by wyrwać się spod uwodzicielskiego czaru tancerki. Zsiadł z konia i zaprowadził go między dwa wozy, ciągle obserwując, jak kobieta wygina się, wiruje i skacze.

- Chavaia! - zawołał ochryply głos. Lawrence odwrócił się i zobaczył wylaniającego się z ciemności krzepkiego Cygana ze strzelbą w rękach. Lufa nie była wycelowana w przybysza, ale mężczyzna trzymał broń z dużą pewnością siebie, a na jego ciemnej twarzy próżno było szukać powitalnego uśmiechu.

- Ja... - zaczął Lawrence, ale Cygan wyrzucił z siebie długi ciąg niezrozumiałych słów. Zanim Talbot zdążył powiedzieć, że nie rozumie, zza mężczyzny wysunął się mały chłopiec i ostrzegawczo podniósł rękę. Miał na sobie workowate spodnie, przepasane czerwoną szarfą, białą koszulę i czarną kamizelkę wyszywaną w pnącza.

Chwilę słuchał mężczyzny, a potem spojrzał na nieznanego.

- Mówi, że powinieneś zostać z nami.

- Co? - Lawrence był zaskoczony.

- W lesie nie jest bezpiecznie.

I wtedy Lawrence zauważył, że mężczyzna ze strzelbą nie patrzy na niego, ale ze zmarszczonym czołem wpatruje się w ciemny las.

- Zabrać konia, jasny panie?

Chłopiec miał nie więcej niż osiem lub dziewięć lat, ale uśmiechał się już w ten specyficzny, obłudny sposób. Dwu znaczość jego pytania nie uszła uwagi Lawrence'a. Zabrać konia, dobre sobie.

Talbot wyłowił z kieszeni monetę, umyślnie dzwoniąc pozostałymi, żeby chłopak usłyszał obietnicę sowitej nagrody. Podał chłopcu pieniądz oraz lejce i patrzył, jak ten sprawnie przywiązuje wałacha do drzewa. Kiedy koń się obrócił, mały Cygan zobaczył strzelbę w grubym, skórzanym olstrze. Znie-

ruchomiał i rzucił niepewne spojrzenie Lawrence'owi, który odpowiedział mu porozumiewawczym uśmiechem.

Pokazał chłopcu drugą monetę, wydobytą z kieszeni.

- Masz tu drugą, żebyś tego nie dotykał - powiedział i w jego ręku pojawiła się następna. - I trzecią, żebyś mnie zabrał do tego, kto sprzedaje to...

Wyjął z kieszeni kamizelki medalion Bena i podniósł go tak, że wisiorek zamigotał w blasku ognia.

Chłopiec znieruchomiał z ręką wyciągniętą po monety. Widok medalika starł z jego twarzy uśmiech. Popatrzył na świętego Kolumbę i wilki, obracających się powoli w świetle ognia, potem na strażnika ze strzelbą, który krótko skinął głową, a potem na Lawrence'a. Przyjął pieniądze z poważną miną - na jego twarzy nie było śladu wcześniejszej chytryści. Minęło kilka chwil, zanim wziął i trzecią monetę.

- Musisz porozmawiać z Maleva - powiedział cicho, z ponurym nabożeństwem.

- Tak myślę - zgodził się Lawrence. - Prowadź, Makdufie. Chłopiec nie zapytał, kim jest Makduf, zapewne uznając to za jakieś zagraniczne powiedzenie. Schował pieniądze i gęsiom kazał przybyszowi iść za sobą do obozowiska. Mijani Cyganie patrzyli na nich z zainteresowaniem. Było ich około pięćdziesięciorga, może więcej. Wielu majstrowało przy garnkach i tandetnej biżuterii, kilkoro nawlekało paciorki, a inni haftowali kwiaty na ubraniach. Kotły na ogniskach wabiły zapachami rzadkich przypraw, a pieczone prosię skwierczało obracane wolno na rożnie. Kilku groźnie wyglądających mężczyzn przyglądało się Lawrence'owi, jakby oceniali, czy może być groźny. Inni wyraźnie szacowali jego wartość jako bogatego klienta. Wszyscy patrzyli na niego, a on wiedział, że każdy mieszkaniec obozu, od najmłodszego dziecka po sędziwą staruszkę, potrafi wycenić jego ubranie i dobytek co do grosza.

Tuż za Kręgiem, w którym tańczono, zobaczył wielką klatkę na kołach. A jej grubymi prętami siedziało smutne, zwaliste zwierzę, Był to tańczący niedźwiedź, o którym wspominał karczmarz. Lawrence uśmiechnął się w duchu, wiedząc, że to wyleniałe, stare bydlę nie dogoniłoby jego brata, o

zabiciu nie wspominając. Biedne stworzenie wyglądało, jakby miało lada chwila paść.

Chłopiec poprowadził go do vardo stojącego nieco na uboczu, pod konarami chorego klonu, którego liście zostały wyjedzone do gołych żyłek przez gąsienice. Na słupkach przy krótkich schodach prowadzących do kolorowych drzwi wozu wisiały dwie latarnie, a na sznurkach rozwieszono piękne makaty, co tworzyło uroczystą atmosferę. Kimkolwiek jest Maleva, pomyślał Talbot, musi tu być ważną osobistością.

Chłopiec zatrzymał się tuż przed kręgiem światła rzucanym przez latarnię. Wskazał postać siedzącą na stołku obok wozu, a potem bez słowa wrócił do muzyki i gwaru obozowiska, pospiesznie oddalając się od sylwetki siedzącej w półmroku.

Lawrence, niewzruszony, ruszył prosto w jej stronę. Z odległości kilkunastu kroków zobaczył, że to kobieta, jednak dopiero kiedy podszedł bliżej spostrzegł, jak bardzo jest stara. Maleva siedziała zgarbiona, z kolorowym szalem owiniętym ciasno na kościstych ramionach. W jej ustach kołysała się cienka cygaretką. Kobieta nuciła do wtóru dobiegającej z dali muzyki. Usłyszała, jak Lawrence się zbliża, ale nawet się nie odwróciła. - Powróżyc?

Talbot zatrzymał się kilka kroków przed nią i wyciągnął medalion ze świętym Kolumba. Stał w milczeniu, czekając, aż Maleva na niego spojrzy. Kiedy to zrobiła, jej znudzona twarz pociemniała. Staruszka popatrzyła przybyszowi w oczy, a w jej spojrzeniu pojawił się strach zmieszany ze smutkiem. Wyciągnęła powoli chudą, pomarszczoną rękę po medalion. Trzymała go przez chwilę, a potem zamknęła oczy i przycisnęła wisior do piersi. Skinęła głową, jakby potwierdziło się jakieś straszne przypuszczenie. - Lepiej wejdźmy do środka - rzekła.

Wnętrze vardo przypominało Lawrence'owi skład staroci. Z belek zwisały sznury tanich koralików, z szuflad i skrzyń wysypywały się dziesiątki tandetnych imitacji relikwii, a garniec monet „na szczęście” pękł i jego zawartość wysypała się na podłogę. Pod tą warstwą śmieci znajdowała się kolejna, złożona z pudełek z ziołami i słoików z wywarami, sporządzonymi z korzeni i egzotycznych kwiatów. W kątach wisiały pęki suszonych roślin i

dziwnych owoców, a do drewnianych ścian przybite były pasy zwierzęcych skór. Maleva machnięciem ręki wskazała Lawrence'owi krzesło na trzech nogach. Musiał odsunąć kilka bel pięknej tkaniny, żeby nogi zmieściły mu się pod mały stolik do wróżenia.

Staruszka położyła medalion na stole. Przyjrzała mu się, a potem odchyliła się w tył i zaciągnęła cygaretkę. Blask żaru ukazał jej twarz - pomarszczoną, ściągniętą starością i cierpieniem. Lawrence miał wprawę w patrzeniu na aktorów i aktorki ucharakteryzowanych na starców i z łatwością wyobraził sobie twarz tej kobiety sprzed lat. Była kiedyś piękna, może nawet uderzająco piękna. Miała ładnie zarysowane kości, a w starych, załzawionych oczach wciąż tlił się ogień.

Podala Lawrence'owi talię wysłużonych kart do tarota i kazała mu przetasować. Potem je zabrała, przełożyła i zaczęła układać w rzędzie. Przez kilka chwil mamrotała o bólu, złych wróżbach i cierpieniu, jaki przysporzyła Lawrence'owi śmierć matki. Na Talbocie nie zrobiło to wrażenia. Wszyscy w hrabstwie wiedzieli, że sir John jest wdowcem.

- ...próbujesz znaleźć pocieszenie w ramionach przypadkowych kobiet, ale ból cię nie opuszcza. Wgryza się tylko głębiej...

Położył dłoń na jej dłoni, powstrzymując potok słów bez znaczenia.

- Nie po to tu przyjechałem - powiedział. - Dobrze o tym wiesz.

Spojrzenie Malevy było czujne i przebiegłe.

- Opowiedz mi o bracie.

Stara kobieta spuściła wzrok na dłoń Lawrence'a. Ujęła ją w rękę i odwróciła wnętrzem do góry.

- Masz w głowie obraz - powiedziała, a w jej głosie tym razem nie było udawania. - Okropny obraz. Nie można go wymazać. Ukrywa się przed tobą, ale wiesz, że tam jest. I staje się przez to jeszcze straszniejszy...

- Medalion, który ci pokazałem znaleziono przy zwłokach mojego brata.

- Ale nie miał go na szyi? - Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

Lawrence zmrużył oczy.

- Skąd wiesz? Nie odpowiedziała.

- Wasz tabor pojawił się dwa tygodnie przed tym, jak zginęło trzech ludzi. Nie sądzę, by to był zbieg okoliczności.

Maleva uśmiechnęła się lekko.

- Nie ma zbiegów okoliczności. Tylko los. Ale on gra zakrytymi kartami. Nie wiemy, jaka jest nasza rola w tym wszystkim, dopóki gra się nie skończy.

- Czym dokładnie jest „to wszystko”? - spytał Lawrence, zirytowany pokazem jarmarcznej mistyki. Nie był religijny i uważał, że to jakieś cygańskie bzdury. Potem jednak przy-szło mu do głowy coś innego. Zmrużył oczy i nachylił się do przodu, kładąc ręce na stole.

- Ktoś zabił mojego brata? - spytał cichym, groźnym tonem.

Jeśli Maleva się przestraszyła jego głosu lub słów, nie dała tego po sobie poznać.

- Idzie po ciebie ciemność. Musisz wyjechać z Talbot Hall - odparła głosem cichym jak szept północy. - Musisz uciekać z Blackmoor.

- Nie mogę - odparł. - Dopiero co przyjechałem. Na zewnątrz rozległy się krzyki.

- Przyjechałeś za późno...

Lawrence zerwał się na nogi i wyskoczył na zewnątrz, spodziewając się najgorszego, a zarazem ciesząc się na tę perspektywę. Chciał, żeby morderca się tu pojawił. Chciał złapać drania w trakcie jednego z jego zabójczych ataków, dopaść go na gorącym uczynku, żeby nikt nie mógł powiedzieć, że jest niewinny. Łaknął krwi. Chciał - musiał - stanąć twarzą w twarz z mordercą Bena.

Kopniakiem otworzył drzwi i widząc coś zupełnie innego, niż się spodziewał, stanął jak wryty.

Na ziemi leżał zalany krwią Cygan. Rękami trzymał się za szczękę, która ewidentnie była złamana. Na ustach i brodzie miał przyklejone kawałki potrzaskanych zębów. Z nadgarstka zwisała mu krótka pałka na rzemiennej pętli. Obok klęczała kobieta, własnym ciałem osłaniając rannego przed czterema zwałistymi mężczyznami stojącymi pośrodku koła do tańca. To byli mieszkańcy Blackmoor. Każdy z nich trzymał strzelbę i było oczywiste, że są gotowi użyć dowolnego jej końca. Jeden z nich ocierał krew z kolby. Toporne rysy wykrzywił okrutny uśmiech zadowolenia. Lawrence go rozpoznał - napastnikiem okazał się Kirk, właściciel gospody.

Mężczyzna wskazał strzelbą drugi koniec polany, gdzie stała klatka z niedźwiedziem. Między nim a klatką stanął Cygan. Na szyi miał pytona, a dłoń opierał na rękojeści zakrzywionego noża. Pochwę przesunął tak, by dało się go szybko wyciągnąć. Z ciemności zaczęli się wyłaniać inni Cyganie - mężczyźni i kobiety. Byli wściekli. Niektórzy klęli w swoim języku, a na ich ciemnych twarzach malowały się zaskoczenie i gniew.

- Odejdźcie - powiedział mężczyzna z ciężkim akcentem. - Nie macie tu nic do roboty. Nie dzisiaj. Odejdźcie.

- Oddaj nam tego przekłętą niedźwiedzia albo spotka cię to samo co twojego przyjaciela.

Kirk kopnął leżącego w nogę. Jego towarzysze obracali się bez przerwy, mierząc ze strzelb w tłum.

Cygan z pytonem sięgnął po nóż do pochwy, ale Kirk wycelował do niego i odciągnął kurek z głośnym szczękiem.

- Wyciągnij tylko nóż, a rozwałę ci łeb.

Karczmarz świetnie się bawił. Ze złośliwym uśmiechem przepchnął się przez tłum i otworzył klatkę. Cofnął się razem z pozostałymi, kiedy niedźwiedź się poruszył.

- Oto morderca, chłopcy - oznajmił Kirk.

- Bzdura! - krzyknął Cygan. - On tańczy. To wszystko.

Niedźwiedź stęknął tak, jak mógłby to zrobić starzec siadający na krześle. Opadł ciężko na zimną ziemię i zaczął gryźć się w zad, usiłując złapać parę pcheł.

Napięcie nieco zelżało. Kirk rozejrzał się, jakby oczekiwał, że zobaczy drugiego, groźniejszego niedźwiedzia. Kilku Cyganów cicho się zaśmiało.

Jeden z przybyszy opuścił broń.

- Kirk, chyba się pomyliliśmy...

Ale karczmarz go nie słuchał. Czerwony na twarzy rzucił swoim kompanom mordercze spojrzenie. Odwrócił się i wycelował strzelbę w niedźwiedzia. Zaklinacz węży stanął między nim a zwierzęciem. Sytuacja wymykała się spod kontroli.

Lawrence miał już dość tej szopki. Zeskoczył z wozu i przepchnął się na polanę. Podszedł prosto do Kirka i odepchnął lufę strzelby. Mężczyzna cofnął się pół kroku i znów podniósł broń. Kilku co większych Cyganów zaczęło się do niego zbliżać ze wszystkich stron.

- Odsuń się! - ryknął karczmarz. - Mamy prawo!

- Nie macie żadnych praw, durniu - odparował Lawrence. - Nie macie w ogóle pojęcia, co robicie.

- Powinieneś trzymać z nami, Talbot. Ten niedźwiedź zabił twojego brata.

- Nie bądź głupi! Widziałem ciało Bena. Widziałem rany. Tylko idiota może myśleć, że to żalosne stworzenie...

W tym momencie przerwał mu przenikliwy gwizd z lasu. Wszyscy się odwrócili, nawet niedźwiedź zezował z zainteresowaniem na konstabla Nye'a, który wjechał na polanę na rozchybotanym rowerze, w zębach ściskając gwizdek.

Lawrence omal nie wybuchnął śmiechem. Nastrój zmienił się z dramatu niemal w tragedię, a teraz w pół sceny przechodził w farsę.

- Z drogi! Z drogi! - zawołał Nye, zeskakując z siodełka. Rozejrzał się dookoła, wydał policzki jak łapiąca powietrze ryba, a potem odwrócił się do Kirka.

- Thomasie... co tu się dzieje, u diabła?

Mężczyźni opuścili strzelby. Wszyscy oprócz Kirka, który nie zamierzał ustąpić.

- Thomasie - powiedział Nye - co ty wyprawiasz?

- Przyszliśmy po niedźwiedzia, Nye - odparł Kirk. - To on zabijał.

Konstabl Nye popatrzył na żalosne stworzenie skulone w świetle płomieni. Futro niedźwiedzia było miejscami wytarte do skóry, a jego pysk siwy jak śnieg.

- Na Boga - rzekł Nye z rozpaczą - nie bądź osłem. To znaczy... Ci biedni żebracy utrzymują się z tego żalosego stwora. Nie skrzywdziłby nawet muchy.

Opiekun niedźwiedzia pokiwał energicznie głową i pogłaskał zwierzę po łbie.

- Widzisz? - ciągnął Nye. - Jest niegroźny. To nie...

Ale nie dokończył, bo wyleniały stary niedźwiedź nagle wydał z siebie straszliwy ryk i stanął na tylnych łapach, prostując się na całą wysokość nad przestraszonym tłumem. Rozległy się krzyki. Wszyscy się cofnęli. Ludzie Kirka podnieśli strzelby, a Cyganie patrzyli z przerażeniem na nagły szal sędziwego ulubieńca. Niedźwiedź machał w powietrzu tępyimi pazurami - ale nikogo nie zaatakował. Zawył tylko - prawie jak człowiek - wysokim, przeszywającym głosem, pełnym przerażenia.

- O Boże! - wrzasnął ktoś z tyłu tłumu. Lawrence i pozostali odwrócili się, by zobaczyć, co wystraszyło zwierzę. Coś przemknęło im przed oczami, a potem wszystkich na polanie spryskała czerwień. Stojący na końcu mężczyzna ze strzelbą, ten, który popchnął jednego z Cyganów na Lawrence'a, zatoczył się do przodu i padł na kolana, a pomiędzy barków wystrzelił mu gejzer krwi. Jego głowa przekoziółkowała w powietrzu i uderzyła niedźwiedzia prosto w pierś. Wszyscy znieruchomieli w obłąkańczym niedowierzaniu.

Wtedy, w oddali, na skraju obozu, z ciemności wychylnęło coś olbrzymiego. Nie było tak zwaliste jak niedźwiedź, ale wyższe i o wiele straszniejsze. Lawrence stał jak zahipnotyzowany, a jego umysł nie mógł ogarnąć tego, co widzi. Istota była ubrana jak człowiek, ale koszula,

kamizelka i spodnie, podarte na szwach, zwisały z niej w strzępach. Była porośnięta brązowym futrem o srebrnych końcówkach, a kiedy się wyprostowała, pod jej skórą grały i przeżyły się potężne mięśnie. Stała na dwóch nogach, ale jej stopy były zdeformowane - powykręcane i guzowate - po części zwierzęce, po części ludzkie, z pazurami orzącymi bruzdy w ubitej ziemi.

Miała szeroką pierś i bary, zwężające się do byczego karku. Muskularne ramiona rozłożyła szeroko, jakby chciała nimi objąć cały tłum. Dłonie były straszne, o długich palcach zakończonych zakrzywionymi, ostrymi szponami. Na ich końcach parowała świeża krew. Ale najgorsza była głowa stwora, jego twarz. Włochate uszy wyrastały nad zmarszczonym czołem, pod którym lśniły żółte, obwiedzione czerwienią ślepia. Stworzenie miało krótki pysk, który zmarszczyło, rozdziawiając szczęki w grymasie pierwotnej, zwierzęcej nienawiści. Kły jak sztylety ociekały gorącą śliną.

Lawrence nie mógł się poruszyć, nie mógł myśleć. Serce waliło mu w piersi jak oszalałe. Nie był w stanie mrugnąć, przełknąć śliny ani krzyknąć. Mógł tylko stać i patrzeć na to coś. Na tę potworną zjawę. Na... wilkołaka.

Stwór odrzucił łeb do tyłu i, napinając potężne mięśnie, wydał z siebie tak głośny skowyt, że najodważniejszemu mógł pomieszać zmysły. Ogłuszające wycie wybuchło Lawrence'owi w głowie i choć był świadom krzyków dookoła, zawroźnienie wilkołaka stłumiło je do nic nieznaczącego szumu. Nagle wszędzie zapanował ruch. Tłum wpadł w panikę - pandemonium rozproszyło wszystkich, starych i młodych, jak uderzenie wiatru w stertę suchych liści.

Cygański zaklinacz węży odepchnął Lawrence'a z drogi i pobiegł do dwójki dzieci. Kobiety wrzeszczały i biegały, dzieci płakały zdezorientowane i wystraszone, konie stawały dęba i kopały powietrze.

Wilkołak rzucił się naprzód i przeorał pierś mężczyzny. Lawrence zobaczył, jak płuca i serce wypływają pomiędzy potrzaskanych kości na ziemię, zanim trup upadł. Potwór skoczył dalej, nurkując do jednego z wozów w pościgu za kobietą, która się tam schroniła. Talbot zobaczył jego sylwetkę - odmalowaną światłem i cieniem, rodem z piekła - przemykającą przez wnętrze vardo i atakującą. Kobieta rozpadła się jak lalka, kiedy opadła nad nią potężna łapa. Wnętrze płóciennego zadaszania zbryzgały ciemne krople.

Cygan wykrzyczał imię kobiety i popędził w stronę vardo z nożem w garści, ale wilkołak wypadł przez tylne drzwi jak pocisk. Mężczyznę przebiły drzazgi z własnego wozu, zanim zdążył pomścić śmierć kobiety. Potwór skoczył na niego, wbijając go w ziemię, a potem rzucił się na innego Cygana, który pochylony próbował naładować stary, skałkowy pistolet. Wilkołak zatopił szczęki w jego gardle i wyrwał je całe aż do kręgosłupa. Tryskająca krew zachlapała mu pysk i Lawrence przysiągłby, że stwór wywrócił ślepiami jak w ekstazie.

Talbot zobaczył Kirka - tak samo znieruchomiałego i wstrząśniętego jak on sam, ze strzelbą skierowaną w ziemię. Ten widok coś w nim rozpałił i Lawrence nagle ruszył do przodu, wyciągając zza pasa pistolet, celując na oślepa i strzelając. Jedna z kul chyba sięgnęła celu - zobaczył, jak strzęp ubrania na ramieniu potwora się wydyma - ale jeśli faktycznie trafił, to nic tym nie wskórał. Potwór nawet się nie wzdrygnął ani nie zwolnił. Odwrócił się

tylko i zobaczył karczmarza, stojącego nieopodal z jednym z kompanów. Zmrużył ślepią i rozciągnął pysk w parodii uśmiechu, a potem machnął łapą.

Kirk próbował coś powiedzieć - może błagać o litość, albo się pomodlić - ale pazury uderzyły go z tak potworną siłą, że oderwały mu twarz. Oczy, nos, zęby i szczeka - wszystko zniknęło w czerwonym wybuchu. Ciało karczmarza zadygotało, kiedy szok i konwulsje wstrząsnęły zakończeniami nerwowymi, i runął na ziemię, jeszcze żywy. Rzucił się na ziemi, a potwór przestąpił nad nim, kierując się do drugiego mężczyzny, który nie zdołał wystrzelić.

Lawrence chwycił za rękaw jakiegoś Cygana.

- Zabierz kobiety i dzieci! - ryknął, a potem pchnął go w stronę ziomków. Przerażeni Cyganie posłusznie uciekli.

Talbot podniósł pistolet i wystrzelił, ale przesuwając się do przodu, żeby lepiej wycelować, potknął się o ziemny nasyp otaczający krąg do tańca i upadł. Kula trafiła w ognisko, a pistolet wypadł mu z ręki, lądując wśród rozżarzonych węgli.

Potwór błyskawicznie wyminął mężczyznę ze strzelbą i przez chwilę Lawrence myślał, że stwór z jakiegoś powodu postanowił go zostawić w spokoju, ale przed oczami miał powidok rozmazanego ruchu. Spojrzał w dół - mężczyzna też - i zobaczył prawdę. Jelita nieszczęśnika wysliznęły się z zięjącej rany i chlupnęły ciężko na ziemię. Mężczyzna zacisnął palec na spuście i strzelba wypaliła, faszując wciąż dygoczącego Kirka grubym śrutem. Potem padł na trupa karczmarza i obaj znieruchomieli.

Wilkołak odwrócił łeb, a jego piekielne ślepią wypatrzyły Lawrence'a. Stworzenie wydało z siebie niski, głodny pomruk.

Lawrence zerwał się na nogi i rzucił do ucieczki. Uciekał, ratując życie, duszę i zdrowe zmysły. Przed sobą zobaczył Nye'a, biegnącego do roweru opartego o drzewo niedaleko wałacha Talbota. Konstabl, krzycząc jak dziewczyna, usiłował wyciągnąć pistolet, ale rzemienna pętla broni beznadziejnie się splątała. Lawrence wyminął go w pędzie. Nóż, który miał w kieszeni, był bezużyteczny, pistolet leżał w ognisku, ale w olstrze przy siodle tkwiła strzelba ojca. Potwór czy nie potwór, olbrzymie kule broni, z której polowano na słonie, rozwałą napastnikowi łeb.

Na drodze wyrósł mu ostatni z kompanów Kirka. Odepchnął Talbota na bok i przyjął pozycję strzelecką, opierając kolbę o ramię. Z wprawą zawodowca mierzył wzdłuż lufy. Lawrence obejrzał się, żeby zobaczyć strzał, ale wilkołaka już nie było.

Zaskoczony Talbot zwolnił do truchtu i się rozejrzał. Ludzie wciąż wrzeszczeli i biegali, ale na polanie były tylko trupy i niedźwiedź, który wlaź z powrotem do klatki i skulił się, dygocząc jak wychłostany pies.

- Gdzie ten przeklęty... - krzyknął mężczyzna do Lawrence'a.

Stwór wypadł z ciemności na lewo od nich. Poruszając się z nadludzką prędkością, zatoczył koło i zaatakował z lasu, nurkując między mężczyzn. Potężnym barkiem uderzył Talbota i odrzucił go w krzaki. Lawrence odwrócił się na plecy, próbując wstać. Gdy podniósł głowę, zobaczył, jak wilkołak jedną łapą wyrywa kompanowi Kirka strzelbę i ciska ją daleko w ciemność. Drugą machnął w przód i w tył, rozrywając nieszczęśnika na strzępy jak papierową lalkę.

Potwór cisnął swoją ofiarę w stronę Lawrence'a i zniknął za rzędem vardo. Nye stał niedaleko ogniska, z twarzą białą od szoku i spryskaną kropelkami krwi. Talbot klepnął go w ramię, żeby go wyrwać z szoku.

- Pobiegł tyłem. Ja pójdę w prawo, pan w lewo. Złapiemy go w ogień krzyżowy.

Konstabl obliznął usta i zakrztusił się, kiedy poczuł smak krwi. Ale jego rysy stwardniały, kiwnął głową i odbiegł z pistoletem w dłoni. Lawrence niemal od razu stracił go z oczu.

Nye skradał się wzdłuż rzędu wozów, kiedy jego uwagę zwróciło najdalej stojące vardo. Trzęsło się i dygotało, kołysząc się na boki, stając to na lewych kołach, to na prawych.

- Mam cię, bydlaku! - warknął konstabl i pospieszył w tamtą stronę. Kilka kroków od wozu zobaczył skuloną w ciemności postać. Mężczyznę. Bez gardła. Jego głowa wisiała groteskowo na pojedynczym ścięgnięciu.

Wóz przestał się trząść. Czyżby potwór zakończył krwawe dzieło i uciekł? Nye przestąpił trupa i lufą pistoletu rozsunał zasłony. Wnętrze vardo było ciemne, panowała w nim cisza. Nagle coś uderzyło go w rękę, więc szybko ją cofnął.

Patrzył na nią, nie rozumiejąc, co widzi. Miał przed sobą rękaw i mankiet koszuli. Ale dłoń trzymająca pistolet... zniknęła.

Z poszarpanego kikuta tryskał gejzer czerwonej krwi. Ból przyszedł dopiero po dłuższej chwili. Wtedy jednak potężne, kudłate ramię wystrzeliło z ciemności vardo i chwyciło Nye'a za szczękę. Jednym szarpnięciem konstabl został wciągnięty do środka. Runął w ciemność i spadał w nią bez końca.

Lawrence nie usłyszał stłumionego wrzasku Nye'a. Jego uwagę przyciągnęły krzyki małej dziewczynki, błakającej się pośród rzezi i głośno wołającej matkę. Gdzieś z lewej dobiegł go - a przynajmniej tak mu się zdawało - kobiecy głos wołający dziecko. Odwrócił się i zobaczył nawołującą Cygankę. Kiedy zauważyła córkę, zaczęła biec.

Nagle zobaczył, że ostatnie vardo w rzędzie zaczyna się gwałtownie trząść, a potem nieruchomieje. Wilkołak wychylił łeb, patrząc na biegnącą kobietę. W jednej chwili, pchany drapieżnym instynktem, wyskoczył z wozu i rzucił się w pościg.

Lawrence był po niewłaściwej stronie rzędu wozów. Widział potwora migającego między vardo, pędzącego wzdłuż nich za kobietą. Spojrzał w stronę, w którą biegła Cyganka, i zrozumiał, że celem potwora nie jest kobieta... lecz dziewczynka.

Mimowolnie wyskoczył naprzód. Biegł, pędził przez ogień i krew, do dziecka. Matka wrzasnęła. Potwór go zobaczył i zawył z nienawiści i głodu. Dał susa do przodu, ale Lawrence był szybszy. Jedną ręką trzymał pistolet, drugą, zagiętą, zagarnął dziecko. Kiedy padał razem z nim na ziemię, wilkołak przeleciał tuż nad nimi. Niemal poczuł ciepło jego ciała.

Matka, dziewczynka i Lawrence krzyknęli. Ale to wilkołak wrzasnął najgłośniej, wydając z siebie ryk frustracji i szału. Ogłuszający skowyt sprawił, że posypały się szyszki z drzew, a z ziemi, spod pazurzastych stóp bestii, wystrzeliły robaki.

Lawrence stoczył się z dziewczynki, oszołomionej, ale całej, i cisnął ją w ramiona zrozczonej Cyganki, kiedy do nich podbiegła.

- Uciekaj! - zaryczał, a matka chwyciła dziecko i pognała przed siebie.

Talbot schylił się i podniósł czyjaś porzuconą strzelbę. Przy upadku źle wylądował i teraz ból przeszył mu stawy, ale to tylko wzmogło jego nienawiść.

Wystrzelił raz, potem drugi, pewny, że trafił potwora, ten jednak się nie zatrzymywał. Pędził nie ku niemu, ale na drugi koniec obozowiska. Lawrence jeszcze raz ściągnął spust, ale iglica szczęknęła w pustej komorze.

Zerwał się na nogi i pokuśtykał w stronę konia, który usiłował zerwać się z uwięzi. Chwycił zwierzę za wodze i szarpnięciem obrócił mu łeb, żeby dosięgnąć strzelby. Wyrwał ją z olstra, odwrócił się i pobiegł z powrotem na skraj polany, podrzucając broń do ramienia. Chciał zabić bestię, zranić ją. Za Bena. Za wszystkich.

Ale wilkołak nie uciekał. Był przebieglejszy niż zwykle zwierzę. Kierował się zimnym, nieludzkim sprytem - za ogniskiem, zapomniane w panice, siedziało inne dziecko. Chłopiec, milczący i wstrząśnięty wszystkim, co się wydarzyło, zbyt przerażony, żeby się ruszyć, i dezorientowany faktem, że go porzucono. Wilkołak popędził w jego stronę i nagle chłopiec zaczął przenikliwie wrzeszczeć. Potwór obejrzał się przez ramię na Lawrence'a i przez chwilę Talbotowi wydawało się, że kpiąco się wyszczerzył. Jakby mówił: „Nie zdołasz uratować wszystkich!”

- Nie! - ryknął mężczyzna, biegnąc za stworem, ale bojąc się strzelać. Dziecko było zbyt blisko.

Wilkołak schylił się, porwał chłopca z ziemi, wepchnął go sobie pod pachę i przeskoczył ognisko. Zanim Lawrence je obiegł, potwór i dziecko zniknęli.

Talbot wyhamował i stanął, dysząc ciężko. Wszędzie dookoła ludzie jęczeli z bólu albo krzyczeli z rozpacz i zgrozy. Mężczyzna z zakrwawionym kikutem siedział plecami do drzewa, z tępym zdumieniem wpatrując się w rękę leżącą między jego rozrzuconymi stopami. Kobieta trzymała w ramionach coś, co mogło być niemowlęciem, ale nie zostało go dość, by mieć pewność. Muskularny Cygan ze złamanym nosem i bliznami po nożu na rękach i twarzy wpatrywał się w zniszczone vardo, a po policzkach spływały mu łzy.

Wszędzie cuchnęło śmiercią. Wszystko było spryskane krwią. Strzelba zwiśla Lawrence'owi w pozbawionej czucia ręce. Patrzył na rzeź, którą urządziło jedno stworzenie w... ile? Minutę? Parę sekund?

Potwór zniknął. Liście na krzakach i drzewach, wśród których zniknął, wciąż drżały. Masakra się skończyła.

Ale miał chłopca.

Lawrence wiedział, że ścigać bestię, znaczy umrzeć. Tylko szaleniec brałby to pod uwagę. Tylko głupiec by to zrobił. Z okrzykiem wściekłości, chwycił strzelbę w obie dłonie i rzucił się w las.

Ścigając coś, co nie miało prawa istnieć.

Ścigając potwora.

Światło księżyca wskazywało mu drogę. Poruszał się szybko, ale ostrożnie, idąc tropem zniszczeń znaczących drogę stwora - połamanych gałęzi, rozdeptanych krzaków, śladów pazurzastych stóp odcisniętych w ziemi. Lawrence nie był może tak wprawnym myśliwym jak jego ojciec, ale trop był wyraźny. Potwór nie próbował się kryć.

Potem poszycie się przerzedziło, ziemia stała bardziej kamienista i trop najpierw zrobił się mniej widoczny, a potem zupełnie zniknął. Lawrence zwolnił do truchtu, później do ostrożnego stapania, schylony, wypatrując śladów wydrapanych w kamieniu.

Ale nie zobaczył nic.

- Nie, do diabła - warknął. - Nie rób tego...

Szedł dalej, wiedziony bardziej instynktem niż jakimikolwiek śladami. Wspiął się na szczyt wzniesienia i zobaczył, że skaliste pole ciągnie się w głąb innej części lasu - o wiele starszej, z olbrzymimi drzewami sięgającymi ku niebu jak palce zagrzebanych olbrzymów. Ich konary tworzyły sklepienie tak gęste, że poszycia właściwie nie było. Leżące tuż obok trzęsawiska pluły szarą parą.

Ściskając mocniej strzelbę, Lawrence przeszedł po kamieniach i zagłębił się w starą puszcę. Gdy wszedł między drzewa jasne światło księżyca zmieniło się w ponury półmrok, czyniąc dalszy marsz o wiele bardziej niebezpiecznym. Twarz mężczyzny zalał zimny pot, który spływał mu kropelkami pod ubranie.

- Pomóż mi - mruknął do Boga, którego dawno przestał czcić. Jego wiarę zniszczyła śmierć matki, ale uznał, że tu, w lesie, w tym okropnym miejscu, w chwili gdy tropi potwora, którego samo istnienie dowodziło rzeczy nadprzyrodzonych, przyda mu się każda pomoc. - Proszę...

Puszcza była rozległa i pusta. I ciemniejsza z każdym krokiem. Dusząca mgła śmierdziała siarką i zgnilizną.

Lawrence parł naprzód i po kwadransie kolumny drzew zaczęły ustępować młodszym roślinom i gęstszemu poszyciu. Jednak nawet tutaj odczuwało się wrogość natury. Najczęściej rosły ostokrzewy i dzikie róże,

których kolce skubały ubranie Lawrence'a jak małe zęby. Pokrzywy czepiały mu się nogawek, a sztywne liście dzikich rododendronów chłostały go po policzkach.

Ziemia stała się bardziej miękka, ale mgła zgęstniała tak bardzo, że musiał się schylić i dotknąć podłoża, żeby stwierdzić, że stąpa po grubym mchu. Teren opadł w dół, a potem znów zaczął się wznosić. Lawrence szedł na oślep, zupełnie zagubiony, coraz bardziej podupadając na duchu, w miarę jak kropla po kropli wyciekała z niego nadzieja na znalezienie chłopca.

Wtedy coś usłyszał, daleko po lewej.

Głosy.

Zatrzymał się i wyteżył słuch. Jacyś mężczyźni krzyczeli, ale nie rozumiał ich słów. Cyganie też ruszyli na łowy. Najwyraźniej wystarczająco wielu, by zorganizować polowanie.

Dobrze, pomyślał. Może zepchną potwora ku mnie, jak naganiacze tygrysów. Ale chwilę później zrozumiał, że się pomylił. Ponad mgłę wzbił się pojedynczy, piskliwy wrzask straszliwego bólu, który urwał się nagle. Chwilę później Lawrence usłyszał strzały i kolejne krzyki.

A potem noc rozdarło przeciągłe, przerażające wycie wilkołaka. Przez chwilę stał jak wryty. Przed oczami mignęły mu obrazy pazurów, kłów i krwi, ale zaraz potem w jego piersi wezbrał morderczy szal. Warknął głośno i zaczął biec przez mgłę, aż do bólu pragnąc dotrzeć do miejsca walki, zanim ta się skończy, pragnąc być tym, który powali potwora. To musiał być on, dla Bena.

Biegł i biegł, ale mgła zniekształcała odgłosy starcia. W jednej chwili strzały wydawały się rozlegać nieopodal, przed nim, potem daleko z prawej. A później z lewej.

Gnał dalej, potykając się o korzenie, ślizgając na mchu, przedzierając się przez krzaki, aż we mgle przed nim zamajaczyło coś wielkiego i ciemnego. Lawrence wyhamował i podniósł broń, ale sylwetka była zbyt wysoka i nieruchoma.

Ze strzelbą w pogotowiu podkradł się bliżej. W oparach mgły po lewej pojawił się kolejny olbrzym, po prawej następny. Nagle Lawrence zrozumiał, gdzie jest i co znalazł.

To był stary cmentarz i jego monumentalne nagrobki. W jakiś sposób, zagubiony we mgle, zatoczył koło wzdłuż granic posiadłości Talbotów. Był tutaj niecałą godzinę temu. Z ukłuciem w sercu uświadomił sobie, że jego matka spoczywa w mauzoleum niecałe pół mili od miejsca, gdzie stał. Dlaczego nie pamiętał o tym, kiedy przejeżdżał tędy konno? Teraz ta myśl przeszła mu wnętrzości lodowatą drzazgą.

Coś poruszyło się we mgle na przeciwległym końcu cmentarza. Lawrence przykucnął, wyężając zmysły.

Cichy dźwięk. Szloch.

- Chłopcze! - zawołał cicho.

Znów szloch. Lawrence ruszył przed siebie, do środka kręgu, zataczając koła lufą dwururki.

Mgła się rozproszyła i oto, trzy kroki przed nim, stał chłopiec.

Żywy!

- Boże wszechmogący! - Słowa same wydarły mu się z gardła. Podbiegł do dziecka i chwycił je za ramię. - Jesteś ranny? Możesz biec?

Dziecko uniosło ku niemu przerażoną, zalaną łzami twarz, ale w jego oczach nie było zrozumienia. Lawrence powtórzył pytanie, ale chłopiec tylko tępo pokręcił głową i powiedział coś nagłym tonem.

- Niech to szlag - syknął Talbot. Siłą postawił chłopca na nogi i poszukał obrażeń. Ubranie małego Cygana było zachłapane krwią, ale Lawrence nie sądził, żeby należała ona do dziecka. Odwrócił je do światła księżyca i sapnął, kiedy coś zasrebrzyło się na jego piersi.

Chłopiec nosił medalion. Medalik ze świętym Kolumbą.

Dokładnie taki sam jak ten należący do Bena. Ten, który Lawrence miał teraz w kieszeni.

Nagle coś sobie przypomniał i znieruchomiał. „Znaleziono go przy zwłokach mojego brata”, powiedział Malevie.

A Cyganka odpowiedziała: „Ale nie miał go na szyi”.

Staruszka oddała mu medalik, Lawrence wepchnął go do kieszeni. Ten chłopiec miał swój medalik na szyi i chociaż bestia go porwała, nie zrobiła mu krzywdy.

- Nie - powiedział głośno Lawrence. To jakiś absurdalny zabobon. Jednak wszystko, co się wydarzyło przez ostatnią godzinę, kpiło z jego niedowiarstwa.

Wyprostował się i ujął strzelbę w obie ręce.

- Chłopcze - powiedział cicho, a dziecko spojrzało na niego, reagując na ton głosu, choć nie rozumiało słów. - Uciekaj.

Ale chłopiec zbyt wiele przeszedł. Patrzył na mężczyznę z nadzieją, jak każde dziecko, które spodziewa się, że dorośli rozwiążą wszystkie problemy i odpędzą wszystkie potwory.

- Boże - wymamrotał Lawrence. Wziął chłopca na ręce, oparł go sobie na biodrze i zaczął się przekradać do najbliższego skupiska pomników. Księżyc w górze był olbrzymi i potężny, dominował nad całym niebem i Lawrence uświadomił sobie z dreszczem lęku, że to Bogini Łowów przybyła obejrzeć rzeź na tej najstarszej z aren.

Ruszył w stronę skraju kręgu. Kątem oka zauważył jakiś ruch. Odwrócił się. Nie zobaczył nic, tylko dziurę ziejącą w oparach mgły. Nie musiał pytać, co to było. Wiedział. Tak samo jak dziecko, które załkało i do niego przywarło. Rozległ się jakiś dźwięk, drapanie pazurów na kamieniu i Lawrence znów się obrócił. Znów zobaczył tylko mgłę, wirującą, jakby coś tam było i umknęło na chwilę przed tym, jak się obejrzał.

Potwór krążył dokoła. Bawił się z nim.

Serce waliło mu tak mocno, że aż się dziwił, iż nie drżą od tego kamienie. Chłopiec był ciężki, podobnie strzelba. Gdyby zdołał dobiec do Cyganów przetrzasujących las, nie musiałby strzelać. Ale gdyby musiał walczyć tutaj, nie dałby rady użyć wielkiej strzelby jedną ręką.

Z ciężkim sercem postawił dziecko na ziemi. Chłopiec nie chciał go puścić, ale Lawrence go odepchnął. Wiedział, że małego to zaboli. Ze będzie myślał, iż zostaje porzucony... Znał to uczucie, wiedział, jakie pozostawia blizny.

Wycofywał się, usiłując odgadnąć, gdzie jest wilkołak; starając się wejść w jego umysł i przewidzieć kierunek ataku. Szedł tyłem, aż przywarł plecami do zimnej, pionowej bryły granitu. Potwór mógł zaatakować tylko od przodu, ale nagle serce w piersi Lawrence'a stanęło.

Słyszał go. Głęboki, szybki oddech bestii.

Po drugiej stronie nagrobka.

Za sobą.

Lodowaty pot spłynął mu po twarzy i zaszczytał w oczy, jak łzy.

Talbot oblizął wargi i wsunął palec pod osłonę spustu. Miał szansę. Jedną szansę. Musi skoczyć za kamień i wycofać się. Jeśli zrobi to dobrze, wystrzeli z obu luf niemal z przyłożenia. To była jego jedyna szansa.. Ale, na Boga, jak on się bał. Prawie szlochał ze strachu przed tym, co zamierzał zrobić.

Boże, pomóż mi! - wołał w myślach. Boże... jeśli istniejesz, jeśli tam jesteś... jeśli choć trochę cię obchodzę... Pomóż mi!

Wziął głęboki oddech i ruszył.

Oderwał się od nagrobka, odwrócił w lewo i cofnął o pięć kroków, unosząc strzelbę. Pociągnął za jeden ze spustów. Siła wystrzału odrzuciła go w tył, a kula wyrwała wielką dziurę... w pustce.

Wilkołaka nie było.

Lawrence stał jak skamieniały.

Jak mógł się pomylić? Przecież go słyszał.

Powiodł dookoła dymiącą lufą, pragnąc, żeby potwór wyszedł z mgły.

Ale on nie krył się we mgle.

Mężczyzna usłyszał jego warczenie. Niskie, podstępne i głodne. Nad sobą.

Spojrzał w górę i tam, na szczycie głazu ujrzał bestię, potężną na tle białego splendoru bogini-księżycy.

Szybko podniósł broń. Potwór był szybszy.

Skoczył na niego, wyciągając szponiaste łapy, i wbił go w wilgotną ziemię z taką siłą, że Lawrence zapluł krwią. Skurcz palca ściągnął drugi spust, ale kula minęła łeb wilkołaka i zaiskrzyła na kamieniu, zanim poleciała w las.

Stwór zasyczał z furją i przeorał ofiarę pazurami. Tylko gruby materiał płaszcz ocalił Lawrence'a przed wypatroszeniem. Mimo to Talbot poczuł pręgi palącego bólu na piersi, a cały przód jego okrycia zmienił się w strzępy.

Mężczyzna walczył. Wiedział, że to ostatnia chwila jego życia, ale mimo wszystko się nie poddawał. Walczył z wściekłością i nienawiścią. Za Benjamina i innych, którzy dzisiaj zginęli. Za własną duszę. Zasypał bestię ciosami, tłukąc pięściami w jej gardziel, pysk i oczy. Czuł, jak trzeszczą mu kości i pękają kłykcie. Poderwał kolano, próbując zepchnąć z siebie potwora. Nawet go ugryzł, odrywając spory kawał ciała i futra. Walczył, walczył, walczył. Ale potem wilkołak odtrącił jego ręce jak trzcinki i z pomrukiem mrocznego głodu zatopił kły w jego barku.

Ból był tak olbrzymi, tak potworny, że Talbot runął w świat rozżarzonego do czerwoności szaleństwa. Potwór potrząsnął łbem, szarpiąc i gryząc, aż w końcu wyprostował się, wyrrywając z ramienia mężczyzny ciało i mięśnie. Krew spryskała mu pysk: i oślepiła ofiarę. Zalała Lawrence'owi usta - gorąca i słona, cuchnąca miedzią i strachem.

Potwór przełknął mięso i przygotował się do zadania ostatecznego ciosu. Morderczego ugryzienia, które miało zakończyć ten ból i szaleństwo.

Wtem...

Coś uderzyło wilkołaka i odepchnęło go na bok. Lawrence, całkowicie oszołomiony, usłyszał jego wrzask - raczej wściekłości niż bólu. Rozległ się kolejny huk i jeszcze jeden. I znów. Cała salwa wystrzałów.

Krzyki. Ludzie krzyczący w nieznanym języku. Znów strzały.

W końcu miażdżący ciężar bestii zniknął. Zeskoczyła z Lawrence'a i odbiegła w mgłę ścigana kulami, które brzęczały jak szerszenie, odłupując kawałki kamieni.

Talbot podniósł głowę i zobaczył wpadające do kręgu postacie. Ludzi. Cyganów. Bardzo wielu. Niektórzy wciąż strzelali w mgłę. Jeden z nich podniósł chłopca i zaczął całować jego twarz, oczy, czoło i policzki. Inni podeszli i zebrali się wokół rannego. Dotykali go. Chcieli mu pomóc czy go zabić?

Lawrence tracił kontakt z rzeczywistością. Mgła gęstniała, wypełniając jego oczy i głowę. Spojrzał w niebo. Wielkie, białe oblicze Bogini Łowów

wypełniło całe jego pole widzenia, cały umysł... A potem ona też zniknęła we mgle i ciemności.

Zanim jednak opadł w bezdenną studnię cieni, usłyszał, jak nad puszcze wzbija się głos potwora - przeciągłe wycie. Nie bólu, nie porażki, ale niehumanicznego triumfu.

Lawrence Talbot zatonął w tym skowycie i runął w ciemność.

Mężczyzna powinien umrzeć. Jego rana była straszliwa. Ziemia pod nim nasiąkła krwią, a bandaże, którymi opatrzyli go ludzie z obozu, już całkiem przesiąkły czerwienią.

Maleva zapaliła cygaretkę i przyjrzała się twarzy Lawrence'a Talbota, który leżał na dwóch drewnianych skrzyniach, zestawionych razem i przykrytych czystym kocem. Rysy miał ściągnięte, skórę szarą i brudną od potu i krwi, powieki mu trzepotały, ale w jego oczach nie było zrozumienia. Wydawało się, że umiera, już powinien być martwy, ale Maleva wiedziała, że tak nie jest. I ta wiedza łamała jej stare serce.

Mężczyźni z obozu wrócili z chłopcem, całym i zdrowym, choć w głębokim szoku po tym, co przeszedł. Najpierw przyprowadzili do niej dziecko i chociaż wszyscy widzieli medalik na jego szyi, chcieli, żeby ich upewniła. Obejrzała chłopca, a potem pocałowała go w czoło.

- Los był łaskawy dla tego malca - powiedziała im. - Nawet jeśli był okrutny dla tylu innych.

Cyganie ułożyli zabitych współplemieńców w rzędzie: sześciu mężczyzn; trzy kobiety i jedno dziecko. I pięciu mężczyzn z miasteczka - czterech ze strzelbami i policjanta. Zmasakrowane zwłoki leżały jedne obok drugich, przykryte płachtami. Niektórym brakowało rąk i nóg. Cyganie przeczesywali las, szukając brakujących członków, ale to, co znaleźli, nie składało się na dziesięć osób. Zabijając, bestia pożerała ofiary.

Mężczyzna na prowizorycznym stole jęknął i spróbował poruszyć się w delirium, ale podniósł zranione ramię ledwie na cal, kiedy ból eksplodował we wszystkich jego nerwach... Wrzasnął. Otworzył szeroko oczy i Maleva zobaczyła, że cierpienie otrzeźwiło jego umysł. Popatrzył na nią ze zrozumieniem. I ta świadomość omal nie odebrała mu zmysłów.

Maleva skinęła na swoją uczennicę, śliczną dziewczynę, która nie miała jeszcze dwudziestu jeden lat, ale zdobyła już duże doświadczenie w sztuce uzdrawiania.

- Przytrzymaj go, Saskio - rozkazała. - Ale miej baczenie.

Lawrence rzucał się i wrzeszczał, ale młoda kobieta przytrzymała go, łagodnie, lecz stanowczo, szepcząc coś uspokajająco. Chory nieskładnie bełkotał coś po angielsku. Nie zrozumiała jego słów. Jego panika była jak burza w ciasnocie vardo. Maleva podeszła bliżej, wzięła miskę zmieszanych ziół, zapaliła zapalną i wrzuciła ją do środka. Z naczynia natychmiast buchnął siwy dym, wypełniając wóz intensywnym aromatem.

- Wstrzymaj oddech - powiedziała Malesa. Saskia wypełniła jej polecenie. Stara kobieta przytrzymała miskę pod nosem Lawrence'a, a on z każdym rozpaczliwym sapnięciem wciągał ziołowy dym do płuc. Kilka sekund później jego krzyki ucichły do zdezorientowanych jęków, a spojrzenie straciło ostrość. Po pół minucie opadł na koc i znieruchomiał, nie licząc ciężkiego oddechu, który też się uspokajał. Maleva otworzyła drzwi i wyrzuciła płonące zioła na ziemię, a potem otworzyła okna, żeby chłodne, nocne powietrze wywiało narkotyczny opar z wozu.

Maleva i Saskia wypuściły wstrzymywane powietrze, złaknione tlenu. Przez jakiś czas łapały oddech. Maleva poruszyła się pierwsza. Otworzyła skrzynię z przyborami uzdrowicielki, wybrała igłę, nawlokła ją na dratwę i podała Saskii. Potem sięgnęła do kieszeni Lawrence'a, wyjęła z niej medalik ze świętym Kolumba i założyła go na szyję umierającego. Kiedy medalion spoczął na sercu Talbota, jego oddech stał się bardziej regularny.

Młoda kobieta popatrzyła na ranę, a potem podniosła wzrok na Maleve.

- Dlaczego go ratujesz? - spytała. Obóz wciąż wypełniały odgłosy płaczu i rozpacz. Znała wszystkich, którzy zginęli, i żal tkwił w jej sercu jak nóż.

- Ryzykował życie za jednego z naszych. Za dziecko, którego nawet nie zna.

- Został ugryziony! Jeśli żywisz dla niego współczucie, powinnaś zakończyć jego cierpienia, zanim się zaczną.

Maleva pokręciła głową.

- Chcesz, żebym zgrzeszyła?

Saskia odłożyła igłę i ujęła Maleve za rękę.

- Nie ma grzechu w zabiciu bestii.

Staruszka pogładziła ją po włosach.

- Nie ma? - spytała. - A w zabiciu człowieka?

- To nie to samo.

- Gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie?

Saskia odstąpiła od swej nauczycielki z miną pełną wątpliwości. Wzięła igłę i odwróciła się do ziejącej rany. Igła łatwo wniknęła w ciało i szybkie, zręczne palce dziewczyny zaczęły zaszywać ranę. Była ogromna i Saskia wiedziała, że zajmie jej to dużo czasu. Pracując, kręciła głową.

- Powiedz, o czym myślisz, dziewczyno - powiedziała Maleva łagodnie.

- Wielu będzie przez to cierpieć.

Maleva długo patrzyła na nią w milczeniu. Gdy się w końcu odezwała, jej głos był cichy jak szept złamanego serca.

- Czasami ścieżki losu są okrutne. Ale na ich końcu zawsze leży większe dobro.

Saskia spojrzała na nią znad zszywanej rany, wyraźnie zaniepokojona. Staruszka dotknęła jej policzka.

- Zawsze? - spytała dziewczyna.

- Zawsze - odparła Maleva, choć mówiąc to, nie patrzyła Saskii w oczy.

Jednokonny wózek Malevy był niewielki, w sam raz do przewożenia worków z warzywami czy skór na targowiska. Staruszka siedziała na drewnianym koźle, otulona podróżnym płaszczem, z twarzą oświetloną przez maleńką latarenkę zwisającą z plandeki na zardzewiałym łańcuchu. Przed nią, niczym czarna forteca wyrastał Talbot Hall. We wszystkich oknach rezydencji płonęło światło.

Cyganka zatrzymała wóz przed szerokimi kamiennymi schodami. W tej samej chwili drzwi frontowe się otworzyły i wyszedł z nich wysoki Sikh. W jednym ręku trzymał dużą lampę oliwną, a w drugim groźnie wyglądający zakrzywiony nóż.

- Czego tu szukasz? - zapytał ostro. - W okolicy jest dziś niebezpiecznie i nie masz...

Jej głos przerwał protesty mężczyzny.

- Przynoszę żalobę do domu rozpaczy.

Z tymi słowami sięgnęła do tyłu i ściągnęła koc okrywający ciało, przymocowane pasami do drewnianych noszy na wozie.

Sikh wykrzyknął coś w urdu, potem po angielsku. Tuż za nim wyrósł sir John, wyczerpany i rozczochrany, w szlafroku z lamparcim obszyciem. Przetarł zmęczone oczy i nagle znieruchomiał, patrząc nad ramieniem Singha na ciało na wozie.

- Lawrence! - wykrzyknął z udreką. Odepchnął Sikha i zbiegł po schodach. Służący biegł tuż za nim. Nachylili się nad ciałem, oglądając je w świetle latarni.

- Żyje - sapnął Sikh.

Sir John na moment zamknął oczy i ścisnął deski noszy.

- Dzięki Bogu...

Siedząca na koźle Maleva patrzyła, jak mężczyźni wnoszą Lawrence'a po schodach do domu. Potem drzwi zamknęły się z trzaskiem i podjazd zatonał w ciszy i ciemności.

- Niech los ma was w opiece - mruknęła. - Niech los ma w opiece nas wszystkich.

Zawróciła wóz i pozwoliła, żeby koń sam znalazł drogę powrotną do obozowiska.

Dla Lawrence'a czas stracił znaczenie. Nie czuł jego upływu. Nie znał dnia ani godziny i tylko niejasno zdawał sobie sprawę z tego, gdzie jest. Zdawało mu się, że całe wieki pływa w morzu ciemności bez poczucia kierunku. Był jak ślepe stworzenie, żyjące w mrocznych głębiach oceanu, poruszające się bez celu przez nicość. Jedynym dźwiękiem, jaki słyszał, był jego własny oddech - cichy, głęboki i miarowy. Kiedy go słuchał, jego świadomość zapadała z powrotem w sen.

Raz otworzył oczy i zobaczył pusty pokój, oświetlony padającymi ukośnie promieniami popołudniowego słońca.

Kiedy zamrugał, była już noc i jedynym światłem był blask świecy. Ktoś spał w fotelu, ale Lawrence nie wiedział, czy to rzeczywiście człowiek, czy stos starych płaszczy. Nie obchodziło go to. I znów zamknął oczy.

Kolejne mrugnięcie i zobaczył Gwen Conliffe, siedzącą w fotelu pod oknem, ze słońcem na twarzy i Biblią na kolanach. Gwen? Co ona tu robi? Lawrence usiłował przypomnieć sobie, kim w ogóle jest ta dziewczyna, ale im bardziej się starał, tym bardziej nieuchwytna była odpowiedź. Zobaczył, że Gwen porusza się i odwraca do niego, ale znów zapadał w ciemność. Jeśli go zobaczyła lub wypowiedziała jego imię, nie wiedział tego.

Kilka razy widział w pokoju mężczyzn. Sir Johna, stojącego przy oknie z rękami splecionymi za sobą, sztywnego z napięcia, kiedy pozostali mówili coś, czego Lawrence nie rozumiał. I, raz czy dwa, Singha. Miał też niejasne wspomnienie, że ktoś przykłada mu do czoła wilgotną szmatkę. Czy rozbił to Singh? Ojciec? A może Gwen? Może to był tylko sen?

Po jakimś czasie przestał się nad tym zastanawiać. Lubił ciemność. Tam na dole, kiedy pływał w morzu nicości, było mu lepiej, więc przebywał w tym miejscu najczęściej, jak mógł. Na dole nie było bólu. Nie było wspomnień. I nic nie ścigało go przez cienie.

Lawrence dryfował przez sny, godziny przechodziły w dni, a dni w tygodnie. Sir John Talbot napił się whisky i odstawił szklanekę na kamienną poręcz tarasu. Przestał się kryć, zakradać do środka i niepostrzeżenie uzupełniać

trunek z karafki. Butelka stała teraz obok szklanki, a na jej dnie został zaledwie cal złotego płynu.

Był zimny poranek. Czuło się ukąszenia nadchodzącego mrozu w powietrzu. Ale nawet jeśli chłód przegryzał się przez ciepło alkoholu w ciele sir Johna, na twarzy mężczyzny nie było tego widać.

Obserwując pola i drogi swojej posiadłości, oraz fale liści gnane wiatrem, mężczyzna zobaczył w oddali poruszający się ciemny kształt. Odwrócił teleskop i nachylił się do okularu. Daleko na horyzoncie przesuwiał się cygański tabor, coraz mniejszy i coraz mniej wyraźny, w miarę jak oddalał się od Blackmoor.

Sir John wyprostował się, mrużąc oczy i krzywiąc usta w zaciętym grymasie. Podniósł szklankę, wlał do niej resztki whisky i stał tak, popijając, owiewany chłodnym wiatrem.

Woźnica zatrzymał powóz na skraju Blackmoor i odwrócił się na koźle, kiedy drzwi się otworzyły i pasażer wysiadł. - Na pewno tu pana wysadzić, sir?

Mężczyzna wyprostował się i założył na głowę melonik. Był wysoki, miał sumiaste wąsy i bokobrody, nos złamany co najmniej dwa razy, usta ściągnięte w surowym grymasie i spojrzenie człowieka, który spędził sporo czasu na londyńskich ulicach. Rozprostował załamania swojego długiego, płowego płaszcza i powoli rozejrzał się po szarym smutku miasteczka i ponurym krajobrazie.

- Sir?

- Tu będzie dobrze - powiedział pasażer. Sięgnął do powozu i wyciągnął ciężką walizę.

Woźnica spojrzął na niego z powątpiewaniem, po czym popatrzył niepewnie na miasteczko. Słyszał o tym miejscu. Ledwie miesiąc temu londyńskie gazety pełne były dziwnych doniesień o dokonanej tu serii morderstw. Podobno winne było dzikie zwierzę. Spojrzął w niebo, oceniając, ile godzin dnia mu zostało, a potem, nie tracąc czasu, cmoknął na konie, które natychmiast wyrwały do przodu, jakby one też jak najszybciej chciały się stąd wynieść.

Wysoki mężczyzna stał na poboczu i patrzył, jak odjeżdżają. Schował ręce do kieszeni płaszcza, przeszedł powoli na drugą stronę drogi i wspiał się na łagodne wzniesienie, żeby lepiej widzieć teren za miasteczkiem. Jesień ogołociła drzewa z liści, więc sięgał wzrokiem na wiele kilometrów. Widział przeciwny koniec doliny i zarośnięte chwastami pola otaczające Talbot Hall. Z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyjął cygaro, zapalił je i przyjrzał się rezydencji. Jego niebieskie oczy były czyste i zimne jak diamenty. Uśmiechnął się do siebie, a potem odwrócił i bez pośpiechu ruszył do miasteczka.

Singh stapał cicho po korytarzu. W ciągu ostatnich kilku tygodni cisza rządziła całym domem. Zarówno doktor z miasteczka, jak i specjaliści, których sprowadził sir John twierdzili, że odpoczynek i spokój są najważniejsze, jeśli Lawrence ma mieć jakąkolwiek szansę powrotu do zdrowia. Żadnych hałasów, żadnych wstrząsów, żadnych niespodzianek. Tylko odpoczynek, żeby zmasakrowane ciało chorego mogło się zregenerować.

Singh w jednej ręce trzymał tacę z dzbanem wody i świeżym ręcznikiem, a drugą ostrożnie nacisnął klamkę u drzwi sypialni. Już po pierwszym dniu naoliwił zamek, tak że zasuwka odsuwała się bezgłośnie.

Otworzył drzwi i zobaczył pannę Conliffe na jej zwykłym miejscu, śpiącą w fotelu pod oknem z otwartą książką na kolanach. Biedaczka bywała tu codziennie, odkąd Cyganie przywieźli Lawrence'a do domu. Siedziała przy nim do późnej nocy, przygnieciona poczuciem winy, bo to ona napisała do niego do Londynu, prosząc żeby pomógł w poszukiwaniach Bena. I to ona zgodziła się, żeby zapolował na potwora, który rozszarpał jego brata.

Singh czuł ból w sercu, kiedy o tym myślał. Znał Benjamina i Lawrence'a od dziecka. Płakał, kiedy sir John wysłał Lawrence'a do szpitala, a potem do Ameryki. Bardzo się o to pokłócili, ale w końcu Singh był służącym, a sir John panem tego domu. Ale Ben... Widział, jak biedny chłopak dorasta, kochał go jak własnego syna. Ból i gorycz z powodu jego śmierci czuł cały czas. A teraz wyglądało na to, że Lawrence też umrze. Trzy tygodnie w śpiączce, bez oznak świadomości, bez śladu poprawy.

To przeklęty dom, powtórzył w myślach po raz tysięczny.

Wszedł do pokoju i podszedł do stolika, na którym leżały drobiazgi niezbędne do pielęgnacji pacjenta w śpiączce. Światło wpadało do środka przez firanki. Singh rzucił okiem na łóżko, żeby sprawdzić, czy bandaż się nie...

Znieruchomiał i wytrzeszczył oczy. Taca wypadła mu z ręki i uderzyła o podłogę. Metalowy dzbanek zadźwięczał jak dzwon, chlusnęła woda. Nagły hałas obudził Gwen Conliffe, która poderwała się na nogi, jednocześnie przerażona i zdezorientowana. Podobnie jak Singh otworzyła usta ze zdziwienia.

- Lawrence?... - szepnęła.

Lawrence Talbot siedział na skraju łóżka. Szary na twarzy, spocony, okropnie wychudzony i zapuszczony. Ale przytomny i żywy.

Gwen pobiegła przez pokój do chorego.

- Pójdę po lekarza - rzucił Singh i wypadł z sypialni.

Lawrence czuł się na wpół martwy. Oczy miał głęboko zapadnięte, włosy przetłuszczzone i przyklejone do głowy, wargi jak z gumy i obwisłe. W ustach czuł paskudny posmak, a w każdym mięśniu i każdej kości pulsujący ból. Zwiesił głowę i poruszył nią powoli jak chory niedźwiedź, usiłując oczyścić umysł.

Usłyszał szelest tkaniny i poczuł dotyk chłodnych dłoni na rękach. Podniósł głowę i zobaczył Gwen siedzącą obok niego na łóżku. Gwen? Nic nie rozumiał. Nie miała już na sobie czarnej żałobnej sukni.

- Myślałem... że wyjechałaś - wymamrotał. – Spóźnisz się na pociąg.

Gwen zaśmiała się, pociągnęła nosem i otarła łzy z niebieskich oczu.

- Wygląda na to, że nie da się stąd uciec.

Lawrence zmarszczył czoło, zdezorientowany. Wyrzwał za okno. Drzewa były prawie nagie.

- Była burza?

- Tak - odparła Gwen z wahaniem. - Tak... była straszna burza.

Ale Lawrence już spał.

Doktor Lloyd przybył po pół godzinie. Zastał sir Johna stojącego obok łóżka chorego i Gwen krążącą z oddaniem wokół Lawrence'a. Przywykł już do pełnego napięcia milczenia między starcem i młodą kobietą z Londynu, i uważał, że dobrze się stało, że nie weszła do rodziny Talbotów. Przynajmniej dopóki sir John był panem domu. Oziębły, nadęty stary drań, pomyślał Lloyd. Nigdy nie doszedł do siebie po samobójstwie żony, jakby jego serce przestało bić razem z sercem Solany. I wcześniej nie był szczególnie serdecznym człowiekiem. Teraz, kiedy jeden z jego synów nie żył, a losy drugiego ważyły się przez tyle tygodni... Cóż, pomyślał doktor, panna Conliffe musi mieć anielską cierpliwość, żeby znosić humory sir Johna przez cały ten czas.

Rozsądnie lekarz nie dał po sobie poznać, co chodzi mu po głowie.

Przysunął sobie krzesło i odwinął przesiąknięte zaschniętą krwią bandażę. Bark Lawrence'a Talbota, jego pierś i plecy wyglądały jak plan boczny kolejowej. Po sinym ciele biegły kręte linie czarnych szwów. Lekarz chrząknął i opadł na oparcie krzesła, przyglądając się ranom. Były zadziwiająco dobrze zrosnięte, brzegi wszystkich rozdarć stykały się równo, prawie nie było opuchlizny. Pochylił się i powąchał opatrunek, ale nie wyczuł nic podejrzanego. Rana była przez jakiś czas zakażona, ale teraz nie wydobywał się z niej charakterystyczny smród ropy. Doktor przytrzymał dłoń wierzchem do dołu nad szwami - gorączki też nie było.

- Bardzo boli? - spytał.

- Właściwie... - zaczął Lawrence i przerwał ze zdziwioną miną. - Właściwie wcale nie boli. Raczej pulsuje. Marnuje się pan, doktorze, w tej miejscinie.

Doktor Lloyd znów odchrząknął.

- Niech pan zaciśnie pięść.

Lawrence powoli zwinął palce dłoni. Lloyd uniósł brwi i wyciągnął palec.

- Proszę ścisnąć mój palec.

- Jestem słaby jak niemowlę - zaprotestował Lawrence, ale chwycił palec doktora i ścisnął. Jego wysiłek wywołał grymas bólu - na twarzy lekarza.

Sir John przysunął się bliżej, obserwując badanie z wielkim zainteresowaniem. Lawrence zauważył go i podniósł wzrok.

- Ojczy, co powiedzieli Cyganie? Wargi starca wykrzywił lekki uśmiech.

- Ze do Blackmoor przybył diabeł.

Doktor cofnął dłoń i w milczeniu z powrotem założył opatrunki. Robiąc to, nie patrzył nikomu w oczy. Ledwie skończył, schował przybory do torby i wstał.

- Co się dzieje? - spytała Gwen. - Doszło do zakażenia czy...?

Doktor Lloyd pokręcił głową i w końcu spojrział w oczy Lawrence'owi.

- To... zdumiewające. Tydzień temu powiedziałbym, że nigdy więcej nie poruszy pan tą ręką.

- A teraz? - spytała Gwen.

Doktor popatrzył na nią nieruchomym wzrokiem.

- Brakowało mu całego ścięgna i większej części mięśnia. Rana najwyraźniej się... hm... wygoiła.

- Wygoiła? - powtórzył sir John.

- To naprawdę zdumiewające. - Lekarz odwrócił się z powrotem do pacjenta, ale nie spojrzał mu w oczy. - Zdumiewające. - Wyprostował się. - Wrócę pana zbadać pod koniec tygodnia.

- Doktorze... - odparł Lawrence. - Dziękuję. Jest pan cudotwórcą.

- Nie ja - odparł doktor Lloyd i wciąż unikając wzroku chorego, odwrócił się i wyszedł. Singh odprowadził go do drzwi.

Kiedy lekarz wyszedł, Gwen poprawiła Lawrence'owi poduszki, a sir John stanął w nogach jego łóżka.

- Panno Conliffe - powiedział cicho - dziękuję, że była pani z nami w tym trudnym czasie. Być może, gdyby w tym domu ktoś miał pojęcie o synowskim posłuszeństwie, nie musielibyśmy pani tak kłopotać.

Gwen zeszywniała. Lawrence spojrzał najpierw na nią, a potem na ojca, wyczuwając napięcie i słusznie odgadując, że to kolejna runda sporu, który toczył się przez ostatnie kilka tygodni. Odpowiedź dziewczyny potwierdziła jego przypuszczenia.

- Lawrence usiłował tylko odkryć, co zabiło Bena - powiedziała chłodno. - Zachował się jak bohater i zrobił to z miłości.

- Z miłości? - powtórzył sir John, kręcąc głową. - Nie, moja droga, myślę, że miał nieco silniejszą motywację. Rzadko kiedy to miłość każe myśliwemu zagłębić się w puszcze.

Lawrence milczał. Wielu rzeczy nie pamiętał, ale palącą nienawiść i szaloną wściekłość - doskonale. Nie chciał jednak brać strony ojca przeciwko Gwen.

- Niech pan to nazywa, jak pan chce - stwierdziła dziewczyna z naciskiem - ale Lawrence nie jest krnąbrnym dzieckiem. To mężczyzna. - Jej głos zadrżał.

- Wspaniały mężczyzna... i straszliwie ucierpiał.

- Niepotrzebnie - odparował sir John.

- Nie? Teraz wiemy, że morderstwo Bena nie było przypadkowym dziełem jakiegoś szaleńca przejeżdżającego przez okolicę. Czyż nie taką miał pan teorię? Cóż, to nie wariat zaatakował obóz Cyganów.

- Nie - odparł sir John - ale nadal nie wiemy, co to było, prawda?

- Nie... - ale wiemy, że cokolwiek to jest, wciąż się gdzieś czai.

Doktor Lloyd zostawił wywar nasenny i mimo protestów Lawrence'a Singh niemal siłą wlał mu go do gardła. Lawrence runął w czarną otchłań. Nie wiedział, czy minęły godziny czy dni. Samo przebudzenie, konfrontacja z tym, co się stało, poszturchiwania doktora Lloyd'a, pytania ojca, jastrzębie czuwanie Singha i pociechy Gwen - wszystko to było dla niego zbyt przytłaczające. Zapadł z powrotem w sen. Ale był to sen, nie śpiączka.

Obudził się w środku nocy. Gwen nie było w jej fotelu. Lawrence przypominał sobie niejasno sir Johna nalegającego, żeby odpoczęła w łóżku przygotowanym dla niej w pokoju naprzeciwko - łóżku, z którego aż do tej chwili rzadko korzystała. Chociaż Lawrence chętnie porozmawiałby z nią w ciszy i spokoju nocy, cieszył się, że może być sam.

Jego bark dziwnie pulsował. Nie był to ból, ale też nic przyjemnego - dziwne wrażenie, że coś porusza mu się pod skórą. Lawrence czytał o chirurgach, którzy kładli larwy much na zakażone rany, bo małe robaki wyjadały tylko martwą tkankę, nie ruszając zdrowego ciała. Chociaż rozumiał logikę tego zabiegu, wzbudzał on jego obrzydzenie i modlił się, żeby pod bandażami nie miał wijących się larw.

Zsunął nogi z łóżka, postawił je na dywanie i przez chwilę poruszał palcami stóp po grubym pluszu. Ale dziwne wrażenie nie mijało. Sprawdził swój chwyt, otwierając i zaciskając dłoń zranionej ręki. Wcześniej była sztywna i bezwładna, ale teraz palce się poruszały, a mięśnie działały prawidłowo. Dodało mu to otuchy, chociaż bark zaczął mocniej pulsować i swędzieć.

- Na razie wszystko dobrze - powiedział głośno, świadom, że jego głos brzmi jak skrzek od długiego nieużywania. Opowiadając poprzedniego dnia całą historię ataku, niemal całkiem zdarł sobie gardło i od tamtej pory prawie się nie odzywał. Singh przynosił mu kolejne filiżanki herbaty z miodem, a Gwen karmiła go rosołem.

Chciał wstać z łóżka, ale było to poważne wyzwanie. Przytrzymał się słupka i zdrową ręką powoli podciągnął się na nogi. Przez kilka przyprawiających o mdłości sekund pokój wirował mu przed oczami, ale

wszystko dość szybko się uspokoiło. Mimo to, odczekał dłuższą chwilę, zanim zrobił pierwszy krok.

Mięśnie miał wiotkie, ale nie tak słabe, jak można by się spodziewać po blisko miesiącu spędzonym w łóżku. Powoli podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Niebo było aksamitnie czarne, a nabrzmiąły księżyc zalewał krajobraz srebrzystą poświatą.

Niedaleko stało wysokie lustro. Lawrence podszedł do niego ostrożnie, obejrzał swoją wychudzoną twarz i zajrzał w ciemne oczy.

- Kim jesteś, stary żebraku? - spytał, ledwie się rozpoznając. Bark znów mu zapulsował. Lawrence wziął głęboki oddech i podjął trudną decyzję. Wiedział, że wcześniej czy później będzie musiał stawić czoła swoim makabrycznym obrażeniom. Nieważne, co wygadywał doktor o tym, że odrosły mu ścięgna, Lawrence wiedział, że zapewne zostanie przynajmniej częściowym kaleką. Już się zastanawiał, jak ograniczenia niesprawnej ręki wpłyną na jego możliwości sceniczne. Szekspir pisał ekspresyjne dramaty i choć zdolności głosowe również były ważne, najistotniejsze pozostawały gesty i ruchy.

- Zawsze zostaje Ryszard III - rzucił Lawrence do swojego sceptycznie skrzywionego odbicia.

Przygotował się na najgorsze, rozwiązał szlafrok i pozwolił mu opaść na podłogę. Potem bardzo ostrożnie i delikatnie, zaczął zdejmować bandaż. Odwijał zwój za zwojem; zdawało się, że lekarz obwiał go milami gazy. Jakaś spaczona część jego umysłu zauważyła, że zwoje opatrunków piętrzące się u jego stóp wyglądają jak wnętrzności. Przeklął własną wyobraźnię za te skojarzenie. Swędzenie doprowadzało go już prawie do szaleństwa. Chciał zedrzeć bandaż i drapać się choćby i do krwi, ale to by było głupie. Doktor Lloyd powiedział, że po tym, co zrobili Cyganie i on sam, ciało Lawrence'a spajały setki szwów. Boże. Setki.

Zdjął już kilka warstw bandaża i dotarł prawie do skóry. Między nim a ranami, z którymi miał żyć aż do śmierci, leżała tylko jedna, gruba warstwa opatrunku. Jaką straszliwą prawdę skrywała? I, co ważniejsze, czy Lawrence będzie potrafił stawić jej czoła? Wcześniej wydawało mu się, że tak, ale teraz, w decydującej chwili, się zawahał.

- Dalej, ty tchórze - skarcił się głośno.

Oderwał opatrunek. To, co zobaczył, sprawiło, że poczuł się, jakby ktoś wbił mu nóż w brzuch. Jego skóra była pokryta obłąkańczym wzorem strupów, ciągnących się od łopatki do sutka i od mostka do pachy. Zasnęta, zaskorupiała krew potwornie swędziała.

- Niech to szlag - zaklął Lawrence i na próbę dotknął jednego ze strupów. Nie zabolalo tak, jak się spodziewał, ale kiedy cofnął palec, kawałek strupa przykleił się do niego i oderwał...

Tyle że pod spodem nie było żadnej rany. Lawrence przygryzł wargę, mając nadzieję, że może obrażenia nie są tak rozległe, na jakie wyglądają. Może część strupów to tylko rozmazana krew, która zaschła na skórze, pomyślał.

Podważył paznokciem krawędź kolejnego strupa; ten opierał się krótką chwilę, po czym odpadł. Lawrence zmarszczył brwi. Bark swędział go okropnie. Zaczął zdrapywać kolejne strupy, żeby się podrapać i zarazem odsłonić swoje rany. Strupy odpadały, a wraz z nimi przyschnięte kawałki katgut i nici chirurgicznej. Nie przestawał - drapał coraz szybciej i mocniej, w miarę jak odsłaniał coraz więcej ciała.

Żadnej rany nie było.

Pod strupami, tam gdzie zagoiły się długie, straszne rozdarcia, ujrzął tylko cienkie białe linie. Ani jedna rana nie pozostała niezrosnięta, nie było też żadnych śladów po szwach, żadnej mozaiki poszarpanego ciała. Znalazł tylko siatkę prawie niewidocznych, białych blizn, znaczących miejsca, gdzie kły i pazury usiłowały wydrzeć z niego życie.

- Boże... - sapnął, wstrząśnięty tym, co zobaczył, chociaż w głębi serca, podejrzewał że Bóg ma z tym niewiele wspólnego.

Później tego dnia - wbrew kilkukrotnym ostrzeżeniom Gwen Conliffe - Lawrence Talbot zszedł na dół. Powiedział, że „wraca między żywych”.

- Ale twoje ramię! - zawołała.

- Prawie nie boli - skłamał. Ramię nie bolało go w ogóle, ale nikomu o tym nie powiedział. Sam jeszcze nie wiedział, co myśleć o tym cudzie, o ile „cud” był tu właściwym słowem. - Ale... jeśli pozwolisz mi się na tobie wesprzeć, na pewno uda mi się nie spaść ze schodów.

Powiedział to z uśmiechem, w ramach niewinnego flirtu, który uchodzi na sucho każdemu rekonwalescentowi, jednak Gwen i tak się zaczerwieniła. Podała mu jednak ramię i Lawrence zszedł po schodach, ciesząc się z jej towarzystwa. Ręka być może mu się zagoiła, ale wciąż nie trzymał się pewnie na nogach.

Na dole przystanął na chwilę, żeby złapać oddech.

- Kiedy ojciec dobudował dodatkowe pięćset stopni?

- Mówiłam ci, że to za wcześnie.

- Nie łajaj mnie, Gwen - powiedział, nie puszczając jej ramienia. - Nie zniósłbym uwięzienia w tym pokoju ani minuty dłużej. Cały ranek nie mogłem się doczekać...

Gwen ścisnęła lekko jego rękę i chciała coś powiedzieć, kiedy do holu wszedł sir John.

- No, no - powiedział na widok ich splecionych rąk. Gwen zaczerwieniła się jeszcze mocniej i cofnęła ramię.

- Potrzebował pomocy na schodach - zachnęła się.

- Z pewnością.

Lawrence'owi nie podobał się oskarżycielski ton ojca, ale rozumiał go. Gwen była zaręczona z Benem. Każdy cieplejszy gest ze strony brata zmarłego mógł być uznany za niewłaściwy i przedwczesny.

- Cóż - powiedział, chcąc wybrnąć jakoś z niezręcznej sytuacji - pomogłaś mi uniknąć zjechania siedzeniem po schodach, co nie przysłużyłoby się bynajmniej mojej reputacji... Ale dalej chyba poradzę sobie sam.

Odwrócił się do wazy z epoki Ming stojącej między dwoma łukami schodów i zauważył srebrną laskę, którą dostał od starego Francuza. Kiedy po nią sięgnął, wydawało mu się, że wilczy łeb wyszczerzył kły. Poczł obrzydzenie. Mimo to chwycił laskę i oparł się na niej.

- W sam raz.

Sir John odchrząknął i dyskretnym ruchem głowy wskazał bawialnię...

- Jeśli starczy ci sił... mamy towarzystwo.

- Ja...

- Jakiś inspektor z Londynu. - Sir John podszedł bliżej. - Chce ci zadać kilka pytań.

- Nie! - zaprotestowała Gwen. - Lawrence nie ma jeszcze dość sił.

- Nie ma - zgodził się sir John. - Dlatego dopilnujemy, żeby to się nie zamieniło w przesłuchanie.

- Nic mi nie będzie, Gwen - zapewnił Lawrence. - Poza tym chcę pomóc.

Sir John przyjrzał się mu uważnie.

- A więc dobrze.

Już na pierwszy rzut oka widać było, że inspektor Aberline to opanowany typ. Zachowywał się jak prosty robotnik, ale widać było po nim również zdobyte wykształcenie. Lawrence'a nie zmylił ten pozornie luźny sposób bycia. Podobnie jak iskierki w niebieskich oczach detektywa nie ukryły przed aktorem prawdziwego oblicza inspektora, jego intelektu i wyrachowanego umysłu. W innych okolicznościach z przyjemnością zagrałby z nim w karty. O człowieku można się bardzo wiele dowiedzieć, grając z nim w karty.

Inspektor siedział wygodnie w fotelu. Na stoliku obok niego w porcelanowej filiżance parowała herbata. Sir John stał obok wielkiego globusa i obracał go powoli, choć spojrzenie miał utkwione w Aberlinie.

- Mój syn został poważnie raniony, inspektorze - powiedział. - Bardzo poważnie, co wpłynęło też na jego pamięć. Nie wiem, czy zdoła panu jakoś pomóc.

- To nie najlepszy moment na takie rozmowy - zgodziła się Gwen.

- Doskonale rozumiem - powiedział Aberline nieco nieśmiało. - Tyle tylko, że... chciałbym z nim zamienić zaledwie parę słów. Całkowicie nieoficjalnie...

- Nie, nie - przerwał mu sir John z zaciętą miną. - Nie!

- Nawet najkrótsza pogawędka - nalegał inspektor - może się dla nas okazać nieskończenie pomocna.

- Nie! - odpowiedzieli sir John i Gwen chórem.

- Tak - oznajmił Lawrence i wszyscy popatrzyli na niego z zaskoczeniem.

- Lawrensie - zaczęła Gwen - nie pozwól...

- Wszystko w porządku. Ja też chcę zrozumieć, co się stało.

- To głupota - warknął jego ojciec. - Widać wyraźnie, że jesteś niezdrów. To oburzające, tak zakłócać twoją rekonwalescencję.

Lawrence kiwnął głową, ale nie odrywał wzroku od Aberline, którego uśmiech nie sięgał oczu. Wydawało mu się jednak, że go rozumie. Sir John w końcu ucichł, widząc tę wymianę spojrzeń. Westchnął.

- Och, do diabła, niech będzie.

- Dziękuję... - zaczął Aberline, ale sir John nie dał mu dokończyć.

- Jeśli będzie pan przemęczał mojego syna... jeśli w jakikolwiek sposób będzie mu się pan naprzykrzał, to, z oficjalnymi papierami czy bez, wyrzucę pana stąd. Pana najście wystawia na próbę moją gościnność.

Kiedy to mówił, Singh wszedł w pole widzenia inspektora i stanął za Lawrence'em, krzyżując na piersi grube ramiona.

Aberline wyglądał na lekko rozbawionego, ale skłonił głowę.

- Rozumiem, sir Johnie, obiecuję nie nadużywać pańskiej wspaniałomyślności. - Z tymi słowami odwrócił się do Lawrence'a. - Francis Aberline, Scotland Yard. To zaszczyt pana poznać, panie Talbot. Jestem wielkim miłośnikiem pana kunsztu. Miałem szczęście oglądać pana w *Otelli* w Edynburgu, kilka lat temu. Zgadzam się z krytykami, że stworzył pan postać Jaga na nowo dla współczesnych scen. Brawo.

- To była moja pierwsza europejska trasa - powiedział Lawrence, zaskoczony pochwałą i faktem, że Aberline widział go na scenie. - Jako policjant zapewne z satysfakcją oglądał pan nawróconego przestępcę.

Aberline się uśmiechnął.

- W istocie. Byłem też zachwycony, że udało mi się złapać pana w roli Hamleta. Przykro słyszeć o pana kłopotach. Mam nadzieję, że nie utrudnią panu powrotu na scenę.

- Dziękuję. - Lawrence słuchał tonu głosu Aberline'a tak samo uważnie jak jego słów. Jego uwagi nie uszedł delikatny nacisk na słowa „złapać pana”. Przejęzyczenie? Podstęp? Tak czy inaczej, od razu wzmógł czujność. Aberline ze swojej strony wydawał się studiować jego twarz. Cóż, pomyślał Lawrence, niech patrzy. Wiedział, że policjanci są biegli w rozpoznawaniu kłamstw i półprawd, ale on nie miał nic do ukrycia, a nawet gdyby miał... Całe jego życie zbudowane było wokół rozmyślnego udawania, przekazywania tylko tego, czego wymagała jego interpretacja scenariusza. Niech patrzy.

Aberline najwyraźniej zdał sobie sprawę, że Lawrence zauważył jego badawcze spojrzenie, więc spróbował zamaskować je śmiechem.

- Proszę wybaczyć, że tak się gapię, naprawdę nie potrafię wyrazić, jak bardzo poruszył mnie pański melancholijny duński książę. Na pewno czuje się pan na siłach zamienić ze mną kilka słów?

- Tak - odparł Lawrence. - Proszę powiedzieć, czy schwytał pan już tę bestię? Ta zuchwała riposta miała wytrącić Aberline'a z równowagi. Lawrence zauważył, że inspektor niemal niedostrzegalnie drgnął.

- Obawiam się, że nie - odparł.

- A czego pan dokonał? Aberline rozejrzał się po pokoju.

- Panie Talbot, byłbym bardzo zobowiązany, gdybyśmy mogli porozmawiać w spokoju i na osobności. - Wskazał drzwi na korytarz. - Może w państwa galerii portretów? Tuż za drzwiami. Ma pan coś przeciwko?

- Do diabła, ja mam - warknął sir John. Lawrence machnął ręką.

- Ojczy, jeśli to ma pomóc, zgadzam się. Nie pozwolę mu się zanadto dręczyć. Powiedział to z uśmiechem, ale Aberline'owi rzucił wyzywające spojrzenie. Inspektor tylko się uklonił.

Lawrence wspierał się na lasce, choć nie czuł, żeby była mu potrzebna. Z każdą sekundą jego słabość mijała, ale instynkt kazał mu grać rolę chorego aż do końca przedstawienia. Aberline zaoferował mu swoje ramię, ale Lawrence z uprzejmym uśmiechem odmówił. Kiedy weszli do przestronnej galerii portretów, inspektor zamknął drzwi do salonu i przez kilka chwil patrzył na długie rzędy przystojnych Talbotów obojga płci.

- Jestem wdzięczny, że Scotland Yard zajął się tą sprawą - powiedział Lawrence.

Aberline uśmiechnął się słabo.

- Serie okrutnych morderstw z reguły budzą naszą ciekawość - odparł sucho.
- Panie Talbot, powiedziano mi, że przeżył pan brutalną napaść. Muszę powiedzieć, że wygląda pan nie najgorzej.

Lawrence dostrzegł pułapkę i nie zamierzał w nią wchodzić.

- Miałem dużo szczęścia.
- W rzeczy samej. Czy przyjrzał się pan dobrze napastnikowi?

Przed Lawrence niczym wachlarz kart rozłożyło się tysiąc różnych odpowiedzi. Którą wybrać? Mógł wyprzeć się prawdy i wymyślić wiarygodne kłamstwo. Przyszłoby mu to bez trudu, bo prawda była zupełnie niewiarygodna. Wilkołak? Lawrence z trudem przywoływał to słowo w myślach, o wyobrażaniu sobie samej istoty nie wspominając. Mógł także przekonująco odegrać amnezję. Robił to przez ostatnie dwa dni, nie chcąc mówić Gwen i ojcu, że Bena zabił prawdziwy potwór. Ojciec już raz odesłał go do przytułku dla obłąkanych - gdyby usłyszał coś takiego, bez wahania znów wezwałby ludzi z kaftanami bezpieczeństwa i czarnym powozem. Lawrence wolał nie ryzykować.

Najłatwiej było odegrać wstrząs. Od chwili przebudzenia ze śpiączki Talbot musiał przynajmniej rozważyć tę wersję, bo cała historia była zupełnie fantastyczna. Potwory to istoty z bajek i tanich powieści grozy. Lawrence nie do końca wierzył, że jego wspomnienia są faktycznie wspomnieniami, a nie pozostałościami maligny. Równie dobrze mógł go poharatać tańczący niedźwiedź Cyganów, a cała reszta mogła być zwidem.

Wszystko to przemknęło mu przez głowę w ułamku chwili.

- To było jakieś zwierzę - powiedział krótko. - Nie wiem jakie. Było ciemno.

Aberline zmarszczył brwi.

- Jest pan pewien, że to było zwierzę?
- Och tak - odparł Lawrence. - I to duże.
- Hm... To niezwykle, zważywszy, że na wrzosowiskach nie ma naturalnych drapieżników zdolnych zadać komuś tak straszliwe rany.

Inspektor splótł ręce za plecami i z powątpiewaniem wydał usta.

- Na wrzosowiskach nie ma też niedźwiedzi - odparł Lawrence - a jednak jeden jeździ z Cyganami. Nie trzeba wielkiego sprytu, żeby wyobrazić sobie, w jaki sposób mogło się tu znaleźć niemal dowolne zwierzę, inspektorze.

- Nie było żadnych innych doniesień...

- Są inni świadkowie - przerwał mu Lawrence. - Bez wątpienia przyjrzeni się tak samo dobrze jak ja. Może nawet lepiej. Rozmawiał pan z Cyganami?

- To przesądna zgraja. Opowiadają tylko o diabłach i demonach - odparł Aberline. - Zastanawia mnie, czy to możliwe, żeby został pan zaatakowany przez człowieka? Okrucieństwo tej napaści sugerowałoby działanie zwierzęcia... a jeśli dodać do tego ciemność...

- Nie. - Odpowiedź Lawrence'a była krótka i stanowcza. - To, co nas zaatakowało tamtej nocy, na pewno nie było człowiekiem.

- Nie zwykłym człowiekiem. Może szaleńcem? Kimś, kto wcześniej cierpiał na zaburzenia umysłowe, kto spędził jakiś czas w szpitalu? I kto mógł odnieść obrażenia z rąk własnych ofiar...?

Słowa zawisły między nimi w powietrzu. Z obezwładniającym strachem Lawrence uświadomił sobie, że Aberline wie o jego pobycie w szpitalu dla wariatów.

- Co pan sugeruje, inspektorze?

- Wydaje mi się dziwne, że wszystkie morderstwa, w tym morderstwo pańskiego brata, wydarzyły się w pobliżu pańskiego rodzinnego domu. I to akurat kiedy przebywał pan w Anglii ze swoją trupą.

Lawrence miał wrażenie, że ktoś uderzył go w żołądek, ale wolał skonać, niż dać coś po sobie poznać. Do diabła z tym aroganckim głupcem.

- Inspektorze Aberline - powiedział ostrożnie - najwyraźniej zna pan moją przeszłość, tak jak ja, jak sądzę, znam pańską.

- Tak?

- Czy to nie pan kierował sprawą Rozpruwacza kilka lat temu?

Z twarzy Aberline'a zniknął wszelki wyraz.

- Tak. To bardzo smutna historia.

- Zgadzam się. Jestem tylko ciekaw... czy został pan zdegradowany, czy może przejechał pan taki szmat drogi, bo chce pan coś udowodnić?

Twarz inspektora przeszła przemianę. Dobroduszość opadła z niej jak odrzucony welon. Oblicze, które zobaczył Lawrence, było zacięte, wyprane z humoru i pozbawione współczucia.

- Doskonale. Jest pan bezpośrednim człowiekiem, więc pozwoli pan, że i ja będę bezpośredni. Nie jestem pana wrogiem, panie Talbot. Ale widziałem pańskiego Hamleta, Makbeta, Ryszarda Trzeciego... Wszystkich z tą samą twarzą. Kiedy wchodzi pan na scenę, staje się pan innym człowiekiem. Każdy ruch, każdy tik, każdy aspekt pana osobowości przechodzi niepokojąco autentyczną transformację. Człowiek rozsądny musi zapytać, kto jeszcze może mieszkać w pańskiej głowie. Jestem pewien, że mnie pan rozumie.

- Rozumiem - odparł gorzko Lawrence - dlaczego nie złapał pan Rozpruwacza. Po Scotland Yardzie spodziewałem się czegoś więcej. W Ameryce Yard jest legendą, ale widać taka jest natura recenzji. Nie można im wierzyć.

Wstał. Aberline również się podniósł, wolniej, z oczami zimnymi jak ślepień kobry.

- Niech mnie pan posłucha, Aberline - ciągnął Lawrence. - Byłem w Londynie, kiedy to coś zabiło mojego brata. Mogę grać role innych ludzi, ale nie potrafię się rozdzielić i być w dwóch różnych miejscach w tym samym czasie.

- Tak. Na to wygląda. - Riposta Talbota nie spieszyła Aberline'a. - Dlatego nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że ustalę, gdzie dokładnie przebywał pan podczas wszystkich swoich przedstawień w Londynie... i później.

- Sam rzuca pan sobie kłody pod nogi. Ale zważywszy na to, jak kiepsko prowadzona była sprawa Rozpruwacza, wnioskuję, że w ten właśnie sposób lubi pan postępować. Skoro już będzie się pan tym zajmować, może ustali pan także, gdzie byłem dwudziestego ósmego września tego roku. Być może śmierć Hermana Melville'a nie była wypadkiem. To mogłem być ja. Och, i byłem w Toronto na początku czerwca, kiedy zmarł premier Kanady. Lepiej niech pan sprawdzi, czy przypadkiem nie został zmasakrowany przez aktora.

- To nie pora na żarty, panie Talbot.

- Nie. To również nie pora... na absurdalne oskarżenia. Jeśli chce pan przekonać ludzi, że jest pan rzetelnym inspektorem, proponuję poświęcić

czas na szukanie bestii, która dopuściła się tych wszystkich okropności, zamiast marnować środki na nękanie ofiar.

Lawrence mówił coraz głośniej, aż do krzyku. Drzwi galerii otworzyły się i do środka wszedł rozjuszony sir John.

- Dość tych bzdur - warknął starzec. - Mój syn odpowiedział na pańskie pytania, zresztą i tak zbyt obszernie.

- Sir John...

- Wynocha - powiedział starszy z Talbotów głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Aberline skłonił się sztywno i wyszedł. Singh deptał mu po piętach do samych drzwi.

Lawrence spędził resztę popołudnia w galerii portretów. Singh przyniósł mu jedzenie, ale mężczyzna nie miał apetytu. Włożył brokatowy szlafrok i kapcie, wziął laskę z wazy i wyszedł do ogrodu. Ruszył ścieżką nad jezioro. Słońce stało wysoko. Jego promienie migotały jak klejnoty na łagodnie falującej wodzie. Odbite światło było mocne i raziło oczy, ale Lawrence wpatrywał się w nie najdłużej jak mógł, wyobrażając sobie, że znalazłby w nim odpowiedzi, jeśli tylko potrafiłby do nich dotrzeć.

- Lawrence!

Odwrócił się i zobaczył Gwen Conliffe spieszącą ku niemu po ścieżce.

- Szukałam cię i nie mogłam znaleźć.

- Coś się stało?

- Nic - odparła i prawie się zaczerwieniła. - Chciałam... Chciałam tylko z tobą porozmawiać.

Przystanęła obok niego. Słońce zmieniało błękit jej oczu w kryształowy lazur.

- Co ci powiedział inspektor Aberline? Obaj wyglądaliście na rozzłoszczonych. Lawrence długo się zastanawiał, jak odpowiedzieć na to pytanie. Odwrócił się i ruszył brzegiem jeziora, trzymając Gwen pod ramię.

- Nie pomoże nam - powiedział. Kiwnęła głową.

- Przykro mi.

- Przykro? Dlaczego? Gwen pokręciła głową.

- Nie mogę... przestać się czuć winna temu, co się z tobą stało. Gdybym nie wysłała tego listu...

- Nie - odrzekł stanowczo. - Dobrze się stało, że wróciłem.

Zatrzymali się przy kępie oczeretów. Lawrence oparł laskę o trzciny, schylił się, podniósł kamień i przez chwilę ważył go w ręku, a potem rzucił płasko na wodę. Odbił się od pół tuzina fal, zanim zatonął. Lawrence uśmiechnął się i sięgnął po następne kamienie, uważnie je wybierając.

- Opowiedz mi o Nowym Jorku - poprosiła Gwen. - Często się zastanawiałam, jak tam jest.

Lawrence podał jej kamień i patrzył, jak go rzuca. Zatonął od razu.

- Któregoś dnia musisz przyjechać mnie odwiedzić, wtedy zobaczysz sama.

Podał jej następny.

- Wszystko jest możliwe - powiedziała i rzuciła. Tym razem kamień odbił się od powierzchni wody i poleciał daleko w fale.

Lawrence zaczął się śmiać, ale nagle znieruchomiał z głową przekrzywioną, żeby lepiej słyszeć. Odwrócił się i rozejrzał po polach, ścieżkach i lesie.

- Słyszałaś? - spytał.

- Go?

Podniósł palec. Wyteżył słuch i wreszcie to uchwycił. Konie na drodze. Wciąż kilka mil stąd, ale zbliżające się do posiadłości. Cud, że w ogóle zwrócił na nie uwagę.

- Idź, powiedz mojemu ojcu, że mamy towarzystwo - zażądał i sięgnął po laskę ze szpada.

- Co się dzieje?

- Idź - ponaglił.

Gwen wahała się przez chwilę, a potem pospiesznie odeszła.

Lawrence poszedł ścieżką okrażającą dom i wyszedł przed budynek w chwili, kiedy do schodów podjechała klusem grupa mężczyzn na koniach. Kiedy jeźdźcy go zobaczyli, ich spojrzenia stwardniały. Skręcili w jego stronę. Lawrence przestraszył się, widząc gniewną determinację malującą się na ich twarzach. Niektórych rozpoznawał. Pastor Fisk jechał na przedzie, po lewej miał dziedzica Stricklanda, a po prawej pułkownika Montforda. Doktor Lloyd, zdenerwowany i zawstydzony, trzymał się z tyłu. Pozostałych Lawrence nie znał, ale wiedział, że nie ma wśród nich przyjaciół. Zatrzymał się, a jego palce pogładziły srebrną kryzę laski. Gdyby zrobiło się nieprzyjemnie, mógł przynajmniej dobyć szpady. Na widok ostrza ci głupcy może by ochłonęli. Albo go zastrzelili.

- Dzień dobry, doktorze - powiedział, zmuszając się do udawanej wesołości. - Myślałem, że zajrzy pan do mnie dopiero w piątek.

Strickland spojrzał na niego wyniośle.

- Jedziesz z nami, Talbot. Lawrence się uśmiechnął.

- A dokąd się wybieramy?

Strickland chciał odpowiedzieć, ale przerwał mu Fisk.

- Już prawie pełnia! - wybełkotał.

- Tak - przytaknął przeciągle Lawrence. - I co z tego? Pastor wycelował w niego oskarży cielsko palec.

- Ugryzła cię bestia. Nie zaprzeczaj! Nosisz teraz jej piętno.

Lawrence wybuchnął śmiechem. Nie mógł się powstrzymać. Ze wszystkich głupich wiejskich przesądów, jakie znał, ten był najbardziej absurdalny. Nawet gdyby mógł wierzyć własnym wspomnieniom, że to potwór go zaatakował, szczytem głupoty było sądzić, że to on jest tą przeklętą istotą.

Walczył z nią, ścigał ją, omal przez nią nie zginął. Ale ci ludzie zdawali się wierzyć w brednie pastora. Jedynie kilku miało dość rozsądku, by wyglądać na zakłopotanych. Doktor Lloyd miał zawstydzoną minę i nie potrafił spojrzeć Lawrence'owi w oczy.

Ale głos pułkownika Montforda przebił się przez śmiech.

- Dalej, Talbot... pokaż nam swoją ranę.

- Po co?

- Bo - odparował pastor Fisk z twarzą rozświetloną słusznym gniewem - powiedziano nam, że goi się nienaturalnie szybko.

Lawrence spojrzął na doktora, który opuścił głowę i zaczął studiować lęk siodła.

Montford ścisnął konia łydkami, wyjeżdżając przed grupę i usiłując zastraszyć Lawrence'a. Koń był ognistym rumakiem, dużo większym niż wierzchowce pozostałych jeźdźców, ale tuż przed Lawrence'em nagle zarżał i szarpnął się w tył, rzucając wielkim łbem na boki mimo silnej dłoni Montforda.

Świat wokół Lawrence'a jakby zamarł. Koń się bał, ale czego? Lawrence prawie się uśmiechnął. Wyglądało to tak, jakby to on wystraszył zwierzę... Ale to był nonsens.

Żaden z jeźdźców się nie uśmiechał, nawet doktor Lloyd nie odwracał już wzroku. Wszyscy wpatrywali się w Lawrence'a. Montford ponuro kiwnął głową i pstryknął palcami. Trzech barczystych mężczyzn o byczych karkach zsunęło się z siodel i zbliżyło do Talbota. Sytuacja była tak nieprawdopodobna, że zanim Lawrence zorientował się, co zamierzają, stracił wszelką przewagę. Wyrwano mu z ręki laskę, zanim zdążył przekręcić rączkę i uwolnić ostrze. Szorstkie dłonie chwyciły go za ręce.

- Puszczajcie mnie, bydlaki!

Szarpał się z całych sił, ale ręce opryszków były jak ze stali.

- Rozepnijcie mu koszulę - polecił Montford.

Lawrence wpadł w panikę, kiedy mężczyźni zaczęli szarpać jego szlafrok i koszulę nocną pod spodem. Wrzasnął i zaczął wierzgać, usiłując się wyrwać.

- Widzicie? - zawołał pastor Fisk. - Próbuje to ukryć! Lawrence kopnął jednego ze zbirów w krocze, ale inny zdzielił go w ucho, a trzeci uderzył w usta. Pękła mu warga i gorąca krew połała się po brodzie.

- Zmieni się podczas pełni - zaskrzeczał Fisk. Wyglądało na to, że naprawdę wierzył w zabobony. - Pozwolicie mu mordować swoje żony i dzieci?

- Trzymajcie go, do diabła - warknął Montford, zsuwając się z siodła. Od jednego z jeźdźców wziął linę i podał ją mężczyznom trzymającym Lawrence'a. Natychmiast zaczęli go wiązać.

Rozległ się ogłuszający huk i głowa ogrodowej rzeźby eksplodowała, obsypując pułkownika ostrymi odłamkami marmuru. Montford zatoczył się w tył, chwytając się za twarz. Spomiędzy jego palców popłynęła krew. Z oczu ciekły mu krwawe łzy od ostrego, kamiennego pyłu.

Wszyscy się odwrócili i zobaczyli sir Johna idącego przez trawnik. Właściciel posiadłości wyglądał na opanowanego, spokojnego nawet. Złamał wielką strzelbę na słońce i kciukiem wepchnął nowy nabój. Broń zatrzasnęła się z głośnym szczękiem, a sir John wycelował nią z biodra.

Montford gapił się na niego z wściekłością i niedowierzaniem. Twarz miał zalaną krwią.

- Talbot... niech cię szlag... Moje oczy! Pozostali sięgnęli po broń, ale sir John podrzucił strzelbę do ramienia.

- Przepraszam, pułkowniku - powiedział z dobrodusznym uśmiechem. - Celowałem w ciemność.

Wymierzył w Stricklanda, którego twarz była teraz blada jak płótno.

- Chyba oko mam już nie takie jak kiedyś.

Lawrence pierwszy doszedł do siebie. Próbował wyrwać się mężczyznom, ale trzymali go mocno. Doktor Lloyd zsiadł niezgrabnie z konia i pospieszył do Montforda, który mocno krwawił.

- Zostaw go - warknął sir John głosem niedopuszczającym dyskusji. Lekarz stanął jak wryty. - Rozwiążcie mojego syna.

- Jest przeklęty - zawodził pastor z takim przejęciem, że ślina opryskała mu brodę. - Bóg go opuścił.

Sir John prychnął.

- Cóż, w takim razie może wstąpić do klubu, nieprawdaż?

- Wiesz, o co mu chodzi - warknął Strickland. - John... Wiem, że to dla ciebie trudne, ale pozwól nam to załatwić.

- Może wyrażam się niejasno - stwierdził cicho sir John. - Rozwiążcie mojego syna albo was pozabijam.

- Chyba żartujesz - odparł Strickland. - Masz dwa naboje. My...

- Mój służący siedzi na dachu. Wszyscy wiecie, że świetnie strzela. Zabije kolejnych pięciu, zanim będzie musiał przeładować.

Wszyscy popatrzyli na dach wielkiego domu. Nie zobaczyli nikogo, ale nawet najbardziej tępi spośród nich zauważyli co najmniej tuzin miejsc, w których mógł się ukryć strzelec. Spojrzeli na Stricklanda, który z kolei zerknął na Fiska. Pastor oblizał usta, zastanawiając się nad sytuacją. Potem szybko skinął głową.

Doktor Lloyd wystąpił naprzód, zdjął sznury i posłał młodemu Talbotowi słaby pojednawczy uśmiech. Lawrence miał ochotę wtłoczyć mu go z powrotem do gardła, ale bał się, że jeśli raz uderzy tego głupca, nie będzie mógł przestać. W piersi wezbrał mu dziki szal, a zaciśnięte pięści dygotały. Chciał ich wybić do nogi. Zaciskał mocno usta w obawie, że wszystko, co spróbuje powiedzieć, zmieni się w ryk niepowstrzymanej furii.

Sir John podszedł do Montforda i przyjrzał się zakrwawionej twarzy pułkownika. Uśmiechnął się.

- A teraz wynoście się z mojej ziemi - powiedział cicho. - Następnym razem, jeśli któryś z was pojawi się tu nieproszony, nie będę taki uprzejmy.

Z tymi słowy opuścił strzelbę i wziął Lawrence'a pod ramię. Gwen Conliffe przybiegła z domu i podtrzymała go z drugiej strony. Żadne z nich nie obejrzało się na bandę, ale zanim zamknęli drzwi, usłyszeli jeszcze stukot kopyt na drodze.

W domu sir John i Gwen pomogli Lawrence'owi usiąść w fotelu. Całe zajście mocno osłabiło Lawrence'a, o wiele bardziej niż myślał. Gniew minął i zostawił go wyczerpanego, zupełnie bez sił. Drżenie kończyn nie ustąpiło, kiedy rozprostował zaciśnięte dłonie.

Sir John przywołał Samsona. Potężny wilczarz zbiegł po schodach. Starszy Talbot otworzył drzwi i cmoknął. Pies warknął i wypadł na zewnątrz, pędząc za intruzami. Lawrence słyszał jego basowe ujadanie, nawet kiedy ojciec zamknął i zaryglował drzwi.

- Mam iść po Singha? - spytała Gwen. Sir John wzruszył ramionami.

- Nie ma go. Jest w mieście, u kowala.

Gwen otworzyła usta, ale Lawrence wybuchnął śmiechem. Nigdy w życiu nie podziwiał swojego ojca bardziej niż w tej chwili. Sir John również parsknął pod nosem, wyraźnie uradowany wesołością syna.

- Chyba nie tylko ty w naszej rodzinie potrafisz grać - powiedział.

- Brawo, proszę pana - wykrztusił Lawrence między salwami śmiechu. - Brawo!

Gwen uklękła obok niego, a kiedy przestał rechotać, odchyliła go delikatnie na oparcie i chusteczką starła mu krew z rozciętej wargi. Lawrence wzdrygnął się w pierwszej chwili, ale jej dotyk był łagodny i kojący, a spojrzenie równie niepokojące co cudowne.

- Nie rozumiem, dlaczego sądzili, że jesteś dla nich zagrożeniem - irytowała się.

- Ja też - zawtórował jej Lawrence.

- Jest tu obcy, panno Conliffe - zauważył sir John. Stał plecami do obojga i żadne z nich nie zauważyło, jak zimne stały się jego oczy, gdy zobaczył wzrok Gwen opatrującej Lawrence'a i rozmarzone spojrzenie syna. Jego ton był wciąż lekki, ale twarz zrobiła się nieruchoma, jak wykuta z kamienia. -Jest obcy, a w Blackmoor to wystarczy.

A potem wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi. Jeśli zrobił to odrobinę za mocno, ani Gwen, ani Lawrence nie zwrócili na to uwagi.

Nad Talbot Hall z wolna zapadł zmrok. Ludzie z miasteczka nie wrócili, tak jak przepowiedział sir John.

- Skąd ma pan tę pewność? - spytała Gwen. Mężczyzna uśmiechnął się blado.

- Prowadził ich głupiec w głupiej sprawie, która źle się dla nich skończyła. Większość przyjechała tu tylko dlatego, że byli pijani. Bez wątplenia Strickland albo ten dureń Montford spolił ich piwem, zanim ich tu przyprowadzili. Kiedy wytrzeźwieją, na pewno zrozumieją, jak głupia była ich kruczata i jak absurdalne są argumenty Fiska.

- Mówisz, jakbyś już coś takiego widział - zauważył Lawrence.

- Nie od dziś żyję na tym świecie i spotkałem cały legion głupców - odparł sir John. - Wszyscy są zwykłymi oprysz-kami. Zdrap tę odrobinę poluru z wierzchu, a pod spodem znajdziesz tchórza.

- Chcę cię zrozumieć - powiedziała. Jej twarz pokryła się szkarłatnym rumieńcem. - Wargi ci ciągle krwawi - powiedziała pospiesznie, zdejmując żakiet i składając go niezwykle starannie. Chwyła miskę, wyjęła szmatkę i otarła krew.

Lawrence pozwolił jej na to bez komentarza. Prawdę mówiąc, czuł się dziwnie. Pocił się, serce waliło mu jak młotem. Dłonią otarł mokre czoło.

Gwen nachyliła się, żeby obejrzeć rozcięcie, poczuł zapach jej perfum. I skóry. Pachniała tak słodko, tak pociągająco, że niemal czuł jej smak. Na twarz wystąpiły mu świeże krople potu.

- Nie wygląda źle - powiedziała. - Krwawienie prawie ustało. Chyba przeżyjesz...

Mówiła dalej, ale nie mógł skupić się na jej słowach. Nagle zmieniły się w dźwięki bez znaczenia, podczas gdy wszystko inne stało się niewiarygodnie wyraźne. Widział, jak rozszerzają się jej źrenice, jak blaknie rumieniec na policzkach. Słyszał każdy oddech Gwen, jakby jej usta znajdowały się tuż przy jego uchu. Słyszał i potrafił odróżnić szelest każdej fałdy materiału okrywającego jej ciało. Wszystko to zalało go falą, przyprawiając o obłęd, obezwładniając.

- ...to może zboleć.

Zmoczyła szmatkę fenolem z małej buteleczki i dotknęła nią jego wargi...

Lawrence chwycił ją za nadgarstek. Uczynił to tak szybko, że jego ręka rozmyła się w ruchu. Poczuł pod palcami miękką skórę Gwen, kruchość kości, nagle przyspieszenie pulsu.

Ich spojrzenia się spotkały i nagle wszystko zamarło. Jakby umysł bronił się przed natłokiem zmysłowych wrażeń. Lawrence spojrzął dziewczynie w oczy i przez chwilę czuł się, jakby się w siebie zapadali. Zderzał się z nią, pochłaniał ją, pożerał...

Ze stłumionym okrzykiem puścił rękę Gwen, chwiejnie poderwał się z fotela i odskoczył od dziewczyny. Łapczywie chwycił powietrze.

- Lawrence? - Zerwała się na nogi. Była zarumieniona, nawet szyję i dekolt miała czerwone jak ogień. - Coś się stało?

To było absurdalne pytanie i mało brakowało, żeby Talbot się roześmiał. Ale wiedział, że jeśli to zrobi, może już nigdy nie przestać. Czuł w głowie rozwrzeszczany, bełkoczący obłęd. I pragnienie. Głód, żądzę zaspokojenia apetytu, o którym nie wiedział nawet, że go ma.

- Przepraszam - wykrztusił. Machnął ręką i, zataczając się, wybiegł z pokoju, szukając powietrza. Łaknąc ucieczki. Wiele by dał, żeby nie odczuwać żądzę, którą budziła w nim Gwen.

Łaknął.

Łaknął.

Kiedy skrył się na górze, poczuł się lepiej. Mimo to wciąż był zdenerwowany. Panika i niezaspokojony głód przycichły, jakby ktoś zdusił ogień, który przed chwilą buchał płomieniem. Ruszył zimnymi korytarzami, po których szalały przeciągi. Zaglądał do pustych pokoi w poszukiwaniu czegoś, czego nie umiał jeszcze nazwać. A jednocześnie wiedział, że nie znajdzie tego w domu.

Nagle coś usłyszał. Głęboki warkot, stąpanie miękkich łap i stukot pazurów na drewnianej podłodze. Lawrence przykucnął i się odwrócił. Cokolwiek się zbliżało, było tuż za rogiem. Laskę z ukrytym ostrzem zostawił na dole, mógł się więc bronić jedynie gołymi pięściami...

Zza narożnika wychynęła masywna skulona postać i, trzymając się cienia, ruszyła w jego stronę. W ciemnościach płonęły żółte ślepie.

Naraz stworzenie znalazło się w jaśniejszej plamie światła świec.

Samson.

W jego stronę zmierzał potężny wilczarz. Lawrence zaczął się cofać.

W chwili kiedy spotkały się ich oczy, zwierzę zamarło. Tak jak człowiek.

Nagle porozumienie między nimi było głębokie i dla każdego oznaczało co innego.

Tym razem pies nie okazywał otwartej wrogości, jak za pierwszym razem, ani ostrożnej niechęci podszytej agresją, co często się ostatnio zdarzało. Samson zwykle stawał między sir Johnem a Lawrence'em, co pewien czas obnażał zęby i cicho powarkiwał, dopóki pan go nie skarcił. Tym razem w ślepiach psa pojawiła się ciekawość, a człowiek nie odwracał wzroku, dzieląc ze zwierzęciem chwilę zrozumienia i świadomości, jakiej nigdy nie doświadczył, ani z człowiekiem, ani innym stworzeniem. Zupełnie jakby na jakimś pierwotnym poziomie nawiązała się nić porozumienia - zbyt głęboko, by ludzki umysł był w stanie to pojąć.

Lawrence dostrzegł, jak pies napina mięśnie grzbietu i poczuł, że robi to samo.

Potem Samson padł na podłogę i, jak szczeniak, przewrócił się na grzbiet. Ogon kołysał się jak szalony, z pyska wypadł mu różowy język. Bez

chwili wahania pokazał brzuch, jakby chciał okazać, że całkowicie poddaje się woli człowieka. Bestia leżała radośnie u stóp Lawrence'a.

Talbot zaniemówił.

Nie dlatego, że był zaskoczony... Raczej dlatego, że na pewnym poziomie świadomości doskonale rozumiał Samsona. Instynktownie, bo rozum nie był w stanie tego pojąć. Mimo to wiedział, że wilczarz tak właśnie powinien się zachować. I zdawał sobie sprawę, że to bardzo, ale to bardzo źle.

Przestraszyło go to bardziej niż wszystko inne tamtego dnia. Nawet bardziej niż najazd wścieklej zgrai i stryżek, który przywieźli.

Cofnął się kilka kroków, a potem odwrócił i uciekł.

Lawrence nie wiedział, co zrobić ani gdzie się skryć. Rozmowa z ojcem nie wchodziła w rachubę. A gdyby wspomniał Gwen o swoich obawach, w popłochu opuściłaby Talbot Hall. Zwłaszcza po ich ostatnim spotkaniu.

Poczuł się przeraźliwie samotny...

A potem uświadomił sobie, że jest ktoś, komu może zaufać i na kogo może liczyć. Popędził pogrążającymi się w mroku korytarzami, szukając schronienia.

Lawrence przez kilka długich minut stał w otwartych drzwiach prywatnych pokoi Singha, zanim służący zauważył jego obecność i uniósł głowę.

- Powinien pan już spać.

- Podobnie jak i ty. Po drugiej stronie progu zaczynał się zupełnie inny świat. Przed drzwiami była jeszcze Northumbria, a krok dalej pałac Mogoła Wielkiego.

Przestronny pokój stołowy oświetlało światło świec, a powietrze było ciężkie od orientalnych zapachów. Ściany zdobiły przepiękne i bogate kobierce. Wiele z nich przedstawiało sceny z wielkich bitew, które zmieniały bieg historii. Obok wisiały miecze i włócznie - ledwie kilka sztuk, więc pokój nie wyglądał jak zbrojownia. Między białą bronią właściciel umieścił dzieła sztuki, reprezentujące różne ery indyjskiej kultury. W centrum pomieszczenia stał stół z mosiężnym blatem, otoczony kolorowymi poduszkami.

- Co mogę dla pana zrobić? Wygląda pan jakby... długo nie spał.

- Herbata dobrze by mi zrobiła - rzekł Lawrence. - I rozmowa - dodał z nadzieją w głosie.

Singh zaparzył tyle herbaty, żeby wystarczyło dla nich obu, a Lawrence osunął się na miękki dywan i wygodnie oparł o stos poduszek. Unosząca się w powietrzu woń i znajome miejsce koily mu nerwy. Rozluźniał się powoli. Singh podał mu filiżankę parującego naparu. Lawrence podziękował skinieniem głowy i spróbował napoju. Gorąca, słodka herbata smakowała cytryną i miętą.

- Nie rozstajesz się z tym nożem. Pamiętam go jeszcze z czasów, kiedy byłem dzieckiem - powiedział Talbot, wskazując pełną filiżanką na masywną broń, wetkniętą pod szarfę, którą Sikh przepasywał się w tali.

Singh potaknął głową.

- Oczywiście, to ten sam. Od kiedy guru Gobind Singh, dziesiąty guru sikhizmu wydał dekret, każdy Sikh musi nosić kirpan.

Lawrence rozejrzał się i zauważył kilka strzelb i pistoletów przygotowanych do czyszczenia, a obok osełki starannie ułożone noże.

- Przygotowujesz się do wojny?

- Sikh jest żołnierzem Boga. Tak długo, jak na świecie istnieje zło, tak długo będziemy z nim walczyć. Nieustannie. - Dłonią musnął głównię broni, z którą się nie rozstawał. - Ale nie nosimy broni, żeby atakować. Kirpan służy obronie i uosabia ahimsę, czyli niechęć do zadawania przemocy. To nasza droga. Nie można stać i beczynnienie przyglądać się złu, ale żeby je zwalczać, potrzeba odpowiednich narzędzi. - Wyciągnął ostrze i przekrzywił je, rzucając na ścianę refleks migotliwych płomieni świec.

- Srebro? Singh przesunął kciukiem po ozdobnej pochwie.

- Tak - odparł i uśmiechnął się ponuro. - To srebro. Jestem Khalsa Sikh, co można przetłumaczyć jako święty wojownik.

Nie, nie posiadam żadnych magicznych zdolności, ale wiara daje mi siłę, a poświęcenie Bogu pozwala skupić się na walce ze złem. Musimy być czujni, bo ono czai się wokół.

- Ale nie wyruszyłeś na poszukiwanie potwora, który zabił Bena.

Singh pokręcił głową.

- Sikh nie jest napastnikiem, to podstawowa reguła. Zasada, której czasem trudno dotrzymać wierności. Jestem tylko ułomnym człowiekiem, którego łatwo zwieść na pokuszenie. Zemsta byłaby niebezpieczną drogą.

Lawrence upił łyk gorącego naparu. Wielki gobelin za plecami Singha przedstawiał szereg scen z *Upaniszad*. Ten sam tkacz musiał być autorem gobelinu wiszącego w holu wejściowym.

- Wierzysz w klątwy? - zapytał Lawrence. Singh uśmiechnął się ze smutkiem.

- Ten dom jest smutny miejscem... Najpierw twoja matka, teraz brat... Tak, wierzę, że można kogoś przekląć.

- Więc dlaczego jesteś tu tyle lat? Nie musiałeś przecież zostawać.

Sikh dolał herbaty.

- Sir John nie jest łatwym człowiekiem. Ale jest prawy. Ludzie nie oceniają go sprawiedliwie.

Lawrence nie mógł powstrzymać westchnienia.

- Sam już nie wiem, co jakie jest.

- Ten dom, to miejsce... W każdym kamieniu i zaprawie, która je łączy, zamknięte są tajemnice.

Lawrence nie od razu odpowiedział. Musiał przemyśleć to, co właśnie usłyszał.

- Singh - odezwał się w końcu. - Wiem, co widziałem tamtej nocy.

- Wiem.

- To nie był człowiek. Ani zwierzę. A w każdym razie nie w sensie, w jakim człowiek przy zdrowych zmysłach rozumie to słowo. Pojmujesz?

Zamiast odpowiedzi, Singh sięgnął pod koszulę i wyciągnął klucz, który nosił zawieszony na szyi. Pokazał go Lawrence'owi.

A potem podszedł do bogato rzeźbionego podróżnego kufra. Otworzył najniższą szufladę, wyciągnął ją całą i przyniósł z powrotem do stołu. Wnętrze wyłożono miękkim materiałem z kilkudziesięcioma wgłębieniami, w których spoczywały kule w łuskach, zrobione z metalu jaśniejszego niż ołów.

Lawrence miał wrażenie, że znalazł się w innym świecie.

- Srebrne? Nie wiedziałem, że polowaliście z ojcem na potwory? - Sięgnął nad stołem i zamknął wieko.

- Nie, nie polowaliśmy - wyjaśnił Singh. - Ale czasem potwory zaczynają polować na ludzi.

Lawrence podniósł się z poduszek i podszedł do lustra w ramie, które zajmowało całą ścianę. Spojrzał na siebie. Był zmęczony i nieświeży. W niczym nie przypominał mężczyzny, który kilka tygodni temu występował na londyńskich scenach. Głęboki smutek, który dostrzegł w swoich oczach był dobijający.

- Jestem przeklęty, prawda? - zapytał.

Singh długo zwlekał z odpowiedzią. Lawrence odwrócił się i wyszedł, znikając w chłodnym mroku korytarza.

Lustro w jego pokoju nie było łaskawsze niż to, w którym przeglądał się u Singha. Lawrence stanął przed nim boso, ze zmierzwionymi włosami i zaciśniętymi pięściami. Widział odbicie swoich oczu i miał wrażenie, że może spojrzeć przez nie, jakby były oknami, a nie obrazem w lustrze. Za nimi rozciągał się surowy krajobraz innego, obcego świata. Nic tam nie było naturalne, nic nie odpowiadało oczekiwaniom i pragnieniom, które odczuwał człowiek. Patrzył na dzikie terytorium, przez które przemykały mroczne, wyjące postaci.

- Mój Boże! - szepnął słabym i zrezygnowanym głosem. Ostrożnie, drżącymi palcami zaczął, warstwa po warstwie, odwiązywać i zdejmować bandaż. Bawełna zwisała z jego nadgarstków jak zwoje chorobliwie jasnych węży.

Kiedy ostatnie płatki gazy opadły bezszelestnie na ziemię, Lawrence uniósł wzrok i przyjrzał się ramieniu i śladom bestialskiego ataku.

I nic nie zobaczył.

Żadnych zadrapań, strupów czy zaleczonych blizn... Na jego ciele nie pozostał najmniejszy ślad świadczący o tym, że kiedykolwiek stał się obiektem napaści.

Wpatrywał się w lustro i w swoich oczach odnajdywał nieme oskarżenie. Tylko... czy to wciąż jeszcze były jego oczy? Czy przypadkiem nie zmieniły nieco koloru? Pojaśniały? Czyżby dostrzegł w nich żółty poblask? Iskierki czerwieni?

- Nie! - warknął i nagłym ruchem zaciśniętej pięści rozbił lustro na tysiące kawałków.

- Boże, uratuj mą duszę... - jęknął.

Ale bał się, że modły wznoszone do zapomnianego Boga i niespodziewany powrót do porzuconej wiary przyszły zbyt późno. Spojrzał na odłamki lustra rozrzucone po podłodze. Każdy kawałek błyszczącej tafli pokazywał jakiś zniekształcony obraz z jego życia. Na jednym widział siebie jako chłopca, w ramionach matki. Na innym dostrzegł tego samego chłopca w szpitalu dla obłąkanych, nocą, z ustami rozwartymi do krzyku - tak jak później co noc, przez wiele lat. Chłopiec na statku do Ameryki, samotny, wygnany przez

ojca, który nie mógł już na niego patrzeć. W końcu pozbawiony skrupułów mężczyzna - drapieżca zrodzony na scenach całego świata - w obcych łóżach i oparach opium, które miało zastąpić koszmary halucynacjami.

Między jego bosymi stopami leżał fragment szkła przypominający kształtem nóż.

Kiedy Lawrence spojrział na odbicie, które się w nim pojawiło, nie dostrzegł chłopca ani mężczyzny. Zobaczył warczącego potwora.

Zamknął oczy i pięściami uderzył w skronie. - Proszę... - błagał słabym głosem. Ale odpowiedzią była ciemność.

Na niebie pojawiła się Bogini Łowów, obdarzając wszystko dziwną poświatą.

Lawrence gwałtownie załomotał do dawnego pokoju Bena. Nikt nie odpowiedział, więc uderzał dalej, bez przerwy. W końcu w uchylonych drzwiach pojawiła się Gwen, nieuczesa, z oczyma zapuchniętymi od snu, owinięta szlafrokiem. W dłoni trzymała świecznik, a ze zgaszonej zapałki na podstawce wciąż unosiła się smużka dymu.

- Co się stało? - zapytała.

Lawrence pchnął drzwi i stanął w progu.

- Posłuchaj mnie uważnie - rzucił bez tchu. - Musisz stąd wyjechać. Teraz. Natychmiast. Weź tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Resztę każe rano wysłać do Londynu.

- Mam wyjechać? - Na jej ustach pojawił się nieśmiały uśmiech, jakby się spodziewała, że to jakiś dziwacznym żart. Szybko spoważniała. - Przecież to środek nocy!

- Już posłałem po stangreta. Zawiezie cię na stację i poczeka, aż pociąg odjedzie.

- Co się dzieje?

- Tu już nie jest bezpiecznie. Proszę... Uniosła świecę i sapnęła, widząc wyraz jego twarzy.

- Co się stało? Wrócili po ciebie...? Mężczyzna pokręcił głową i sięgnął do kieszeni. Potem chwycił jej dłoń i wsunął między palce połyskujący drobiazg. Gwen mu się przyjrzała.

- Medalion Bena... - szepnęła.

- Musisz go założyć - zażądał. - Musisz go mieć na szyi. Cały czas.

- Ale... skąd to masz?

- Nie możesz się z nim rozstawać. Przysięgnij!

Wzięła go, ale nie założyła, tylko wyciągnęła dłoń i dotknęła piersi Lawrence'a. Medalion zakolysał się na łańcuszku między jej palcami i oparł o koszulę tuż nad jego sercem. Błękitne oczy dziewczyny błyszczały nadzieją i obietnicą. Były piękne jak wszystkie wiosenne poranki świata naraz. Lawrence spojrział w nie i poczuł, że jego samokontrola pęka, jak diament

uderzony przez niewprawnego jubilera. Czuł ciepło w miejscach, których muskały go jej palce, a zimny, jesienny krajobraz w jego sercu nagle się zazielenił. Zamknął oczy i zaniósł do Boga nieme błagania, by ta chwila, to uczucie, mogło być prawdziwe. By odpędziło mrok spowijający jego duszę. Miał wrażenie, że ktoś dźgnął go w serce ostrym nożem.

- Lawrensie - zaczęła delikatnie - jeśli chcesz mi coś powiedzieć...

- A czy jest coś, czym ty chciałabyś się podzielić? Nagle poczuł jakieś poruszenie w ciemności wypełniającej jego umysł. Pojawiło się coś, co nie było ani miłością, ani pożądaniem. Coś pierwotnego, prastarego i... bardzo głodnego. A potem w głowie usłyszał szept.

Bierz ją! Spróbuj jej ciała... poczuj krew! Bierz ją teraz!

- Nie! - szepnął i cofnął się jak najdalej od niej. Zacisnął pięści - nie żeby uderzyć, ale by jej nie chwycić. Potem gwałtownie zrobił krok, zmuszając Gwen, żeby się cofnęła. Zrobiła to zupełnie odruchowo, ale nie sprawiła mu większego bólu, nawet gdyby go spoliczkowała. Mimo to poczuł, że tak właśnie jest dobrze, bezpiecznie... W dziwny sposób to go uspokoiło.

- Gwen... jeśli cokolwiek by ci się stało... - zaczął głosem pełnym emocji - nigdy bym sobie tego nie wybaczył. Nigdy!

Te słowa miały sprawić, że cofnie się jeszcze dalej, ale dziewczyna stała w miejscu. Uniosła tylko oczy i z troską zmarszczyła brwi.

- Co cię tak przestraszyło?

Tym razem to on zrobił krok w tył.

- Ubierz się, proszę - powiedział. - Jeszcze dziś w nocy musisz wrócić do Londynu.

Nie odważył się powiedzieć niczego więcej ani niczego więcej zrobić. Obrócił się na pięcie i ruszył korytarzem.

Piętnaście minut później Gwen stanęła w holu z torbą podrózną w dłoni. Lawrence jedną ręką chwycił bagaż, drugą zacisnął na jej nadgarstku i pociągnął za sobą na dwór, a potem dalej, schodami do powozu, który już czekał gotowy do drogi. Gwen próbowała spojrzeć mu w oczy, ale na próżno. Wyczuwała, że coś zmusiło go do takiego zachowania, ale nie rozumiała, skąd się brało.

Stangret zeskoczył z kozła, zabrał bagaże i załadował je do środka, a potem stanął przy otwartych drzwiach i czekał, by wpuścić pasażerkę do środka.

Gwen obróciła się i zmusiła Lawrence'a, żeby chociaż na nią zerknął. Jego oczy płonęły gorączką.

- Nie chcę opuszczać tego domu - powiedziała miękkim głosem. Prosiła... i chyba to właśnie ton jej głosu złagodził im chwilę jego szaleństwo. Spojrzał na nią z głębokim smutkiem

- Musisz - odpowiedział delikatnie. - Proszę..., jedź już, Gwen.

- Ja...

Lawrence odwrócił się i schował głowę w ramionach.

- Módl się za nas. Próbowała chwycić jego dłoń.

- Wszystko będzie dobrze, zobaczysz - uspokajała.

Lawrence znów stanął do niej twarzą, a Gwen gwałtownie nabrała powietrza. Wydawał się wyższy i lepiej zbudowany, jakby jego sylwetka górowała nad białą fasadą Talbot Hall. Wiatr rozwiewał jego ciemne włosy i rozchylił poły niedopiętej koszuli. W jego oczach czaiły się żądze, które rozpały tajemne miejsca jej ciała i duszy. Miała wrażenie, że ma go w sobie, w każdym nerwie, a jego oddech szepcze jakieś opowieści jej ciału.

- Wynoś się! Już! - warknął i wepchnął dziewczynę do powozu. Potem zatrzasnął drzwiczki i gwałtownie napał szeroką klatką piersiową na woźnicę, przyciskając go do ściany pojazdu. Sięgnął do kieszeni, wyciągnął monetę i wcisnął ją mężczyźnie w dłoń.

- To dla ciebie. Nie spuszczaaj jej z oczu, dopóki pociąg nie odjedzie ze stacji. Zrozumiałeś?

- Tak! - zaskamlał.

Gwen wychyliła się z okienka i zawołała go, ale Lawrence nawet na nią nie spojrzał.

Blackmoor pogrążyło się w ciemności na długo przed zachodem słońca. Przez ostatni miesiąc mieszkańcy miasteczka żyli i pracowali zawieszeni gdzieś między zgryzotą i przerażeniem. Odczuwali to wszyscy, bez wyjątku. Nikomu nie udało się uciec przed grozą i niezdrowym podnieceniem.

Inspektor Aberline, choć dopiero niedawno pojawił się w okolicy, był na tyle bystry, by zauważyć, że ta przytłaczająca atmosfera nie należy do codzienności miasteczka, lecz jest czymś nowym. Zaczęło się nocą, kiedy zamordowano Bena Talbota i dwóch innych mężczyzn, ale to od masakry w obozowisku Cyganów miasteczko opanował grobowy nastrój i strach. Jakby wróciła czarna śmierć. Nikt się nie uśmiechał, na ulicach nie było dzieci, nikt nie wychodził na dwór w pojedynkę, a wszyscy mężczyźni nosili broń - choćby i toporek czy widły.

Aberline przechadzał się ulicami i przyglądał uważnie mieszkańcom miasteczka. Czuł, jak z każdym krokiem coraz intensywniej przenika go to, co zapanowało nad Blackmoor.

Minał jakiś dom. Ojciec z dwiema nastoletnimi córkami nerwowo zabijali okna deskami. Policjant zatrzymał się i rozejrzał. Wszystkie budynki na ulicy miały kraty albo solidne deski przybite do framug.

Kilka minut spędził w kościele, pod chórem, słuchając, jak pastor Fisk miota z ambony siarką i wiecznym ogniem. Był wtorek wieczorem i, o ile pamiętał, tego dnia nie przypadało żadne święto, a mimo to wszystkie ławki były zajęte.

- Dziś są tacy, którzy wątpią w moc szatana! - Fisk mówił zapalczym, groźnym szeptem. - W zdolność szatana do zmiany ludzi w bestie. A przecież w to nie wątpili nawet poganie! Nawet prorocy wierzyli, że jest do tego zdolny. Niech to diabli, pomyślał Aberline, klecha zaczyna tracić rozum.

- Czyż Daniel nie ostrzegł Nabuchodonozora, że pycha doprowadzi go do śmierci? Że duma jest drogą upadku?

Parafianie potakiwali.

- Ale butny władca nie posłuchał Daniela i, jak mówi Biblia, został zamieniony w wilka i przepędzony precz. - Przerwał, a jego twarz jaśniała świętym uniesieniem. - Dziś bestia przyszła po nas!

Lawrence cieszył się, że Gwen wyjechała, choć to, że musiał obejść się z nią tak brutalnie, łamało mu serce. Wiedział jednak, że tej przeklętej nocy nie mógłby uczynić dla niej niczego lepszego.

Kiedy powóz zniknął za zakrętem, mężczyzna ruszył przed siebie. Nie w kierunku domu, ale przez ogród, ścieżką, która ginęła między drzewami. Chciał jeszcze raz przemyśleć ostatnie wydarzenia i zastanowić się, co robić, a dom ostatnio go przytłaczał. Potrzebował przestrzeni i świeżego powietrza. Nogi same go niosły za pierwsze szeregi drzew, na skalną półkę nad wąwozem. Dzień miał się ku końcowi i widok był przepiękny. Słońce spuchnięte do nadnaturalnych rozmiarów chowało się za morzem odległych drzew, topiąc wszystko w ognistej powodzi purpurowego światła. Lawrence obserwował zapadającą ciemność i bał się tego, co dla niego oznaczała. Odwrócił się na pięcie i ruszył w kierunku gęstniejącego mroku pod drzewami. Z powrotem do domu.

Po drugiej stronie starego lasu graniczącego z włościami Talbotów leżały porośnięte dzikim winem ruiny opactwa. Ostała się jedynie część grubych ścian. Spomiędzy popękanych i wysadzonych kamieni posadzki wyrosły drzewa. W pobliżu stali pułkownik Montford i doktor Lloyd, obaj uzbrojeni w strzelby i z chmurnym zacięciem na twarzach. Montford był cały w plastrach i siniakach. Lekarz wyraźnie się bał. Kilka metrów dalej pracował MacQueen z dwójką najemnych robotników z dworu. Próbowali ustawić masywny pal i umieścić go w pęknięciu między płytami posadzki. MacQueen chwycił kloc obiema rękoma i szarpnął, żeby upewnić się, że jest stabilny.

- To powinno starczyć - kiwnął głową do Montforda i Lloyda.

Potem dał znak jednemu z robotników, by poszedł do wozu po uwiązane go jelonka. Tamten chwycił za rzemień i przyprowadził zwierzę, a MacQueen przyklęknął i zacisnął węzeł wokół słupa. Następnie sięgnął do kieszeni, wyjął nóż i szybkim ruchem zrobił długie, ale płytkie cięcie na boku

zwierzaka. Jelonek zapiszczał i szarpnął się, a gorąca posoka zaczęła skapywać na ziemię.

Mężczyzna wytarł ostrze o spodnie i podszedł do Montforda.

- Wiatr poniesie zapach kilka kilometrów. Doktor Lloyd otarł twarz chusteczką.

- Chyba powinniśmy wrócić do miasta.

Pułkownik Montford i MacQueen spojrzeli w niebo. Doskonale okrągła tarcza księżyca pokazał się już niemal nad horyzontem.

- Możesz uciekać - mruknął MacQueen, zsuwając z ramienia ciężką strzelbę i sprawdzając, czy jest nabita. - Ja wrócę do domu dopiero, kiedy zobaczę ścierwo tego bydlaka.

Sir John wyszedł z wielkiej sali i purpurowy ze złości zaatakował syna, który właśnie wchodził do domu.

- Coś ty najlepszego narobił? - Ryknął. - Panna Conliffe opuściła Blackmoor. Wyjaśnij to!

Lawrence nie dociekał, skąd ojciec o tym wie. Kolejna komplikacja to było dla niego zbyt wiele.

- To miejsce jest przeklęte, ojciec - powiedział słabo. - Odesłałem ją do Londynu.

Sir John zamilkł, a jego wzrok stał się twardy jak stal.

- Głupcze! - syknął. Minał syna i zniknął w głębi domu.

Pastor Fisk coraz bardziej zapalał się do kazania. Jego głos pulsował furia.

- Lecz Bóg weźmie swoje owieczki w obronę! W swojej wszechwładzy zmiażdży bestię!

Zgromadzeni wierni milczeli, łąpczywie chłonąc każde słowo duchownego.

- Słuchajcie słów Pana! Knowania wroga są przebiegłe! Zmieniając przeklętych w bestie, chce nas zmusić, byśmy zniżyli się do jego poziomu. Chce uczynić nas zwierzętami. Wprowadzić między nas nienawiść, skłócić, żebyśmy zapomnieli, że zostaliśmy stworzeni na obraz i podobieństwo Boga Wszechmogącego!

Tym razem tłum wydał zgodny pomruk.

- Pytacie mnie, bracia i siostry, dlaczego Pan toleruje to łajdactwo? - Fisk przyjrzał się swojej trzódce i gwałtownie uderzył pięścią w pulpit ambony. -

Bo zgrzeszyliśmy przeciw Niemu! Bo smród naszych przewin dotarł do nieba. Musimy odkupić swoje winy.

Kiedy do środka weszło kilkoro nowych wiernych, Aberline wyśliznął się na dwór. Nie był nadmiernie pobożny. Miał w sobie wiarę, ale dawno temu przestał ją pielęgnować, tak że skryła się pod warstwą kurzu. I choć wierzył w ideały, niewiele pożytku znajdował w bezustannym gładzeniu o piekło i potępieniu. Aberline uważał, że lepiej skupić się na konkretach - łapać i karać przestępców. Że trzeba sięgać po nowe naukowe sposoby prowadzenia dochodzeń. Dowody i analizę danych. Diabeł, uśmiechnął się, tak naprawdę tkwił w szczegółach.

Zbliżył się do kuźni i, zaskoczony, zauważył, że wciąż jest otwarta. W drzwiach tłoczyła się grupka miejscowych, więc się do nich przyłączył. Kowal wraz z dwoma młodymi chłopcami, którzy u niego terminowali, zbierali srebrną zastawę stołową, misy, tace i półmiski i wrzucali wszystko do żeliwnego tygla. Naczynie było tak rozgrzane, że cokolwiek do niego trafiło, natychmiast się topiło. Potem do tygla zbliżył się uczeń i kamienną łyżką nabral nieco płynnego srebra, by rozlać je do form. Aberline zmarszczył brwi i stanął na palcach, bo nie mógł dojrzeć, czym zajmował się właściciel kuźni. Kowal, potężny mężczyzna ubrany jedynie w spodnie i skurzany fartuch, stał pośrodku rozgrzanej jak piekło pracowni i trzymał w ręku starą formę do odlewów. Po chwili otworzył ją i wysypał do wiadra z wodą kilka kul do broni palnej. Chwytał jakieś sito, zamieszał nim w wodzie i zaczął wyławiać pociski. Inny uczeń oglądał każdą kulę i sprawdzał, czy nie ma uszkodzeń, spiłowywał ostre krawędzie i w końcu odkładał na stół, gdzie leżał już okazały stosik podobnych.

Aberline pokręcił głową. Na podłodze za kowalem leżało kilkanaście zniszczonych form. Policjant nie musiał się długo zastanawiać, skąd się tam wzięły. Srebro miało przecież znacznie wyższą temperaturę topnienia niż ołów, więc po kilkakrotnym użyciu formy nadawały się jedynie do wyrzucenia. Ta idiotyczna zabawa będzie kosztować właściciela sporo pieniędzy. A co gorsza, skończy w szopie pełnej śmieci i zniszczonych narzędzi rzemieślnika. A z drugiej strony... Wszyscy ci ludzie przyszli tu ze swoimi skarbami, srebrami przekazywanymi z pokolenia na pokolenie,

posagami, oszczędnościami - tylko po to, żeby zdobyć broń przeciwko czemuś, co nie istnieje.

Ruszył dalej, starając się nie uśmiechać. Był świadkiem zbiorowego szaleństwa. Liczył jednak, że odnajdzie gdzieś choćby skrawek prawdy, którego będzie mógł się uczeplić i wykonać robotę, jaką mu powierzono.

Zapalił papierosa i uważnie obserwował miasteczko.

Lawrence dwukrotnie próbował znaleźć zapomnienie we śnie i za każdym razem po kilku minutach zrywał się z łóżka na równe nogi. Nerwowo maszerował tam i z powrotem po pokoju, mruczając coś niezrozumiale. Strach uczeplił się jego piersi i coraz głębiej wbijał w nią szpony.

Przypomniawszy sobie o kulach, które pokazał mu Singh. Może powinien poprosić o kilka?

Może... Ale po co? Do obrony?

Wciąż nie wiedział, co robić. Do głowy przyszło mu nawet, że najlepiej by było, gdyby pułkownik Montford i jego zbiry zrealizowali swój morderczy plan. Może to byłby najlepszy sposób, żeby zakończyć ten koszmar?

Stał samotnie w pustym pokoju i zastanawiał się, co dalej. Marzył, żeby mieć teraz pod ręką fajkę z opium! Ileż by dał za zapomnienie. Lecz ostatni pociąg do Londynu opuścił już stację, z Gwen Conliffe w jednym z przedziałów.

Whisky, pomyślał. Alkohol może dać porównywalny efekt. Zbiegł schodami do salonu, nalał pełną szklanekę szkockiej. Kilkoma haustami opróżnił ją do połowy. Zakrztusił się i odkaszlnął. Przyjemne palenie w żołądku uspokoiło go. Wypił jeszcze jeden duży łyk, potem kolejny. Napenił pustą szklanekę i wrócił do pokoju. Kiedy się tam znalazł, usłyszał głosy.

Podkradł się do okna i wyjrzał. Poniżej, w spowitym cieniami i mrokiem ogrodzie, dostrzegł ojca i Singha. Sir John był zdenerwowany, a jego twarz zdawała się być wychudła i spięta. W ręku trzymał osłoniętą latarnię. Potężny Sikh spoglądał na niego przerażony, ale się nie ruszał. Stał, opierając prawą dłoń na rękojeści srebrnego kirpana.

- Proszę - powiedział Singh. - Muszę mu pomóc.

- On nie potrzebuje twojej pomocy - warknął Sir John. - Daj mi klucze, Singh.

- Nie...

Starzec nie kłócił się ze służącym. Odstawił latarnię i ruchem szybkim jak atak węża chwycił Sikha za nadgarstek, a potem przemocą rozgiął jego palce i wyciągnął klucze. Kiedy dostał już, co chciał, cofnął się, podniósł latarnię i pogroził palcem Singhowi.

- Nie waż się iść za mną - rozkazał oschle.

Aberline zdecydował, że dość już włóczenia się po opustoszałych uliczkach Blackmoor. Wstąpił do gospody, żeby się napić. Zrzucił z siebie płaszcz i powiesił go na haczyku przy drzwiach, a potem rozluźnił krawat. Kiedy chciał zawołać kogoś z obsługi, zauważył, że gwar i rozmowy ucichły. Zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Obrócił się i rozejrzał. Oczy wszystkich gości były skierowane na niego. Co gorsza, we wszystkich malowały się podejrzliwość i strach.

Cholerni przesądni głupcy, pomyślał i powiesił kapelusz obok płaszcza. Potem usiadł i rozłożył przed sobą londyńską gazetę. Jeden z obsługujących klientelę mężczyzn ruszył w jego stronę. Aberline zaczął czytać, kiedy tamten zatrzymał się przy jego stoliku.

- Pół litra piwa. I jeśli macie steki, to... - przerwał. Naprzeciwko stała żona karczmarza, pani Kirk. Spoglądała na niego z twarzą wykrzywioną dezaprobatą i pięściami wspartymi na biodrach.

- Dobry wieczór, pani Kirk - przywitał ją grzecznie Aberline.

- Dlaczego nie poszedł pan z MacQueenem, żeby złapać bestię, która zabiła mi męża?

Aberline rozparł się wygodnie na siedzeniu i uważnie przyjrzał wdowie. Kiedy zaczął mówić, zrobił to na tyle głośno, żeby inni w karczmie słyszeli, co ma do powiedzenia.

- Skoro nie mam pojęcia, gdzie ten wariat ponownie zaatakuje, najsensowniej jest przebywać w pobliżu potencjalnych ofiar. A że dwieście czternaście osób z trzystu jedenastu mieszkańców Blackmoor mieszka w odległości nie większej niż pięćset jardów od karczmy, to mój plan zakładał, że spędzę tu wieczór.

Rozejrzał się i na twarzach pozostałych gości dostrzegł zważenie i strach. Tylko pani Kirk nie straciła rezonu.

- Tutaj? A dlaczego nie w Talbot Hall? Aberline przyjrzał jej się uważnie.

- A to ciekawe. Dlaczego niby miałbym tam czekać na mordercę?

- Bo są przeklęci - wyjaśniła Kirk. - Wszyscy.

Goście dookoła przytaknęli z aprobatą. Aberline'owi udało się zachować powagę.

- Przeklęci... No cóż, takie podejrzenie nie daje mi podstaw, żeby wejść nocą, bez pytania, albo i wbrew właścicielowi, na teren jego posiadłości. Zasady, przepisy i reguły. - Nachylił się i odezwał groźnym tonem. - Sami wiecie, chyba tylko dzięki nim jeszcze sobie wszyscy nie skoczyliśmy do gardeł.

Pani Kirk nie wiedziała, co odpowiedzieć. Pozostali goście, rozglądając się na boki, zaczęli rozmawiać przytłumionymi głosami. Bardziej przesądni pukali w drewniane blaty i żegnali się nabożnie.

Prowincjonalne przygłupy, pomyślał Aberline.

- Gdzie jest moje piwo?

Tymczasem na dworze księżyc z królewską gracją wznosił się coraz wyżej, zwiastując nieuchronną śmierć. Jaśniejący dysk był ogromny i piękny. Bogini Łowów wyciągnęła trupioblade palce miesięcznej poświaty i chwyciła Blackmoor za gardło.

Lawrence dokończył whisky, obserwując, jak ojciec zmierza ścieżką w kierunku lasu i wąwozu. Nie zastanawiając się, co robi, ani tym bardziej, dlaczego, zbiegł po schodach i ruszył za nim. Nie marnował czasu na szukanie latarni. Srebrzysta poświata była wystarczająco jasna, choć księżyc jeszcze nie wspiął się na najwyższy punkt na niebie. Talbot pędził ścieżką, którą wcześniej oddalił się sir John. Tuż za linią drzew rozdzielała się i biegła w dwie różne strony. Jedna droga prowadziła dalej w las, druga - skręcała wzdłuż skalistego brzegu wąwozu, by wspiąć się dalej stromym klifem. Wąska ścieżka przeciskała się między młodymi drzewkami, które wyrosły w cieniu starych cisów.

Lawrence wybrał pierwszą z nich. Tę, która ginęła w ciemnym tunelu zwieńczonym sklepieniem z gałęzi drzew. Po chwili tunel zrobił się wyższy i mężczyzna mógł się wyprostować. Poruszał się szybko, ale bezgłośnie. Wciąż się zastanawiał, dlaczego nie zawołał ojca. Ale za każdym razem, kiedy otwierał usta, szybko zamykał je z powrotem. Może sprawiał to jakiś wewnętrzny instynkt, a może chodziło o ostatnie słowa sir Johna?

Korytarz cisów kończył się niewielką polaną. Lawrence zobaczył w oddali błysk latarni. Skradał się w całkowitej ciszy, wiedząc, dokąd prowadzi ścieżka i dokąd zmierza ojciec.

Kiedy prastare kamienne ściany rodzinnego mauzoleum wyłoniły się z mroku, domysły Talbota się potwierdziły.

Drzwi stały otworem.

Lawrence obliznął spierzchnięte usta, złapał ciężką klamkę i otworzył wrota do końca. Skrzypnięcie zardzewiałych zawiasów wydało mu się przeraźliwie głośnie. Zamarł, spodziewając się spieszych kroków... ale wewnątrz panowała absolutna cisza.

Lawrence czuł jakiś zabobonny lęk przed tym miejscem. Tu spoczywali jego matka i Ben. Czy ich duchy powitają go z radością? Jeśli byłby naprawdę przeklęty, to czy uświęcone kamienie tej budowli nie powinny były go zatrzymać, zanim skala swoją obecnością to miejsce?

Boże, pomyślał, czy wolno mi tu wejść?

Nie czekając na odpowiedź, przestąpił próg.

Tuż za drzwiami znajdował się niewielki korytarz, który kończył się szerokimi stopniami, prowadzącymi do okrągłej sali, znacznie większej niż Lawrence się spodziewał. Przy podłodze unosiła się lekka mgiełka, a szczeliny w kamiennych ścianach porastał mech. Gdzieś tam wisiły kinkiety, niektóre nawet ze świecami. Wiedział, że to dzieło ojca... Tylko po co to wszystko?

W środku ktoś się poruszył. Lawrence znieruchomiał. Ukryty w cieniu, przyglądał się, jak sir John przemierza salę i zatrzymuje się przy dużym sarkofagu. W czasie pogrzebu Bena sarkofag był przykryty czarną krepeą, ale teraz oświetlała go latarnia. Mężczyzna stanął koło niego i spojrzał na wyrzeźbioną w marmurowym wieku postać. Potem się schylił i złożył pocałunek na zimnym kamieniu. Wyprostował się i otarł twarz.

Powiódł wzrokiem po sali, nabrał głęboko powietrza i ruszył przed siebie, do wąskiego wejścia.

Lawrence odczekał dłuższą chwilę, żeby się upewnić, iż ojciec nie zawróci niespodziewanie. W końcu przestąpił próg. Poruszał się bezszelestnie. Zdawało się, że sarkofag przyciąga go z jakąś magnetyczną siłą. Nie potrafił oderwać oczu od kremowego marmuru, obrobionego ręką prawdziwego mistrza. Przedstawiał kobietę w odświętnej sukni, z ramionami złożonymi na piersiach i palcami zaciśniętymi na pojedynczej różży. Piękna twarz zastygła z przymkniętymi oczyma i lekko rozchylonymi ustami. Tak spokojna, tak rzeczywista...

- Matko? - szepnął i niemal upadł przed nią na kolana.

Udręczony umysł Lawrence'a myślał przez chwilę, że jej odbicie w zimnym kamieniu, tak prawdziwe i podobne do obrazu, który miał w pamięci, to realna kobieta. I że jeden pocałunek wystarczy, by ją obudzić. Nie pocałunek kochanka, tylko kochającego syna. Syna, który jako młody chłopiec stał przy niej, przerażony, i patrzył. Tamtej pamiętnej strasznej nocy przyglądał się, jak jej krew rozmywana jest przez deszcz.

Poczuł pieczenie w oczach, ale nie wytarł łez, tylko pozwolił im opaść na sarkofag. Tak samo jak wtedy padał na nią deszcz...

- Mamo... - powtórzył i przez chwilę wydawało mu się, że wypowiedział to, jakby znowu był dzieckiem. Malcem, który dopiero uczy się pierwszych słów i

tę, jak wyrażać najbardziej podstawowe potrzeby. Berbeciem wyciągającym rączki, by nawiązać pierwszy świadomy kontakt ze światem. Delikatnie położył dłoń na dłoniach matki.

- Mamo... bardzo mi cię brakuje - powiedział.

Nagły hałas gdzieś z tyłu wyrwał go z zamyślenia. Odskokzył od sarkofagu i rozejrzał się w poszukiwaniu źródła dźwięku. Po drugiej stronie pomieszczenia, na wpół ukryte w niszy z posągami jakiegoś świętego, znajdowały się niewielkie drzwi. Były otwarte, a ze środka sączyła się delikatna poświata.

Lawrence podbiegł do nich i przyklęknął, żeby sprawdzić, co się za nimi kryje. Latarnia, którą ojciec zostawił tuż za progiem, oświetlała stromą spiralę schodów. Sir John musiał być gdzieś na dole.

Czyżby się spodziewał, że jest śledzony? Może zostawił latarnię jako zaproszenie? Albo może miał inne źródło światła, więc zostawił ją, żeby odnaleźć drogę z powrotem?

- Ojczy? - zawołał Lawrence półgłosem, ale nie usłyszał odpowiedzi.

Zaczął schodzić w głąb. Spiralne schody były bardzo wąskie i strome, musiał więc bardzo uważać, jak stawia stopy. Idąc, trzymał latarnię w wyciągniętej ręce - miał nieprzyjemne wrażenie, że z każdym krokiem ciemność cofa się przed nim przebiegle.

Kiedy dotarł na sam dół, uniósł ręce nad głowę. Z mroku wyłoniły się kamienne ściany katakumb. W niszach wzdłuż chodnika stały naturalnej wielkości postaci wyrzeźbione w kamieniu, każda z zamkniętymi oczyma i dłońmi skrzyżowanymi na piersiach. Między nimi znajdowały się krótkie tunele z sarkofagami. Lawrence nie miał wątpliwości, że spoczywały tam szczątki znacznie większej liczby ludzi niż wszyscy Talbotowi razem wzięci, którzy kiedykolwiek tu mieszkali. Krypta była bardzo stara i pewnie tylko sam Bóg pamiętał, kogo w niej chowano przez te wszystkie stulecia.

Lawrence odetchnął głęboko i ruszył przed siebie podziemną aleją, a niesione przez niego światło zamieniało ciemność w czmychające stworzenie. Nie zatrzymywał się przy kolejnych rzeźbach i sarkofagach. Szedł, aż na końcu korytarza dostrzegł połyskujący jaśniejszy punkt. Skupił na nim całą uwagę.

I właśnie dlatego nie zauważył, że postać z jednej z nisz otworzyła oczy, kiedy ją mijał, a gdy znalazł się dostatecznie daleko, bezszelestnie podążyła za nim.

Lawrence dotarł do końca korytarza i stanął przed kolejnym przejściem.

Wyjątkowo masywne drzwi z grubych dębowych desek wzmocnionych stalowymi sztabami były otwarte. Na wysokości jego twarzy znajdowało się w nich niewielkie okienko z grubymi kratami.

Mężczyzna zaczerpnął tchu i wszedł do środka.

Izba miała wysokie łukowe sklepienie, ale nie była grobowcem. Zamiast sarkofagu pośrodku kamiennej podłogi stał żelazny fotel. Nie zauważył tam innych mebli, lecz nie oznaczało to, że izba była pusta - wszędzie walały się jakieś śmieci, resztki jedzenia, puste butelki po winie, woskowany papier i kości kurczaków.

Lecz to, co najbardziej przyciągnęło jego uwagę, to niewielka wnęka wykuta w skalnej ścianie dokładnie naprzeciw fotela. Stały w niej dwie zapalone świece, wyschnięte bukiety róż - niektóre tak stare, że przy najlżejszym muśnięciu zamieniłyby się w pył - i niewielki portret Solany Talbot.

Lawrence nie mógł oderwać od niego wzroku. Ledwie odważył się oddychać.

- Była przepiękną kobietą - odezwał się sir John zza jego pleców.

Lawrence krzyknął zaskoczony i odskoczył pod ścianę, stając twarzą do ojca. Nie usłyszał najlżejszego szelestu, kiedy sir John wszedł za nim do środka.

- Co... - wyjąkał. - Co to za miejsce?

Ojciec nie patrzył na niego. Wpatrywał się w portret i dziwnie się uśmiechał.

- Była przepiękna. Wiem, że jej utrata głęboko cię zraniła. To potworne, że małe dziecko musiało oglądać matkę w takim stanie. - Pokręcił głową i ruszył dookoła sali.

Lawrence cofnął się, kiedy go mijał. W ruchach ojca było coś dziwnego - jego kroki nie przypominały nieporadnego człapania starego człowieka ani nawet kogoś, kto przez lata dbał o kondycję. Nie, było w nich coś innego. Sir

John poruszał się z nienaturalną werwą i sprawnością, która przyprawiała Lawrence'a o ciarki na plecach.

- Byłbym gotów oddać życie, żebyś nas wtedy nie zobaczył. - Znów spoglądał na syna, lecz jego oczy płonęły gorączką i obcością. - Nie wierzysz mi? Trudno, mój mały. Niektóre wspomnienia są tak potworne, że nie możemy się ich pozbyć, przez co niszczą naszą duszę. Nigdy nie chciałem, żeby tak się stało z tobą.

Sir John chodził teraz tam i z powrotem, a Lawrence cofał się powoli, aż w końcu oparł się plecami o otwarte drzwi. Zerknął w ciemny korytarz, ale szybko odwrócił się do ojca.

- Doprawdy... Od tamtego czasu nie było dnia - kontynuował sir John, bezustannie krążąc między światłem świec a mrokiem - żeby nie żałował, że mój mały synek wstał, zamiast pozostać w ciepłym i bezpiecznym łóżku. Musisz w to uwierzyć, Lawrence.

Sir John zatrzymał się i spojrzał na wnękę z obrazem żony. Lawrence wykorzystał tę chwilę i zrobił jeszcze jeden krok.

- Nie wierzysz mi, prawda? Syn nie odpowiedział.

Sir John wpatrywał się w podobiznę Solany.

- Naprawdę kochałem tę kobietę, kochałem ją z całego serca. Jej śmierć zniszczyła moje życie - powiedział. - I tak, wciąż jeszcze wałęsam się po domu nocami... samotny... po ciemku... jak przedtem. - Spojrzał na syna. - I też jestem martwy. Spójrz mi w oczy, Lawrence! Spójrz. Zobacysz, że nie żyję.

Lawrence popatrzył na ojca, na niszę i uschnięte bukiety róż, na żelazne krzesło i odpadki... I w końcu na ściany. Kamień poryty był głębokimi rysami, od podłogi do sufitu. Przyjrzał się im dokładniej. Kilka równoległych linii wyżłobionych w skale. A potem nagle w jego głowie wszystkie fragmenty ułożyły się w czytelny obraz. Omal nie krzyknął. Gwałtownie przycisnął dłonie do ust i się zachwiał. Gdyby nie drzwi, padłby na ziemię.

Sir John obrócił się, słysząc stłumiony jęk. Uśmiechnął się.

Lawrence, potykając się o własne nogi, wypadł na korytarz. Dopiero wtedy udało mu się wykrzyknąć to, co zrozumiał.

- Mój Boże! To ty! - zawył. - Ty jesteś potworem! Sir John cały czas szedł w jego kierunku.

- Matka się dowiedziała... - wyjęczał Lawrence. - I dlatego popełniła samobójstwo!

Sir John stał już przy drzwiach, świdrując syna spojrzeniem.

- Tyle bólu... - powiedział i poruszył się z taką prędkością, że zamiast niego widać było jedynie rozmazany zarys. Lawrence krzyknął i upadł na plecy, zasłaniając się przed atakiem. Ale ten nie nadszedł. Rozległo się za to głośne szcęknięcie.

Talbot nie od razu pojął, co się dzieje.

Drzwi były zamknięte.

Potem rozległ się szcęk zamka.

Sir John spoglądał na niego zza grubych krat. Do syna na razie nie docierało znaczenie tego wszystkiego. Obrócił się i spojrzał w głąb korytarza, tam, gdzie były schody, które prowadziły do wolności. Mógł uciekać.

Sir John oparł głowę o żelazną kratę.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo chciałbym, żeby tamta tragedia... Żeby to, co zniszczyło ci życie... minęło...

- Ojciec... ja nie...

- Ale obawiam się, że najgorsze jeszcze przed tobą. Wtedy Lawrence w końcu zrozumiał. Ojciec nie zatrzasnął się w celi, żeby wymierzyć sobie karę. Tak naprawdę zamknął siebie, ale uwolnił... własnego syna.

Mężczyzna padł na kolana, przytłoczony prawdą.

- Nie... - szepnął. - Mój Boże, nie! - Uniósł głowę i spojrzał na ojca. - To znaczy, że ja... Nie!

Ból, który poczuł w wyciągniętych dłoniach był tak intensywny i nieoczekiwany, że odebrało mu mowę. Miał wrażenie, że każdy nerw w jego ciele eksploduje i zajmuje się ogniem. Z przerażeniem obserwował, jak zmieniają się jego palce.

- Ojciec! - Krzyknął. - Chcesz, żeby mnie zabili? Sir John zachichotał.

- Wątpię, żeby im się to udało - powiedział. - Natomiast pozwolę im przypisać całą winę tobie.

Potworny ból wędrował wzdłuż ramienia, rozrywając mięśnie i ciało.

- Ale dlaczego? - Zapłakał Lawrence, a krwawe łzy potoczyły się po jego policzkach.

Sir John odwrócił się, myśląc nad odpowiedzią. Potem znów wyjrzał przez okienko, a Lawrence poczuł nadzieję, że ojciec zastanowił się i naprawi to, co się wydarzyło. Jednak kiedy migotliwe światło świec padło na twarz starca, Lawrence wiedział, że się pomylił.

Oczy ojca nie były już ludzkie. Płonęły żółto - pomarańczowym płomieniem, a kpiący uśmiech zrobił się szeroki, groźny i głodny.

- Bestia będzie dziś miała swoje święto - powiedział, lecz słowa były niewyraźne, bo wypowiedziane przez usta stworzone do czego innego niż mówienia. - Bestia będzie dziś polować.

To były jego ostatnie słowa. Reszta zamieniła się w przeciągły warkot, pełen nienawiści i kpiny, która ścigała Lawrence'a jeszcze długo po tym, jak zerwał się na nogi i popędził korytarzem, byle dalej od tego przeklętego miejsca.

Kamienie, ustawione przed czterema tysiącami lat w lasach Blackmoor, śledziły niezmiennie ruchy planet, gwiazd i księżyca. Kiedy noc pochłonęła miasteczko, na niebie pojawiła się jasna tarcza miesiąca, a zimna poświata załała najwyższy z głazów - księżyc wszedł w pełnię.

Archeologowie długo szukali wyjaśnienia, dlaczego ludzie przed wiekami chcieli wiedzieć, kiedy dokładnie księżyc wejdzie w pełnię. Napisano na ten temat setki książek, wyjaśniając, jak fazy księżyca wpływają na pływy morza, na obfitość plonów i inne aspekty ziemskiego życia.

Ale wszyscy się mylili.

Żaden z naukowców nie był nawet blisko wyjaśnienia.

Kamienne kręgi nie miały nic wspólnego z pływami morza. Nie oznaczano też za ich pomocą pory siewów ani nie wróżono obfitości zbiorów. Gdy światło księżyca kładło się na najwyższym kamieniu, nadchodził moment, w którym Bogini Łowów i wszystkie jej pełnokrwiste dzieci rozrzucone po świecie wyruszały na polowanie.

Oto wybiła godzina wilka.

Starożytni odkryli tę prawdę przed tysiącami i ustalili kamienne kręgi, by wiedzieć, kiedy szukać schronienia.

Mieszkańcy Blackmoor, nieświadomi tego, co robią, powtarzali stare rytuały. Chowali się, zbroili i błagali bogów o pomoc, bo w głębi serc wiedzieli, że ta noc nie należy już do nich.

Lawrence wspinał się na spiralne schody, chwytając stopnie palcami, które nie należały do niego. Podciągał się dłońmi, które przybrały jakiś koszmarny kształt i odpychał zdeformowanymi, powykręcanyimi stopami.

- Mamo... błagam, pomóż! - wycharczał, ale jego słowa brzmiały jak przeciągły ryk.

Wbiegł do głównej sali i padł na kolana przed sarkofagiem matki. Światło świec było zbyt ostre, zupełnie jakby spojrział prosto w słońce w upalne popołudnie. Wiedział, że przemiana jeszcze trwa, postępuje. Nigdy nie czuł się tak podle... A potem było jeszcze gorzej.

Jego zmysły eksplodowały. Dźwięki, smaki, widoki i zapachy runęły potężną falą, zbyt szybka, żeby umiał je zarejestrować. W ciągu sekundy zobaczył pojedyncze ziarna pyłku kwiatów - każde z osobna jak planety na orbitach krążyły dookoła jego głowy. Potem skupił się na trzepocie owadzich skrzydeł. Wyczuwał zapach roślin i zwierzęcej krwi na ich czułkach, żwaczach i trąbkach, mógł policzyć włoski na ich mikroskopijnych odnóżach i podziwiać niesamowite wzory na przejrzystych skrzydełkach. Woda w niewielkim źródełku stała się głośna jak wodospad. Umysł nie wytrzymywał tyłu bodźców.

Czuł przy tym każdą maleńką zmianę, jaka zachodziła w jego ciele. Najpierw przyszło gorąco, jakby każda komórka stała się rozpalonym piecem. Oddech przyspieszył - dyszał teraz jak zwierzę. Mózg też nie był już taki sam jak przedtem. Pojawiły się w nim nowe ośrodki i produkowały związki chemiczne, które zabiłyby słabą ludzką istotę. Ale jego wcześniejsza, ludzka natura słabła i znikła. Lawrence nie przestawał krzyczeć. Kości przybierały nowe kształty, mięśnie pękały i łączyły się na powrót w nowych, nienaturalnych kombinacjach. Stał się też cięższy, choć nie miał pojęcia, jak to możliwe - może podarowano mu tę materię wprost z piekła? Szkielet miał znacznie grubszy, by podtrzymać zwoje potężnych mięśni i wytrzymałych jak postronki ścięgien. Palila go skóra, kiedy pojawiały się w niej cebulki nowych włosów i natychmiast kielkowały sztywną szczecina, która przez ciało przebijała się na zewnątrz.

Miał coraz większe stopy - nagle, jakby zamiast butów miał papier, pojawiły się potężne czarne szpony. Sznurowadła pękły jak źdźbła trawy, zniszczona skóra obuwia rozpadła się na kawałki, a jego stopy nieprzerwanie się zmieniały - pięty unosiły coraz wyżej, a zakrzywione szpony wbijały w kamienną posadzkę mauzoleum.

Naraz poczuł w szczękach ból, jakby ktoś przypalał go rozgrzanym do białości żelazem. Część zębów przesunęła się do przodu, robiąc miejsce dla masywnych łamaczy, których wcześniej nie miał, a siekacze i kły gwałtownie rosły i stawały ostrzejsze, mocniejsze i wysunięte.

Lawrence wzywał imienia matki, lecz z jego gardła wydobywał się jedynie zwierzęcy ryk. Nie było w nim nic ludzkiego. Ogłuszające zawrozczenia wzbijały kurz z podłogi i sarkofagów i kruszyły stare wazony. Owady pełznące wzdłuż ścian pękały, a na kamiennej posadzce pojawiały się nowe rysy. Ryk był głośny, jakby Lawrence chciał wykrzyknąć w ten sposób swoją całą złość i nienawiść do świata. Wydobywał się na zewnątrz przez otwarte stalowe drzwi i rozdzierał w pół nocne niebo.

Nie mogło go zrodzić ludzkie gardło.

W tamtym momencie, w tamtej godzinie Lawrence Talbot przestał istnieć.

To, co pozostało - stworzenie na powykręcanych nogach, które siekło powietrze potężnymi pazurami - nie miało nic wspólnego z człowieczeństwem. W skalnym mauzoleum stał potwór z najstarszych legend. W końcu bestia wybiegła na zewnątrz i stanęła oblana chłodną poświatą księżyca. Tam, pod czujnym okiem Bogini Łowów, wilkołak odrzucił głowę i zawył, dzieląc się z nocą swą wściekłością.

Milę dalej, w starej posiadłości Talbotów, Singh siedział w pustym pokoju. Masywny kirpan spoczywał w pochwie, ale nie była ona zapięta, a na kolanach służącego leżała strzelba. Siedział na brzegu łóżka i nie spuszczał oczu z drzwi, zamkniętych i zabezpieczonych trzema ciężkimi zasuwami. Na pościeli obok niego był pistolet, a o wezglowie opierała się myśliwska włócznia z ostrzem pokrytym srebrem.

Po jego policzkach spływały łzy i mieszały się z ciężkimi kroplami potu. Zew wilkołaka eksplodował nad lasem i polami. Sięgnął domu, wypełniając puste pokoje i ciemne korytarze. Rozbrzmiewał w uszach Singha. Mężczyzna pochylił głowę i zaczął się modlić.

Pastor Fisk nie przestawał perorować o mocy szatana, kiedy piekielny ryk wstrząsnął jego kościołem. I choć bestia była daleko, zrozumiał, że wszystkie groźby wykrzyczane z ambony stanęły tuż za nim. Poczul ich mroźny oddech na karku. Włosy stanęły mu dęba, a ciało pokryła gęsia skórka.

Przerwał w połowie cytatu z Apokalipsy, schylił się i zdmuchnął świece na ołtarzu.

Wierni spoglądali na niego ze strachem, trzymając gromnice w trzęsących się dłoniach.

- Gaście! - krzyknął duchowny. - Szybko! I zachowujcie ciszę.

W jednej chwili płomyki zgasły. Przez dłuższą chwilę wszyscy siedzieli w ciemnościach, bezpieczni w uświęconych murach kościoła.

Bestia znów zawyła. Głośniej. Bliżej.

Nagle ciemność, w jakiej znaleźli schronienie, stała się nieprzyjazna. Inspektor Francis Aberline zamarł z na w pół uniesioną szklanką, kiedy przez gwar karczmy przebił się ryk. Echo zwierzęcego zewu jeszcze przez kilka sekund unosiło się w zadymionym powietrzu.

Policjant odstawił niedopite piwo i zerwał się na nogi. Chwycił płaszcz i kapelusz. Sprawdził, czy w kieszeni ma pistolet i gwizdek. I wybiegł w noc.

Goście przez chwilę stali bez ruchu, wpatrując się w otwarte drzwi, a potem ktoś z obsługi w przyływie odwagi rzucił się do nich, zatrzaskał i zasunął masywną sztabę.

Aberline pognął do stajni, kopnięciem otworzył drzwi i w biegu osiodłał konia. Dociągając popręg, już wskakiwał na siodło, żeby jak najszybciej wypaść ze stajni i zmusić zwierzę do galopu.

Kiedy rozległ się ryk, myśliwi zgromadzeni w cieniu zrujnowanego opactwa zamarli jak króliki na widok lisa. Pułkownik Montford spojrzął ukradkiem na Stricklanda, który był teraz blady jak ściana. Doktor Lloyd oblał się potem i sprawiał wrażenie, jakby zaraz miał się przewrócić. Tylko MacQueen zachował neutralny wyraz twarzy, choć i on zacisnął szczęki i poprawił chwyt na strzelbie.

MacQueen powoli się odwrócił i rozejrzał, by mieć pewność, że wszyscy myśliwi pochowali się w kryjówkach. Potem jeszcze się upewnił, że księżycowa poświata jasno oświetla pułapkę.

Jak na razie wszystko szło doskonale.

Kolejny ryk tnący powietrze jak kosa.

- Słyszałeś? - szepnął doktor Lloyd.

- A jak myślisz, głupcze? - szczechnął Montford.

- Panowie, wybaczcie - wtrącił MacQueen szeptem. - Ale chwila wydaje się odpowiednia, by wszyscy zamknęli jadaczki.

Nikt się z nim nie spierał.

Ryk wstrząsał ciemnością.

Wilkołak biegł cicho jak duch, przemykając przez mgłę wiszącą między pniami drzew. Jego potężne stopy poruszały się bezszelestnie. Przeskakiwał wąwozy i bez wysiłku pokonywał strumienie. Mijał powalone drzewa i co chwila zniknął w ciemnościach. Ani razu się nie potknął. W miejscach, w których zawodził nawet wzrok sowy, oczy potwora dostrzegały najdrobniejsze szczegóły. Bestia słyszała wszystko. Czuła wszystko. Las nie miał przed nią tajemnic. Gdyby jakiś robak wiercił się pod luźnym kawałkiem kory trzysto jardów dalej, bestia by go usłyszała. Gdyby dwie mile dalej jakiś lis oznaczał swoim zapachem terytorium, wilkołakowi nie mogłoby to umknąć. Słyszał bicie ich serc, widział poświatę rzucaną przez ich siły witalne, czuł cukier i sól w ich krwi.

Wyczuł wodę i stanął, by się napić. Naraz zamarł, spał się w sobie i rozzłościł się, widząc jak w wodzie pojawia się jakieś inne stworzenie i

spogląda wyzywająco. Wilkołak zamachnął się uzbrojoną w pazury łapą. Uderzył przez sam środek pyska, rozpryskując wodę wysoko na brzeg. Obraz potwora zafalował, ale kiedy tafla przestała się kołysać, znów spoglądał na niego z sadzawki. Wilkołak dostrzegł w nim swoje odbicie. Zniechęcony zawarczał, nachylił się i zaczął chłeptać wodę.

A potem znów był w ruchu - jakby wcale się nie zatrzymywał. Biegł, przeskakiwał i turlał się, gnany nienawiścią i głodem.

Księżyc zalewał bestię srebrzystą poświatą tak, że wydawała się najpotężniejszą istotą na świecie. Nie czuła przed niczym strachu, wszystko chciała pożreć.

Wilkołak biegł i biegł, a potem nagle stanął w miejscu. Przytulony do pnia grubej sosny, z pazurami głęboko wbitymi w korę, przez szeroko rozwarte nozdrza wciągał zapachy.

Wiatr niósł je ze sobą.

Krew.

Świeża i gorąca, jej woń nie mogła mu umknąć. Ślina pociekła z uzębionej paszczy na podartą koszulę.

Zwierzę poczuło zbliżającą się śmierć. Chciało zerwać postronki, rzucało się na wszystkie strony, wrzeszczało przerażone i dusiło się paniką. W rozwartych z przerażenia oczach czaił się obłąd.

Pułkownik Montford trzymał strzelbę przy ramieniu i spoglądał wzdłuż lufy. Pot ściekał po jego posiniaczonej i pokaleczonej twarzy.

- Jasna cholera, MacQueen - szepnął. - Na co on czekasz?

- Cii - mruknął myśliwy.

Jelonek przestał się szarpać i zamarł, a wraz z nim zamilkł las dookoła. W oczach bestii krew zwierzęcia miała ogniście czerwoną barwę, była gorąca i słodka. Choć między drzewami kryły się inne zwierzęta, na które mógł zapolować, jelonek stał tuż przed nim, a zapach krwi oddziaływał na zmysły wilkołaka jak narkotyk.

Bestia zmarszczyła pysk w niemym warkocie nieznośnego głodu, a potem runęła naprzód. Gnała z taką prędkością, że kiedy wynurzyła się z cienia, ludzkie oko mogło zobaczyć jedynie rozmazany kształt zmierzający w

stronę przynęty. Wilkołak jednym skokiem pokonał ostatnie siedem jardów i zwinnie wylądował kilka cali od jelonka.

Ale ziemia, na której postawił stopy, nie dała mu oparcia -zapadła się, ciągnąc bestię w mroczną przepaść. Wydawało się, że wilkołak spada bez końca, aż w końcu z głośnym hukiem wyrznął w kamienną posadzkę lochów opactwa. Uwięziony.

Myśliwi wyskoczyli z ukrycia i, podnieceni polowaniem, zaczęli strzelać na oślep. Kule wrywały kawałki kory z drzew, ścinały gałęzie i przynajmniej kilka zraniło biednego jelonka, zalewając go kolejnymi strugami świeżej krwi. Ale żadna go nie zabiła. Zwierzę po raz ostatni zapało się o ziemię i napięło postronki. Tym razem popękały. Po chwili przynęta zniknęła w ciemności. Montford wymierzył w ciemny otwór i raz za razem pociągał za spust, za każdym razem delikatnie przesuwając lufę. Nie celował, bo i tak nic nie widział w mrocznej pułapce. Pociski rykoszetując od kamiennych ścian, wyzwały snopy iskier i jak rozeżłone szerszenie śmigły na wszystkie strony.

- Cholera! Cholera! Cholera! - krzyczał, nie przerywając kanonady. W jego oczach czaiło się szaleństwo, strach i żądza mordy. Kiedy w końcu iglica szcęknęła sucho, obwieszczając koniec amunicji, sięgnął po pistolet.

Obok niego jak spod ziemi wyrósł MacQueen. Podbił mu broń, tak że ostatnia kula, nie robiąc nikomu krzywdy, przeszła suche liście nad nimi.

- Wystarczy! - krzyknął tak głośno i autorytatywnie, że pozostali natychmiast się opamiętali i zamarli z drżącymi palcami opartymi o spusty. W powietrzu wciąż rozbrzmiewało echo wystrzałów.

MacQueen zakradł się na brzeg pułapki i zajrzał do środka. Gdzieś poniżej rozległ się wściekły ryk wilkołaka i zgrzyt pazurów o kamienne ściany więzienia.

- Czyżbym trafił? - szepnął Montford bez tchu. Przesunął się jeszcze dalej i, drżąc ze strachu, wbił wzrok w ciemność, ale dno było niewidoczne. Brzegi pułapki wciąż pokrywało płótno, które rozpięli, by ją zamaskować.

- Dajcie światło! - zażądał MacQueen, a doktor Lloyd natychmiast poszedł po latarnię. Kiedy zdjął z niej osłonę, a polanę w jednej chwili zalała jasność.

- Już! - krzyknął, biegnąc z powrotem.

- Daj ją tutaj! - rozkazał MacQueen. - Sprawdźmy, czy raniliśmy tę kreaturę! Strickland przejął latarnię od doktora i uklęknął na samym brzegu otworu.

- Nic nie widzę.

- Opuść ją trochę - poradził Montford. - Jeszcze odrobinę...

Nagle z ciemności wychynęła uzbrojona w pazury łapa wilkołaka i zacisnęła się na twarzy Stricklanda, a potem wciągnęła go do lochów.

Reszta myśliwych zawyla z przerażenia. Zaczęli się cofać, bezładnie strzelając w kierunku otworu i w powietrze, wpadali na siebie i przewracali o własne nogi.

Z czeluści lochów wypadło coś ciemnego i uderzyło Mont-forda w pierś. Mężczyzna, zdjęty przerażeniem, zobaczył wyrwane ramię Stricklanda. Zakrwawiona dłoń wciąż ścisnęła pistolet, a palec spoczywał na spuście.

- Dobry Boże...

Chwilę później z otworu wypadło coś jeszcze. Coś znacznie większego. Żywego.

Wilkołak wylądował tuż przed MacQueenem. Twardo upadł na ziemię, podpierając się na łapach, tyłem do myśliwego. Potwór podniósł się i powoli wyprostował. Mężczyzna spoglądał na górujące nad nim cielsko, z wrażenia zapominając zamknąć usta. W końcu opanował się i zacisnął szczęki.

Chwycił strzelbę za lufę i z całej siły rąbnął potwora. Uderzenie było tak potężne, że drewniana kolba rozpadła się na kawałki, a bestia zadrżała. Gdyby taki cios dosięgnął człowieka, padłby trupem ze strzaskanym kręgosłupem. Ale na wilkołaku nie zrobiło wielkiego wrażenia. Stworzenie postąpiło krok naprzód.

Wilkołak odwrócił się przodem do MacQueena, kiedy ten odrzucił strzaskaną strzelbę, a drugą ręką sięgał po ciężki pistolet wetknięty za pas. Mężczyzna był szybki. Lecz nie dość szybki. Wilkołak uderzył obiema łapami, tnąc pazurami w przeciwnych kierunkach. Ostre jak brzytwy szpony przecięły ubranie, skórę, mięśnie i kości.

Wydawało się, że MacQueen po prostu rozpadł się na kawałki jak domek z kart tracony niechcący. Furia, z jaką potwór go zaatakował, wypełniła powietrze obłoczkiem krwi. Przez chwilę w miejscu, gdzie wcześniej stał człowiek, unosiła się chmurka posoki i poszatkowanych wnętrzności.

Myśliwy stojący tuż obok, nie namyślając się, przycisnął lufę pistoletu do boku kreatury i pociągnął za spust. Rozległ się wystrzał, stłumiony gęstym futrem, a potem wilkołak spojrzał na człowieka i zawył z wściekłości. Myśliwy zaczął się wycofywać, ale nie zdążył uciec. Potwór skoczył na niego i powalił

na ziemię, a impet uderzenia był tak potworny, że kości ofiary popękały z głośnym z trzaskiem, a z ust trysnęła krew. Wilkołak schylił się, ujął głowę człowieka w potężne łapska i gwałtownie ją odwrócił. Rozległ się trzask kręgosłupa, a wrzask konającego zawisł niedokończony w powietrzu.

- Zabijcie go! - Zawył Montford, podrywając strzelbę i niemal jednocześnie pociągając za spust.

Wilkołak zamachnął się na niego, lecz pułkownik już się cofał, przystając co krok i strzelając tak szybko, że ledwie nadażał z przeładowywaniem. Jeden z myśliwych sięgnął nieostrożnie po strzelbę, lecz znalazł się na linii strzału Montforda. Kula trafiła go w nadgarstek i urwała całą dłoń. Wilkołak chwycił rannego za przedramię i oderwał je od tułowia. Pozostali mężczyźni rozpierzchli się jak stadko spłoszonych owiec.

Doktor Lloyd i pułkownik Montford poszli w ich ślady. Montford z premedytacją odłączył się od grupy. Ich jest więcej, pomyślał. Niech bestia pogna za nimi. Niech zginą.

Sam ruszył w kierunku Talbot Hall. Gdyby udało mu się tam dotrzeć, zabarykadowałby się w środku. Przekonywał się w myślach, że to nie tchórzostwo, ale taktyczny odwrót. Nie ucieczka, tylko przegrupowanie.

Biegł najszybciej, jak potrafił, jakby starał się wyprzedzić łomot własnego serca.

W ciemności i we mgle nie zauważył, że zbliża się do bagien, dopóki w nie nie wpadł. Przewrócił się na twarz. Upadając, puścił broń, która zniknęła gdzieś w zaroślach. Nawet nie usłyszał, na czym wylądowała.

Montford szamotał się w trzęsawisku, szukając podparcia dla nóg, i krzyczał ze strachu i wściekłości. Ale im bardziej chciał się wydostać z pułapki, tym głębiej się zapadał.

Nagle coś usłyszał. Warkot i chlupnięcie. W jednej chwili zrozumiał, że wilkołak też wpadł w bagno. Mężczyzna wyprostował się i rozejrzał. Bestia była niedaleko! Niecałe trzy jardy od niego, skąpiana w ciemnej krwi, ze ślepiami płonącymi czerwienią ogni piekielnych. Montford zakwiczał i rzucił się w tył, byle dalej od wilkołaka. Potwór zrobił krok w jego kierunku i zapadł się po kolano. Wyrwał łapę z lepkiego błota i postawił kolejny krok. A potem jeszcze jeden.

- Mój Boże... - szepnął Montford i poczuł ciepło spływające wzdłuż nogi, kiedy zawiódł go pęcherz.

Wilkołak przysunął się jeszcze bliżej, mrużąc nisko, jakby nie mógł się już doczekać tego, co nieuchronnie musiało nastąpić.

Montford wiedział, że nie ma najmniejszych szans. Wyciągnął pistolet, choć zdawał sobie sprawę, że nie zatrzyma nim napastnika. Strzelba była nabita kulami ze srebra. Pistolet nie.

- Boże, ocal moją duszę - wyszeptał słowa modlitwy i przycisnął lufę do skroni.

Wilkołak pokonał ostatni jard. Mężczyzna pociągnął za spust. Nic się nie stało. Jeszcze raz zacisnął kurczowo palec na metalowym języczku i jeszcze raz. Gdzieś w głowie przemknęła mu myśl, że przecież nie przeładował broni po pierwszym ataku. Bestia stała tuż nad nim, niemal spokojna.

Niedługo.

Doktor Lloyd został sam. Nie potrafił biec tak szybko jak inni myśliwi i nie miał orientacji w terenie. Przeskakiwał od pnia do pnia, szukając za nimi schronienia, jęczał, łkał, kasłał. I nic nie widział, choć księżyc świecił jasno. Wciąż od nowa przeżywał chwilę, w której potwór wyskoczył z pułapki. Noga zahaczył o korzenie i upadł.

Wylądował oparty plecami o stary wiąz i zamarł, przyciskając strzelbę do piersi. Łkał, kołysząc się w przód i w tył.

Nagle usłyszał nowy dźwięk. Ktoś skradał się między drzewami.

Wstrzymał oddech.

Boże, pomyślał, spraw, żeby to był Montford. Dźwięk się powtórzył, tym razem bliżej. Szelest, jakby jakiś człowiek przekradał się przez gęste krzaki. Chyba że to nie był człowiek.

Lloyd uniósł strzelbę i skierował lufę w ciemność za sobą. Suche liście szeleściły pod stopami zbliżającego się stworzenia. Boże, spraw, żeby to był Montford. Wtedy rozległ się ryk. To coś było tak blisko...

Lloyd strzelił i w krótkim błysku palącego się prochu zobaczył pysk bestii. Nie za sobą i nie na linii strzału. Wilkołak stał tuż przy nim.

Inspektor Aberline słyszał wycie i strzały i zmusił konia do wyciągniętego galopu. Kopyta wierzchowca wzbijały kurz i wyrzucały w powietrze ziemię, jakby droga dymiła za ich plecami.

Kiedy wpadł w końcu między drzewa, zobaczył coś pędzącego w jego stronę. Aberline wyciągnął broń, lecz z bliska zobaczył, że to tylko jelonek. Zwierzę szybko zniknęło w lesie, a uwadze policjanta nie umknęła ani pętla na jego szyi, ani zakrwawione boki.

To niespodziewane spotkanie i zapach świeżej krwi spłoszyły konia. Spanikowane zwierzę zaczęło się cofać i podniosło się nagle na tylnych nogach, wyrzucając jeźdźca z siodła. Aberline upadł na miękki grunt, ale wstrząs wystarczył, by nie mógł przez chwilę złapać oddechu i zobaczył mroczki.

Przez kilka minut leżał bez ruchu, ledwie oddychając. Las dookoła stopniowo zamierał, aż w końcu, kiedy udało mu się wstać, zapanowała martwa cisza. Kilka drobnych chmur zasłoniło księżyc, pograżając policjanta w mroku.

Mężczyzna sięgnął do kieszeni po zapalniczki, ale zanim je znalazł, wiatr przegonił chmury i polanę na powrót zalała srebrzysta poświata. Stał w miejscu, które niegdyś było dziedzińcem opactwa. Nieopodal w ziemi znajdował się otwór prowadzący do starych lochów, a za nim stały jeszcze częściowo zniszczone mury, porośnięte dzikim winem. Niebo było czyste i bezchmurne, a księżyc oświetlał wszystko srebrzystą poświatą. To, co dzięki niej zobaczył, zaparło mu dech w piersiach znacznie gwałtowniej i brutalniej niż upadek z konia.

Dookoła leżały bezładnie rozrzucone ciała. Myśliwych, mieszkańców Blackmoor. Trupy z powyrywaniem kończynami i przetrąconymi kręgosłupami. Aberline stał otoczony śmiercią, pośród morza krwi.

Gdzieś daleko nocne niebo rozdarło pojedyncze wycie wilka. Lasy Blackmoor wzięło we władanie szaleństwo.

Witaj, synu.

Lawrence Talbot usłyszał wprawdzie słowa, lecz jego mózg był zbyt oślepiały, by je zrozumieć lub choćby rozpoznać mówiącego. Zmobilizował wszystkie siły, by unieść powieki. Poranne słońce sprawiło mu ból jak uderzenie pięścią, a refleksy pojedynczych kropel rosy na trawie i liściach przyprawiały o łzy. Widział kogoś nad sobą, ale nie mógł rozpoznać, kto to, gdyż światło i cień mieszały się ze sobą w nieczytelną masę. Lawrence czuł pod sobą ziemię i kępy trawy. I chropowatą korę pod plecami. W miarę jak wracała mu świadomość, a zmysły przekazywały coraz więcej bodźców, zauważył, że siedzi wciśnięty w pęknięty pień drzewa na jakimś trawiastym zboczu.

- Lawrence, słyszysz mnie? - zapytał głos. - Poznajesz mnie?

Potem dołączyły do niego inne głosy, rżenie koni i chłód rannego powietrza.

Lawrence zamrugał kilka razy i kiedy w końcu mógł coś zobaczyć, z gardła wyrwał mu się nieartykułowany szloch. Jego ręce... Boże Wszechmogący... ręce...

Uniósł dłonie i przez jedną rozpaczliwą sekundę miał nadzieję, że to, co na nich zobaczył, to ciemnoczerwone rękawice. Ale wiedział, że nie. Spojrzał na ubranie. Koszula wisiała w strzępach, spodnie pękły na całej długości wzdłuż szwów, a buty w ogóle zniknęły. Na cokolwiek by spojrzeł, wszystko skąpane było we krwi. Tyle krwi... Zakrzepnięte brązowe plamy, krew w porach jego skóry, pod każdym paznokciem. Kiedy dotknął dłonią twarzy, pod palcami wyczuł grube skrzepy oblepiające całą brodę i gardło.

Przewrócił się na kolana i spojrzeł na postać nad sobą.

- Co... - zaczął, ale jak miał zadać pytanie, które płonącymi zgłoskami paliło jego serce? - Co ja...

Sir John Talbot podszedł bliżej, a Lawrence z przerażeniem spojrzeł mu w twarz i zobaczył spokojne błękitne oczy i białą brodę. Usta ojca ułożyły się w przelotny, niewinny uśmiech, lecz oczy - te były zimne jak śmierć.

- Popełniłeś przerażające zbrodnie, mój synu - szepnął sir John. - Odrażające.

Lawrence wstał, głośno szlochając, i odsunął się od ojca. Rozumiał już, skąd ten uśmiech i rezerwa. Prawda, którą pojął, sprawiła, że dusza pękła mu na pół. Odwrócił się, chcąc uciec, lecz niecałe trzy jardy dalej stał inspektor Aberline. Lawrence rozejrzał się i dopiero wtedy zobaczył całą armię ludzi - wielkich, silnych mężczyzn o twarzach wykrzywionych obrzydzeniem i nienawiścią.

- Nie! - zawył i rzucił się do luki między nimi, lecz szybko ją zamknęli. Odwrócił się i chciał ruszyć w stronę drzew, ale i stamtąd odcięli go jeźdźcy na koniach. Wśród oddziału, który po niego przyszedł, zobaczył mieszkańców Blackmoor. Ich twarze pełne były żalu i całkowicie pozbawione współczucia. Nie było wśród nich nikogo, kto nie trzymałby w ręku ciężkiej pałki czy broni.

Zdesperowany spojrzał raz jeszcze na ojca, który nie ruszył się z miejsca.

- Jak było? - zapytał sir John tak cicho, by nikt prócz syna go nie usłyszał.

- Nie! - zawył Lawrence. Zatoczył się. - Inspektorze... Mój ojciec jest potworem!

Aberline podszedł bliżej, z bronią gotową do strzału w dłoni. Sir John podniósł wzrok. Na jego twarzy malowały się ból i rozpacz. Uczynił dłonią gest w stronę syna, a inspektor kiwnął głową, jakby zobaczył wcześniej uzgodniony sygnał. Aberline uniósł rękę. Na ten znak kilku potężnych policjantów zbliżyło się do Lawrence'a, natarli na niego i wykręcili mu ramiona.

- Nie pozwólcie mu odejść! - błagał Lawrence. - Aberline, aresztuj mnie, jeśli musisz, ale na miłość boską, jego także!

Sir John zgarbił się i ukrył głowę między ramionami. Wyglądał, jakby w jednej chwili się postarzał i stracił wszystko, co miał.

- Tak, jak pan mówił.

Aberline spojrzał na niego ze współczuciem i położył mu dłoń na ramieniu.

- Przykro mi, sir Johnnie. Naprawdę, bardzo mi przykro.

- Mimo to dziękuję - powiedział słabo starzec. Aberline odwrócił się do swoich ludzi.

- Przeprowadźcie go!

Kiedy zaczęli ciągnąć Lawrence'a w górę zbocza, sir John podszedł do syna.

- Bądź dzielny, mój mały. Bądź dzielny - szepnął. Tylko syn dostrzegł zadowolenie ukryte pod maską smutku.

Tylko on jeden wiedział, że ojciec - prawdziwa bestia - pozostanie na wolności. Szarpnął się, chcąc złapać go za gardło. Wyrwał się dwóm mundurowym, którzy trzymali go pod ramiona, a ci wpadli na pozostałych. I nagle był wolny. Rzucił się na ojca, godząc się na to, że mogą go teraz zastrzelić. Wolał jednak umrzeć, byleby tylko powstrzymać to szaleństwo. Tu i teraz.

Aberline był szybszy. Doskoczył i silnym uderzeniem kolby pozbawił go przytomności. Palce młodego Talbota ledwie musnęły skórę na szyi ojca, a on sam pogrążył się w nieprzeniknionej ciemności.

Lawrence nie wiedział, kiedy wtłoczono go w kaftan bezpieczeństwa ani jak przypięto go łańcuchami do siedzenia z tyłu obitej żelazem karety. Nie zapamiętał nic z drogi powrotnej do Londynu. Nie czuł brutalnych rąk pielęgniarzy w białych fartuchach, którzy wyciągnęli go ze środka, rozebrali do naga, opłukali zimną wodą z węża ogrodowego, ubrali w szpitalną koszulę i przypięli do masywnego krzesła. Jedyne, co pamiętał, to ciemność, ból i sny, tak odrażające, że żeby przed nimi uciec, chował się jeszcze głębiej w brak przytomności.

Ale ta w końcu wróciła. Powoli, ale nieubłaganie. Kiedy otworzył oczy, od razu wiedział, gdzie jest. I dlaczego.

Szpital dla umysłowo chorych Lambeth Asylum.

A tuż obok, prawdziwszy niż wspomnienia ostatniej nocy, stał doktor Hoenneger. Ten sam lekarz i ten sam szpital, do którego trafił po samobójstwie matki. Przez chwilę miał nadzieję, że to tylko kolejny z dręczących go snów, lecz twarz doktora Hoennegera była starsza, szczuplejsza i poznaczona głębszymi zmarszczkami. To był prawdziwy świat, teraz... Serce waliło mu w piersiach jak szalone.

Hoenneger stanął naprzeciwko. Szybko dołączył do niego pielęgniarz - potężny mężczyzna, nieokrzesany, z ciemnymi, głęboko osadzonymi oczyma. Kiedy wykrzywił się w obleśnym uśmiechu, obnażył pożółkłe zęby. Tuż za nimi znajdował się niewielki basen z wodą, wpuszczony w kamienną posadzkę.

- Naprawdę bardzo mi przykro widzieć cię w takim stanie, Lawrence - powiedział Hoenneger ponuro, ale zupełnie bez przekonania. - Od kiedy byłeś tu po raz ostatni, poczyniliśmy wielkie postępy w leczeniu tego rodzaju szaleństwa, jakie ciebie nęka.

Uśmiech lekarza nie dodawał otuchy. To był raczej zarozumiały, nieprzyjemny grymas wyższości.

- Rippler? - Zrobił gest w kierunku pielęgniarza. Mężczyzna chwycił za masywną drewnianą dźwignię i nagle Lawrence zdał sobie sprawę, co się zaraz stanie. Jego krzesło przymocowane było do platformy umieszczonej na

naoliwionych przewodnicach, więc kiedy Rippler szarpnął za dźwienie, całość nagle opadła i Lawrence z całym krzesłem osunął się twarzą naprzód do basenu pełnego brudnej, lodowatej wody.

Szok wywołany zimnem był tak ogromny, że zaczął krzyczeć. Nosem i ustami zaczęło mu uciekać powietrze, a woda pozbawiła go czucia i wzroku. Nie mają prawa tego robić! Nie mogą go tak zostawić, przecież się utopi! Nie chciał tak skończyć. Kiedy zużył resztki tlenu w płucach, a w piersiach pojawiło się nieznośne pieczenie, dźwignia wróciła na swoje miejsca i fotel z krztuszącym się Lawrence'em wynurzył się z wody. Mechanizm zatrzymał się z głośnym szczękaniem, a Rippler nachylił się i chuchnął cuchnącym oddechem.

- Orzeźwiający - powiedział. - Co nie, szefuniu?

- Co... wy... robicie...

Lecz zanim dokończył pytanie, Rippler znów chwycił dźwignię. Drugie zanurzenie było znacznie, znacznie gorsze. Lodowata woda wpychała się mu do nosa i wbijała lodowate igiełki w twarz i gardło. Kiedy w końcu krzesło wróciło na brzeg, Lawrence był przekonany, że woli umrzeć, niż znów trafić pod wodę.

Tym razem doktor Hoenneger przysunął się do niego bardzo blisko.

- Ach, Lawrence, będziesz zaskoczony, jak daleko zawędrowała medycyna od twojej ostatniej wizyty.

Uniósł dłoń, by pokazać pacjentowi długą igłę do zastrzyków. Ramiona Lawrence'a były przypięte pasami do poręczy fotela. Nie mógł się ruszyć i nie mógł uciec. Hoenneger zagłębił ostry kawałek metalu w jego przedramieniu i powoli wcisnął tłoczek. Cokolwiek w niej było, paliło jego żyły żywym ogniem, a kilka sekund później zaczął odczuwać pierwsze skutki działania mikstury - świat rozpadał się na mniejsze kawałki, a rzeczywistość rozwarstwiała jak skórka cebuli. Jeszcze zanim oczy uciekły mu pod powieki, zobaczył twarze Hoennegera i Ripplera pozbawione proporcji i wykrzywione w paskudnym uśmiechu. Obaj się schylali, jakby chcieli wgryźć się w jego ciało ostrymi jak żyłki zębami. W końcu lek zawładnął każdym fragmentem jego świadomości i odebrał mu władzę nad członkami i zmysłami...

Lawrence otworzył oczy. Stał samotny w długim korytarzu, którego koniec ginał gdzieś daleko w mroku. Spojrzał za siebie i zobaczył taki sam

widok. Po obu stronach ciągnęły się rzędy zamkniętych drzwi. Dywan miał kolor świeżej krwi, a w kinkietach na ścianach migotały świece.

- Ojczy! - krzyknął, ale jego głos był słaby jak szept. Ledwie sam siebie słyszał. - Gwen...?

Tym razem jego słowa były tak przeraźliwie głośne, że echo odbite od ścian odepchnęło go kilka kroków w tył.

Usłyszał za sobą jakiś głos. Niecałe dziesięć jardów dalej otworzyły się drzwi. Nikogo przy nich nie było, a mimo to niemal dotknęły ściany. Lawrence zrobił krok. Nagle ze środka wyskoczyło dziecko i pobiegło w cieniu korytarza.

- Chłopcze! - krzyknął za nim, ale małe uciekał od niego, jakby goniło go stado wilków. Mężczyzna zaczął za nim iść, potem jego marsz przeszedł w trucht, aż w końcu biegł tak szybko, jak tylko potrafił.

Chłopiec gwałtownie skręcił i wpadł do jakiegoś pokoju. Kiedy Lawrence dotarł do tego miejsca i zajrzał do środka, zobaczył przed sobą wilgotną celę. Podłoga była wyłożona sianem zmieszonym ze śmieciami, ściany pokrywała pleśń, a przez zakratowane okna widać było brudną Tamizę. Nagle zrozumiał, że to jego cela. Tutaj trafił, przywieziony przez własnego ojca i inspektora Aberline'a. Do tej samej celi, w której spędził dwa lata swojego dzieciństwa.

Dziecko było w środku. Nagie, wciśnięte w kąt między ścianą a łóżkiem, drżało na całym ciełe.

- Chłopcze... kim jesteś? - zapytał, ostrożnie wchodząc do środka. - Jak się tu znalazłeś?

Chłopak podniósł nieco głowę i spod grzywy czarnych włosów spoglądał na Lawrence'a jednym okiem. Potem chwycił coś spod łóżka i ostrożnie pokazał mężczyźnie. W dłoni trzymał czaszkę. Taką samą, jakiej używało się na deskach londyńskich teatrów, przy inscenizacjach *Hamleta*. Lawrence nie mógł wydobyć z siebie głosu, bo rozpoznał dzieciaka.

To był jego wzrok... To dziecko było nim, umęczonym chłopcem, przed wieloma laty zesłanym w to zapomniane przez Boga miejsca.

- Chryste... - szepnął. Uklęknął i wyciągnął dłoń. - Nie bój się. - Położył rękę na szczupłym ramieniu malca i delikatnie spróbował przyciągnąć go do siebie. - Chodź... nic ci nie zrobię...

Wtedy malec się odwrócił. Nie powoli i opornie, tylko z nadludzką prędkością. Miał twarz, która nie należała do Lawrence'a-dziecka. To był raczej pysk warczącego wściekłe zwierzęcia. Żółte ślepie pały jakąś dziwną mocą, z gardła wydobywał się zły bulgot, a w końcu z perwersyjną radością stworzenie rzuciło się na Lawrence'a, kłapiąc ostrymi zębami...

...Ripler pociągnął za dźwignię i Lawrence wpadł do lodowatej wody. Ból i szok były takie same jak przedtem, z tym wyjątkiem, że tym razem nie miał pojęcia, które wydarzenia są prawdziwe, a które dzieją się tylko w jego niekończącym się śnie.

...Lawrence przewrócił się we śnie na drugi bok.

I wtedy zdał sobie sprawę, że śpi. Duchy i zwidy zniknęły, tak samo jak mały chłopiec. Cella była ciemna, z wyjątkiem wąskiego pasemka księżycowej poświaty, która wciskała się do środka przez zakratowane okno.

Zamek szczęknął metalicznie. Mężczyzna wbił wzrok w ciemność i zobaczył, jak obraca się klamka, a potem otwierają drzwi. Cofnął się pod samą ścianę i skulił, spodziewając doktora Hoenneger i Riplera... Ale wbrew zdrowemu rozsądkowi w progu stanął ktoś, kto żadną miarą nie miał prawa się tu znaleźć. Smukła, w zwiewnej sukience, skromnie weszła do środka.

- Gwen?

Tak, to była ona. Uśmiechnęła się ze słodyczą i współczuciem, których nie spodziewał się zobaczyć już nigdy w życiu. Tylko matka patrzyła na niego w ten sposób, z taką miłością... Ale przecież tamto to było coś zupełnie innego. Kiedy weszła w plamę księżycowego światła, jej sukienka stała się przezroczysta i Lawrence mógł rozkoszować się widokiem każdej cudnej kragłości jej ciała. Delikatny powiew poruszył materiałem, opinając go na biodrach i udach. Jej piersi kołysały się delikatnie w rytm jej kroków, a cienka tkanina drażniła zeszywniałe sutki.

- Dzięki niech będą Bogu, że to ty! - powiedział, siadając. - Właśnie miałem najgorszy z możliwych snów.

Podeszła bliżej i oparła palec o jego usta.

- Ciii... już dobrze. - Pocałowała go w czoło i zbliżyła usta do jego ucha. - Jesteś już bezpieczny...

Gwen zasypała go setkami szybkich pocałunków, które były jak delikatny, uspokajający deszcz. Głaskała go po policzkach, po szyi, a potem zsunęła się niżej i zaczęła rozpinąć guziki koszuli.

Lawrence przyciągnął ją do siebie, aż ich usta spotkały się w intensywnym, erotycznym pocałunku. Fala gorąca zalała jego ciało, jakby nagle uwolniono jakąś pierwotną energię.

- Potrzebuję cię - wyszeptał i zsunął delikatny materiał z jej ramion. Kiedy sukienka opadła, zobaczył doskonale alabastrową skórę. Pocałował ją w zagięcie szyi, a ona zamruczała i naparła, zdzierając z niego koszulę i spodnie. Po kilku sekundach nic już nie dzieliło ich rozgrzanych ciał, skąpanych w księżycowej poświacie. Ich głodne usta szukały się nawzajem, ciała poruszały razem, w rytmie wyznaczanym przez miłość i czyste pożądanie. Kiedy w nią wszedł, wygięła się w łuk i krzyknęła, przyciskając piersi do jego ciała. Zacisnęła nogi dookoła jego pośladków. Ciała wypełniła się jęczeniem i krzykami.

- Kocham cię - powiedział.

- Ja... - zaczęła, ale nie dokończyła, bo jej głos przeszedł w kolejny jęk rozkoszy.

Gwałtowność wzbierała w ich ciałach i z każdym uderzeniem serca poruszali się coraz szybciej. Lawrence oddychał szeroko otwartymi ustami, a krzyki Gwen z każdym ruchem bioder stawały się coraz głośniejsze i ostrzejsze.

- Lawrence - zapłakała. - Boże! Lawrence...

Coraz gwałtowniej i mocniej byli w sobie, zmierzając ku słodkiej otchłani.

- Lawrence! - Jej głos był znacznie ostrzejszy.

Łóżko uderzało o ścianę, a sprężyny w materacu skrzypiały pod ich ciężarem.

- Lawrence!

Tym razem usłyszał wyraźną zmianę w jej głosie. Podniósł dłoń, by odsunąć niesforny kosmyk z jej twarzy... I cały świat pogrążył się w szaleństwie. Jego palce były teraz długie i powykrzywiane, na dodatek pokrywała je ciemna, sztywna szczecina. Wszystkie kończyły się ostrymi jak brzytwa szponami. I każdy ociekał krwią.

Lawrence odsunął się od Gwen i w niemym przerażeniu spoglądał na jej ciało. Każdy cal ukochanej skóry, od ud do samego gardła, zamienił się w wielką ranę. Krew lała się z niej strumieniami, a krzyki nie wyrażały rozkoszy, lecz ból agonii. Gwen wpatrywała się w niego z rozpaczą, wyciągała palce, jakby chciała zamienić przerażającą rzeczywistość w nieznaczący sen... Ale z każdym uderzeniem serca kolejne fale krwi zalewały jej usta i piersi...

...Lawrence obudził się z krzykiem, zlany potem i przerażony. Wzywał Gwen po imieniu i przeklinał Boga. Skulony w kącie celi podkurczył nogi, żeby zerwać się i pobiec do drzwi, lecz po dwóch krokach coś ścisnęło go za gardło i przyciągnęło z powrotem. Wokół szyi miał zapiętą żelazną obrozę, którą teraz szarpał rękoma. Krótki łańcuch łączył ją z masywnym kółkiem przyczepionym do kamiennej ściany. Przypięli go jak wściekłego psa.

Ale tym razem już nie spał.

Skąd wiedział, że to już jest ten prawdziwy świat, podczas gdy wszystko, co wydarzyło się wcześniej, było fantazjami stworzonymi przez jego umysł otumaniony narkotykami i podtapianiem. To... Łańcuch, naga kamienna posadzka... Tak wyglądała rzeczywistość.

Lawrence osunął się na kolana i pięściami uderzył w ziemię. Przeklinał to miejsce, przeklinał niebo i swoje życie. Schylał się coraz niżej, aż w końcu dotknął głową zimnej posadzki.

Pozostał tak bez ruchu przez długi czas, szlochając, całkowicie samotny i zagubiony.

Był samotny, ale na pewno nie był sam.

Ktoś siedział na jego pryczy. I nie był to mały chłopiec z jego snu. Ani Gwen. Sir John miał założoną nogę na nogę, w dłoni trzymał filiżankę kawy i uśmiechał się najbardziej lodowatym uśmiechem, jaki Lawrence kiedykolwiek widział.

- Ojcie - wyjęczał. - Dlaczego...?

- Złapałem tę chorobę w Indiach - odpowiedział sir John po cichu. - W górach Hindukusz. I ja, i Singh słyszeliśmy już wcześniej o pewnej odległej dolinie, w której żaden biały człowiek nie postawił stopy i gdzie zwierzyna była równie zachwycająca, jak naturalne piękno tego miejsca. W końcu, po kilku miesiącach poszukiwań w końcu trafiliśmy do Shangri La.

Lawrence pokręcił głową.

- Nie rozumiem, po co mi to mówisz? Ojciec przyłożył palec do ust.

- Cii... Po prostu słuchaj, chłopcze. Bo to też twoja historia. - Sir John wypił łyżeczek kawy i odstawił filiżankę. - Udało nam się wkupić w łaski miejscowej ludności, rozdając myśliwym sprzęt, którego potrzebowali. I opłacało się. Rzeczywistość nie ustępowała opowieściom. Łowy udawały się doskonale, a widoki zapierały dech w piersiach. Mieszkańcy... Cóż, nie da się nawiązać między ludźmi bardziej pierwotnej i bliższej więzi niż ta, która powstaje w czasie wspólnych polowań. Opowiadaliśmy sobie nawzajem historie. Wymienialiśmy się zwyczajami i wierzeniami. Jedna z opowieści dotyczyła rytuału, który miał zapewnić niehumanitarną siłę. Powodzenie w łowach, czy to na zwierza, czy na kobiety.

Sir John mrugnął łobuzersko okiem, a Lawrence niemal się zaśmiał.

- Ktokolwiek wzięłyby udział w tym rytuale, nigdy nie wróci z polowania z pustymi rękoma. Czarna magia miała naprawdę działać, ale żaden z miejscowych nie mógł się pochwalić, że przeszedł inicjację. Tłumaczyli, że obrzęd jest zbyt... przerażający.

- Obrzęd? - Lawrence powtórzył za nim jak echo. Sir John roześmiał się i machnął lekceważąco ręką.

- Oczywiście z początku nie wierzyłem w ani jedno słowo, ale tak czy inaczej zaintrygowali mnie. Kiedy zapytałem, wskazali mi jaskinię wysoko w górach, w której, zgodnie z legendą, mieszkało dziwaczne stworzenie. Po wielu, wielu dniach ciężkiej wspinaczki dotarłem na miejsce. I rzeczywiście, znalazłem tam... jaskinię.

- A stworzenie, które miało w niej mieszkać? - Lawrence wyprostował się. Mimo narkotyków, którymi go otumaniano, starał się skupić na słowach ojca.

- To był mały chłopiec. - Sir John zaśmiał się i pokręcił głową. - Mały, zdziczały chłopiec. Rzucił się na mnie.

- Ugryzł cię? - zapytał Lawrence szeptem.

- O tak. Zostałem tam ugryziony. Właśnie przez niego. Wróciłem do towarzyszy i śmiałem się z nimi, jak dałem się nabrać. - Znów pokręcił głową, jakby sięgał do jakichś starych wspomnień. Chłodny uśmiech nie schodził mu z ust. - Jednak szybko się przekonałem, że była to prawda.

Lawrence wpatrywał się w niego z nieukrywanym strachem. Nie bał się opowieści. Obrzydzenie i żal rozrywały mu pierś i łamały serce.

- Moja matka... - jęknął bez tchu. Sir John nie powiedział.

- Ona się nie zabiła... prawda?

Uśmiech sir Johna Talbota stał się jeszcze bardziej lodowaty.

- Nie - potwierdził jego obawy. - Domyślałem się, że ja ją zabiłem.

Lawrence zaczął krzyczeć.

Przeniósł się z powrotem do tamtej deszczowej, okropnej nocy, nad brzeg sadzawki, w której odbijały się ściany ich wielkiego domu. Chmury na niebie przerzedzały się, a coraz delikatniejszy deszcz opadał na ziemię jak lzy. Ponad tym wszystkim jaśniała tarcza księżyca, który spoglądał z wysoka jak jakiś drapieżca, uważny i bezustannie głodny.

Lawrence Talbot stał niecałe dziesięć jardów od sadzawki, ubrany w szpitalną koszulę. Wiedział, że śni i że w jakiś sposób stał się świadomą częścią tego snu, tak jak zdawał sobie sprawę, że to, na co patrzy, naprawdę się wydarzyło przed wieloma laty. Był świadkiem swoich własnych wspomnień.

Wróciło coś, czego nigdy nie mógł sobie w całości przypomnieć - wróciło i wpędziło go w szok i szaleństwo.

Zobaczył swoją matkę, leżącą bezwładnie w ramionach ojca. Widział tylko zarys ich postaci - sir John siedział plecami do niego. Naraz noc przeciął krzyk. Lawrence odwrócił się, szukając jego źródła, i zobaczył swoje młodsze

ja - dziewięcioletniego chłopca w progu oranżerii. W świetle błyskawic czoło młodego Lawrence'a było zmarszczone niepewnością i konsternacją.

- Matko? - szepnął chłopiec i ostrożnie ruszył w jej stronę. Głośny jęk przeciął noc i wzniósł się ku niebu, a sir John odchylił głowę. Kiedy to zrobił, ciało w jego ramionach przesunęło się i Lawrence - chłopiec i dorosły mężczyzna - zobaczył ręce Solany, jak opadają bez życia na przesiąkniętą ziemię. Czarny deszcz spływał po niej, kapał z jej dłoni, z jej ciała i skóry. Mroczna rzeka, wijąca się po kamieniach, od niej w kierunku syna.

- Matko? - szepnął chłopiec i tym razem ojciec usłyszał jego drżący głos. Sir John odwrócił się do niego, wciąż przyciskając Solanę do piersi. W tym samym momencie niebo przecięła błyskawica, oświetlając poorane przeraźliwym, niemożliwym do pojęcia żalem oblicze ojca. Jego oczy były ciemnoczerwone, wypełnione furją i cierpieniem, złością i tęsknotą po stracie.

Ale tym razem wszystko rozegrało się inaczej. Lawrence -mężczyzna stojący pośrodku sceny, na której odgrywano jego własne wspomnienia - zobaczył zupełnie inną wersję wydarzeń.

Kiedy błyskawica rozświetliła niebo, mógł przyjrzeć się ciału matki. Patrzył na nadgarstki, szukając ran po podcięciu żył, choć wiedział, że ich tam nie znajdzie. Dostrzegł za to inne okaleczenia.

Podszedł bliżej i stanął tuż za chłopcem. W błysku kolejnego pioruna przyjrzał się twarzy kobiety. Kochanej, spokojnej i bladej. Wtedy zobaczył jej gardło. Było czerwone, bezkształtne, poszarpaną masą. Rany na jej piersiach, ramionach i nogach nie zostały zadane zwykłym ostrzem. Została pokąsana.

Brutalnie i bezlitośnie.

Sir John odrzucił głowę na plecy i krzyknął. Tyle że dziś to już nie był krzyk. On wył. I nie był to już sir John. Jego miejsce zajął wilkołak. Chłopiec krzyknął.

Lawrence też...

Ojciec podniósł filiżankę, wypił łyk kawy i z chłodnym zainteresowaniem przyglądał się, jak jego syn zwija się z bólu, który nagle eksplodował w jego

sercu. Lawrence ukrył twarz w dłoniach, a echo jego krzyku odbiło się wielokroć między kamiennymi ścianami celi.

- Ty draniu! - zawył. Podniósł głowę i splunął na ojca, lecz nie zrobiło to na nim wrażenia. Sir John wytarł rękawem plwocinę z marynarki. - Mówiłeś, że ją kochałeś! A cały czas wiedziałeś, czym jesteś i że... że... - Pokręcił głową, bojąc się zaakceptować prawdę. - Powinieneś był odebrać sobie życie.

Sir John mruknął.

- Nawet nie wiesz, ile razy rozważałem taki krok. Pewnie bylibyście teraz słodką, kochającą się rodziną - ty, twoja matka i twój brat. Ale cóż, życie jest zbyt wspaniałe, żeby tak głu-pio się z nim rozstawać. Jest szczególnie interesujące dla przeklętych. Przez wiele lat, podczas każdej pełni, byłem zamykany w krypcie. Singh się tym zajmował. Od dwudziestu pięciu lat wiernie mi służy... ale potem pojawiła się ona, prawda?

- Ona?

Głos starca zadrżał.

- Gorąca, pociągająca jak tarcza księżyca. Podobna do twojej matki. Bardzo podobna. I niedostępna.

- Gwen... - szepnął Lawrence.

- Tak - przytaknął ojciec. - Gwen. Zabrałaby twojego brata i zniknęła. Ja się na to godziłem, bestia we mnie nie. Chyba rozumiesz mnie teraz, nieprawdaż?

- Co masz na myśli? - Zapytał. - Mówisz o bestii, jakbyś nią nie był.

- Bo nie da się kontrolować jej pragnień. I tego, co robi. - Sir John przerwał. - Tamtej nocy, której zmarł Ben, strasznie się pokłóciliśmy. Naprawdę strasznie. Prawdziwa awantura. Ben przyszedł do mnie i oznajmił, że jest zdecydowany opuścić na stałe Talbot Hall i nie zmieni postanowienia. Upiłem się i zrobiłem agresywny. - Westchnął. - Wyjątkowo agresywny. Rzuciłem się nawet na Singha, kiedy starał się mnie powstrzymać. Pozbawiłem go przytomności.

Popatrzył na syna z żalem w oczach.

- Biedny Singh. W starych dobrych czasach zwykłem walczyć na gołe pięści i nie było na mnie mocnych.

Sir John wstał i podszedł do okna.

- Cóż, stary dobry Singh. - Znów spojrzał na syna. - Ogłuszyłem go na dobre i niestety, zbyt długo nie odzyskał przytomności. Potem było już za późno i tamtej nocy nie spędziłem uwieczony w celi.

- Coś ty narobił? - zapytał Lawrence, choć doskonale wiedział, że zna dalszą część opowieści.

- Rankiem... kiedy wróciłem... znalazłem twojego brata w sadzawce... Niedaleko domu. Rozerwanego na strzępy. - Oparł dłoń o ścianę i zwiesił głowę.

- Niech cię piekło pochłonie! - powiedział Lawrence, lecz tak wielki żal ścisnął mu pierś, że z jego gardła wydobył się ledwie szept.

Sir John uderzył otwartą dłonią w ścianę i gwałtownie odwrócił się do syna. Miał zacięty wyraz twarzy i płonące oczy. Po żalu, współczuciu czy wyrzutach sumienia nie było śladu.

- Teraz już rozumiem! - powiedział z triumfem. - Teraz wiem, że to był błąd. Nie trzeba było zamykać bestii. Dwadzieścia pięć lat, Lawrence! I wstydzisz się tego... przez ten cały czas wstydzisz się bycia bestią... A nie powinienem! Nie powinienem ingerować w naturę, zmieniać jej biegu. Nie sądzisz, chłopcze? Natury nie wolno pętać. Powinna być wolna... Zabijać lub dać się zabić...

Lawrence znów skoczył do ataku, ale obroża nie pozwoliła mu się zbliżyć do ojca. Zatoczył się, chwycił za gardło i przeklinał, krztusząc się łzami. Wiedział już, że sir John tylko się bawi. Że podszedł do ściany tylko po to, żeby sprowokować atak, który miał udowodnić synowi, że jest bezradny.

- Jeśli odważysz się choćby tknąć Gwen... Sir John się uśmiechnął.

- Nie próbuj mi grozić, chłopcze, bo nie masz dość odwagi, żeby te groźby spełnić. Jeszcze długa droga przed tobą, zanim będziesz mógł mi mówić, co mam robić. Ale... będziesz miał szansę.

Podszedł do zakratowanego okienka. Na dworze zapadał wieczór.

- Bogini znów wyruszy na łów... Dziś w nocy jest pełnia.

- Nie!

- O tak, mój mały. Ale... - Sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął brzytwę. Szybkim ruchem nadgarstka otworzył błyszczące ostrze. - To mały prezent dla ciebie. Gdybyś jednak uznał, że nie mam racji i życie wcale nie jest tak wspaniałe. - Mruknął porozumiewawczo i wsunął brzytwę pod materac na

łóżku. Lawrence się nie poruszył. Ojciec nachylił się i delikatnie pocałował go w czoło. Łzy same spłynęły synowi po policzkach.

- Śpij dobrze, moje dziecko - mruknął sir John. - Wypoczywaj. Kocham cię. Jeśli jesteś w stanie to pojąć, po tym wszystkim.

Potem wezwał strażnika i zostawił syna sam na sam z rozpaczą i przerażającą prawdą, którą właśnie poznał. Lawrence zwinął się w kłębek i zaczął szlochać.

Ripler, pielęgniarz o prymitywnej twarzy, przyszedł po niego godzinę później. Przeprowadził ze sobą dwóch muskularnych osiłków i razem wcisnęli Lawrence'a w białą koszulę i czyste bryczesy, a na sam koniec ubrali w kaftan bezpieczeństwa i przypięli skórzanymi pasami do wózka inwalidzkiego.

- Co... co ze mną robicie?

- Zamknij się - warknął Ripler.

- Muszę porozmawiać z inspektorem Aberline'em. - Lawrence nie dawał za wygraną. - Proszę, pozwólcie mi chociaż...

Ripler uderzył go na odlew wierzchem dłoni. Głowa Lawrence'a odskoczyła w bok, a świat zaczął się kołysać. Potem jeden z pomocników złapał go za włosy i schylił się tak nisko że kiedy mówił, nie dało się nie poczuć kwaśnego odoru jego oddechu.

- Słuchaj no - syknął pielęgniarz. - Lepiej się zachowuj i bądź cicho, albo zrobimy ci zabieg, zanim pogadasz z doktorkiem. Lafferty to prawdziwy specjalista. Potrzaska ci żebra, a na skórze nie będzie śladu. A Strunk to obrzydliwy typ Nie powinien tu pracować, tylko się leczyć, co nie, Strunk?

Strunk wykrzywił obleśną gębę w uśmiechu, prezentując niepełny garnitur połamanych i poczerniałych zębów.

- Miałem trudne dzieciństwo, psia jego mać. Tak mi mówi doktor. - Jego uśmiech sam w sobie był groźbą.

Ripler potrząsnął brutalnie głową Lawrence'a, a kiedy puścił, w jego rękę pozostała garść włosów. Poklepał go po policzku, a Lafferty złapał za rączki fotela i posłusznie ruszył za szefem, który labirynt ciasnych korytarzy znał na pamięć. Mijali dziesiątki drzwi zrobionych ze stalowych sztab, między którymi Lawrence dostrzegał wszystkie rodzaje szaleństwa od wrzeszczących wariatów po ludzi, którzy monotonnie uderzali głowami o kamienne ściany cel, by zniszczyć pasożyta, który siedział w ich mózgach. Znał to piekło, do którego, jak sobie wcześniej przyrzekł, miał już nigdy nie wrócić. Los okazał się jednak bardziej złośliwy, niż kiedykolwiek przypuszczał.

Zbliżyli się do podwójnych drzwi. Rippler i Strunk je otworzyli, a Lafferty wprowadził wózek do dużego pomieszczenia pełnego ludzi. W środku pokoju znajdowało się wzmocnione krzesło ze skórzanymi paskami i zapięciami, a na stołach nieopodal leżały instrumenty medyczne o kształtach, które kojarzyły się od razu z zadawaniem bólu. Pozostała część pomieszczenia wypełniona była rzędami krzeseł ustawionymi jak na stadionie, czy bardziej - jak stwierdził Lawrence - jak w rzymskim Koloseum. Wszystkie do ostatniego miejsca były zajęte przez medyków i naukowców. O zapędach Hoennegera słyszał już wtedy, kiedy był tu jako dziecko.

- Co zamierzacie? - zaczął, ale zanim skończył, Rippler kolegami zabrali się do odpinania go od fotela, żeby wtłoczyć w zapięcia mebla na środku. Lawrence wrywał się dziko, ale byli od niego znacznie silniejsi. Kiedy otworzył usta do krzyku, Rippler ukradkiem wbił mu kolano w krocze, a Strunk dni kuksańca w nerkę. Ich ruchy były tak szybkie i tak wyćwiczone, że nie było mowy, żeby pierwszy raz kogoś tak traktowali. Lawrence domyślał się, że nigdy też nie mieli powodu, by zadawać taki ból.

Młody Talbot poczuł się bezradny. Kiedy przestał się szarpać błyskawicznie wcisnęli go na siedzenie i unieruchomili skórzanymi paskami. Po skończonej robocie nie mógł nawet drgnąć. Jediną częścią ciała, jaką mógł ruszać, była jego głowa, ale bolała go mocno. Rippler schylił się, żeby na pokaz sprawdzić, czy wszystkie zapięcia zostały nienaruszone na swoich miejscach. Zrobił to jednak tylko po to, żeby po raz ostatni ostrzec Lawrence'a.

Zachowuj się jak człowiek, albo będziesz niemiłe zaskoczony niespodzianką, jaką ci przygotuję w celi. I zapewniam cię, że naprawdę nie będziesz zadowolony.

Lawrence uniósł głowę i spojrzał mu w oczy.

- Idź do diabła.

- A żebyś wiedział, że jestem z nim umówiony.

Lawrence poczuł nagle delikatne łaskotanie strumienia energii.

- A teraz ty mnie posłuchaj - szepnął. - Poczekaj, aż na niebie pojawi się księżyc w pełni. Przyjdź mnie wtedy odwiedzić.

Rippler uśmiechnął się kpiąco i pokręcił głową.

- Cholerny szaleniec - powiedział do towarzyszy. - Ale przynajmniej wie, jak mnie rozśmieszyć.

Pielęgniarski wstał i gestem odesłał pomagierów. Po chwili obok niego stanął doktor Hoenneger.

Ripler podszedł do drzwi, zamknął je na klucz, a potem wrócił i oddał go Hoennegerowi.

- Wszystko zabezpieczone, sir - powiedział.

Lekarz pokiwał głową, spojrzał przelotnie na pacjenta. A potem zwrócił się do widowni. Lawrence wyczuł natychmiast, że dla Hoennegera to był tylko występ, show na potrzeby widzów.

- Drodzy przyjaciele i znajomi - zaczął lekarz. - Panowie z prasy, przedstawiciele Scotland Yardu i szanowni członkowie społeczeństwa. Witam was wszystkich w szpitalu dla psychicznie chorych i obłąkanych Lambeth Asylum. - Jego donośny głos wypełnił całą salę. - Zebraliśmy się dziś po to, żeby ostatecznie państwa przekonać, że wasze obawy są całkowicie irracjonalne.

Hoenneger dał znak drugiemu lekarzowi, który przeszedł przez salę i chwycił gruby sznur od zasłon, a potem mocnym pociągnięciem rozsunał je na boki i odsłonił okna. Na zewnątrz widać było zarys budynków centrum Londynu, ale przede wszystkim wielki kawał nieba, przez które przesunęło się kilka strzępków chmur. Nie były w stanie zakryć okrągłej tarczy księżyca w pełni.

Lawrence niemal krzyknął.

- Co... Co ty wyprawiasz?! - Zaparł się i napiął skórzane opaski utrzymujące jego członki na miejscu. - Jesteś szalony...

Hoenneger oderwał wzrok od okna i spojrzał Lawrence'owi w twarz. Nie przestał mówić podniesionym głosem, żeby wszyscy dobrze go słyszeli.

- Razem spędzimy noc w tej sali. A kiedy się przekonasz, że księżyc nie ma nad tobą żadnej władzy... że jesteś najzwyczajniejszym człowiekiem...

- Mój Boże! - jęknął Lawrence.

- ... to będzie pierwszy, mały krok do wyzdrowienia.

Lawrence patrzył na niego, zaszokowany. Nie mógł uwierzyć, że ktoś chce z własnej woli popełnić taką głupotę. Przesunął wzrokiem po twarzach

publiczności. Miał nadzieję dostrzec kogoś, kogo znałby z dawnych czasów i kogo miałby szanse przekonać. I w końcu znalazł to, czego szukał. Wysoko, w jednym z ostatnich rzędów stał inspektor Aberline.

- Aberline! - krzyknął. - Nie możecie tego zrobić! Nie wolno wam! Wyprowadźcie wszystkich...

Policjant się nie odezwał, choć wszyscy wbili w niego wzrok i zaczęli szeptać między sobą. Aberline spojrzał na niego hardo i Lawrence już wiedział, że nie ma w nim sprzymierzeńca.

- Lykantropia - powiedział Hoenneger bardzo powoli - jest chorobą umysłu. Pojawia się i rozwija gdzieś głęboko, w podświadomości. Tak, panie Talbot, wiem, że panu się wydaje, iż to się dzieje naprawdę.

- Bo tak jest! Na Boga, musicie mi uwierzyć! Lekarz ze smutkiem pokręcił głową.

- Ma pan za sobą traumatyczne przeżycia, panie Talbot. Pora zdać sobie z tego sprawę. Nienawidzi pan swojego ojca. Pana matka popełniła samobójstwo, kiedy był pan małym dzieckiem, więc w naturalny sposób obwinia pan o to swojego ojca...

Lawrence po raz kolejny napał na skórzane paski, trzymające go w miejscu, ale choć zapięcia zatrzeszczały, a krzesło się zakołysało, nie zdołał się wyrwać.

- Na dodatek był pan świadkiem śmierci matki. Widział pan, jak się okaleczała. Młody umysł, nie mogąc się pogodzić z rzeczywistością, wykreował na własne potrzeby fantastyczną wizję, która miała zastąpić prawdę. Wytlumaczył pan sobie mianowicie, że pana ojciec to potwór. I to dosłownie.

Zrezygnowany Lawrence zawisł w fotelu i ciężko dyszał. Osłabiony zastrzykami, poniżony przez Riplera i jego pomocników, czuł się bezradny i wyprany z człowieczeństwa.

- Ale zapewniam, że pana ojciec nie jest wilkołakiem -kontynuował Hoenneger. Wśród widzów rozległy się śmiechy. Lekarz uniósł dłoń, żeby uciszyć publikę, i mówił dalej. -A pan nie został pogryziony przez nieistniejące stworzenie.

Teatralnym ruchem spojrzał na księżyc w pełni.

- I tak samo jak ja nie rozwinę skrzydeł, by wylecieć przez okno, tak pan nie zamieni się w wilkołaka.

Tym razem Hoenneger nie uciszał śmiechów widowni.

Wiele mil dalej księżyc zalał srebrzystą poświatą włości Talbotów i wypełnił prastary kamienny krąg. W miarę jak Bogini Łowów wspinała się coraz wyżej po nieboskłonie, rozświetlała kolejne kamienie na obrzeżach, aż w końcu dotarła do najwyższego. Biel rozbłysła w mroku, kiedy poświata wzięła we władanie cały zegar astralny.

- Dziś w nocy - oznajmił Hoenneger - będziemy świadkami tego, jak rzeczywistość bierze górę nad majakami. Ta przemiana się nie dokona.

- Głupcze! - wrzasnął Lawrence. - Dziś w nocy zobaczycie, jak zamieniam się w wilkołaka... A potem was wszystkich pozabijam!

Hoenneger uśmiechnął się z politowaniem.

- Proszę się nie kłopotać. Jesteśmy bezpieczni, panie Talbot... Podobnie jak pan. Przekona się pan, że pańskie demony istnieją jedynie w wyobraźni.

- Proszę! Doktorze... - jęknął Lawrence. - Niech mnie pan wysłucha. Nawet jeśli mi pan nie wierzy, proszę mnie uśpić i zamknąć. Błagam pana.

- Nie ma takiej potrzeby. Jest pan przypięty...

- Kłódki i łańcuchy, do cholery! To jest mi potrzebne! Zamknijcie mnie... albo mnie zabijcie. W geście litości mnie zabijcie. Zabijcie!

- Proszę się uspokoić, panie Talbot. Zaraz się pan przekona, że to wszystko dzieje się tylko w pana głowie.

Lawrence poczuł ukłucia bólu w dłoniach. Spojrzał i ze zdziwieniem odkrył, że spod skóry zaczęły wychodzić żyły, jakby nagle popłynęła przez nie olbrzymia ilość krwi. Z rosnącym przerażeniem obserwował, jak poszerzają się pory skóry na nadgarstkach i palcach i zaczyna z nich wyrastać ciemna szczecina.

- Boże... nie! - jęknął, a potem krzykiem wezwał Hoennegera. - To się już dzieje!

Hoenneger nawet nie raczył na niego spojrzeć. Stał plecami do pacjenta i ze zmęczonym uśmiechem zaczął go uspokajać.

- To tylko pańska wyobraźnia, panie Talbot. To tylko pań...

Lawrence wrzasnął, kiedy zalała go fala tak niewyobrażalnego bólu, że miał wrażenie, iż jego ciało zaraz eksploduje. Wstrząsały nim konwulsje, głowa sama odchyliła się do tyłu, a z gardła wyrwał mu się krzyk.

- Wynoście... się...!

Hoenneger zaskoczony dostrzegł, że widzowie z pierwszych rzędów zerwali się na równe nogi. Odwrócił się, wciąż uśmiechnięty. .. Ale to, co zobaczył, starło uśmiech z jego twarzy. Oczy Lawrence'a Talbota zmieniały kolor z brązowych na pomarańczowy, by w końcu stać się ogniste żółte. Hoenneger nie potrafił przyjąć do wiadomości tego, czego był świadkiem. Stał z otwartymi ustami i nie mógł oderwać wzroku od warg pacjenta. Rozszerzały się, robiły coraz grubsze i pęczniały. Pękały mu dziąsła, a potem cała szczęka wydłużyła się i urosła, żeby pomieścić gwałtownie wyrzynające się zęby. Ręce i stopy młodego Talbota wykręcały się pod dziwaczными kątami, w miarę jak pękały w nich kości, a potem układały się w nowe kształty. Z krwawiących ran pod paznokciami wysuwały się czarne, potężne szpony.

Hoennegerowi pociemniało przed oczami. Przez chwilę podejrzewał, że to efekt działania autoperswazji, coś jak stygmaty pojawiające się na dłoniach fanatyków religijnych. Mimo że chciał w to wierzyć, nie miał złudzeń, że to, co widzi, może być wyobrażeniem. To się naprawdę działo - tu i teraz. Ledwie krok od niego.

Inspektor Aberline zerwał się z miejsca. Słyszał, że coś się dzieje, ale nie mógł zobaczyć co, bo publiczność z pierwszych rzędów zasłaniała mu widok. Stał na palcach i wyciągnął szyję, a to, co dojrzał, wstrząsnęło nim do głębi.

Lawrence starał się ich wszystkich ostrzec, prosić, żeby uciekali, ale z jego ust nie wydobywała się już ludzka mowa. Z każdą chwilą stawał się coraz bardziej bestią, coraz mniej człowiekiem. Światło w pomieszczeniu z każdą chwilą robiło się jaśniejsze, a ostatnią w pełni świadomą myślą, jaką zapamiętał, było spostrzeżenie, że widzi krew pulsującą w ciałach zebranych ludzi. A potem wszystko, co stanowiło o tym, że był Lawrence'em Talbotem, przepadło.

Ciało bestii zaczęło rosnać; pęczniały mięśnie i poszerzała się klatka piersiowa. Gruby kaftan bezpieczeństwa rozchodził się na szwach. Skórzany

pas, który oplatał jego pierś, tak się naprężył, że stalowa klamra nie wytrzymała i pękła.

Ludzie krzyczeli i cofali się jak najdalej od tego okropnego przedstawienia.

- Strzykawka! - wrzasnął Hoenneger, ale zaszokowani asystenci ani drgnęli. Wilkołak zerwał się z krzesła z rozrywającym bębenki w uszach rykiem. Skórzane pasy pękały, z drewna leciały drzazgi. Bestia wyprostowała się i spojrzała z góry na Hoennegera i jego ludzi. Jeden z lekarzy chwycił metalową tacę i rozpaczliwym ruchem wyrzucił potwora w głowę. Uderzenie nie zrobiło na nim najmniejszego wrażenia. Jedyne, co udało się osiągnąć mężczyźnie, to rozjuszyc wilkołaka.

Zwierzę odwróciło się w jego stronę i uderzyło na odlew w twarz z taką siłą, że głowa asystenta obróciła się o ponad pół obrotu. Rozległ się trzask, podobny do pękającej skorupki orzecha i martwe ciało osunęło się na podłogę.

Hoenneger złapał strzykawkę i, zasłaniając się nią, zaczął się wycofywać. Z początku stworzenie wydawało się zaskoczone i dezorientowane ogromną liczbą ludzi w sali. Nie bało się - raczej dziwiło głodowi, który ciągnął w kilku kierunkach jednocześnie. Ludzka krew wabiła go słodkim śpiewem.

Inspektor Aberline stał w miejscu i z otwartymi ustami obserwował, co się dzieje pośrodku sali. Nie akceptował i nie rozumiał tego, co widział. Zapomniany pistolet spoczywał bezużytecznie w kieszeni jego płaszcza. Wilkołak wyczuł ruch w pobliżu. Dostrzegł Hoennegera, który usiłował czmychnąć. Potwór nie posiadał ludzkich myśli i nie potrafił dotrzeć do pokładów pamięci Lawrence'a, ale na jakimś niskim, pierwotnym poziomie rozumiał, że człowiek nie jest wrogiem. Jest jedzeniem. A także drapieżą, z którym przyjdzie mu się zmierzyć w walce o pożywienie.

Wilkołak się pochylił. Schował głowę między ramionami i warknął wyzywająco.

Wtedy zobaczył kogoś, do kogo czuł nienawiść. Rippler chyłkiem wycofywał się ku drzwiom. Bestia skupiła na nim wzrok, przypomniała sobie zapach pielęgniarza i skojarzyła z bólem. Z warkotem wyskoczyła z miejsca

usłanego resztkami krzesła i pokonała dystans dzielący ją od Riplera. Mężczyzna wrzasnął z przerażenia i chwycił klamkę, zapominając, że sam zamknął drzwi i oddał klucz pryncypałowi.

Odwrócił się akurat, żeby zobaczyć zbliżającego się wilkołaka. Wielki, muskularny pielęgniarz padł na kolana i zaczął łkać jak dziecko, błagając o litość. Zapomniał, ile razy dowiódł bezbronnym pacjentom, że w tych ścianach mogą liczyć na wiele, ale na pewno nie na miłosierdzie. Wilkołak pochwycił go masywnymi łapskami, uniósł nad głowę i cisnął o ścianę. Pielęgniarz uderzył w nią z impetem wystarczającym do pogruchotania kości. Potem osunął się na ziemię. Wciąż żył, a kaprys nielitościwych bogów sprawił, że zachował przytomność, kiedy stwór znalazł się przy nim, wbił kły w jego trzewia i zaczął się pożywiać.

- Jezu Chryste! - Czyjś krzyk wyrwał Aberline'a z osłupienia. Policjant otrząsnął się i wąskim przejściem między krzesłami pobiegł w kierunku potwora.

Hoenneger i jeden z asystentów stali w pobliżu zamkniętych drzwi. Lekarz w jednej ręce trzymał strzykawkę, a w drugiej klucz.

- Niech się pan pospieszy, doktorze! - syknął pomocnik. - Szybko!

W pomieszczeniu panowała panika. Publiczność szturmowała drzwi tylko po to, żeby się przekonać, iż są zamknięte.

- Mam! - jęknął z ulgą Hoenneger. Wsunął klucz do zamka i gwałtownie go przekręcił. W pośpiechu użył znacznie więcej siły, niż było potrzeba. Delikatny metal wygiął się... i pękł.

- O Boże...

Wilkołak uniósł głowę i wciągnął powietrze. Wyczuł nowy strach. Rozejrzał się i odnalazł wzrokiem Hoennegera. Lekarz walił pięściami w drzwi i krzyczał.

Na korytarzu stali Lafferty i Strunk. Słyszając krzyki ze środka szarpnęli za klamki, ale drzwi były solidne. Niewielkie okna w obu skrzydłach wypełniało mleczne szkło, więc nie mogli zobaczyć, co dzieje się w środku. Nagle ktoś zaczął łomotać pięściami w drzwi. Krucha tafla rozsypała się na kawałki, a ich oczom ukazała się twarz doktora Hoennegera.

- Pomocy! Wypuście mnie stąd! O Boże! Błagam, niech ktoś nam otworzy!

Strunk poklepał się po kieszeni.

- Tak jest! Sir, już pędzę do dyżurki po klucz. Wracam za minutkę...

- Ty skończony idioto! - wrzasnął lekarz. - Natychmiast otwieraj te drzwi...

Tuż za nim pojawił się ciemny, masywny kształt. Szarpnął mężczyznę w tył, a sekundę później resztki szyby w drzwiach spłynęły krwią. Krzyki zagłuszył ryk czegoś ogromnego i nienaturalnego.

Lafferty spojrzał na strużki krwi, a potem na Strunka.

Bez słowa rzucili się do ucieczki. W pewnym momencie minał ich inny pielęgniarz. Mężczyzna biegł w kierunku sali, z której dochodziły wrzaski. Strunk i Lafferty zatrzymali się i spojrzeli za nim.

- Myślisz, że powinniśmy ostrzec Rogera?

- To już nie nasz problem.

Wpadli na schody i zbiegli nimi na parter. Potem otworzyli drzwi i wyskoczyli na zewnątrz, na dziedziniec szpitala.

- Co tam się dzieje? - wrzasnął Lafferty.

- Nie mam pojęcia - odparł Strunk. - I nie chcę wiedzieć. Słyszac głośny brzęk, jak na komendę podnieśli głowy.

Wielkie panoramiczne okno sali operacyjnej na szóstym piętrze rozpadło się na kawałki. Coś czerwonego i poskręcane go wypadło ze środka. Zwlekali o ułamek sekundy za długo. Kiedy w końcu rzucili się do ucieczki, było już za późno. Zasyłała ich lawina potłuczonego szkła, a ciało doktora Hoennegera spadło na ostrza kutego ogrodzenia wzdłuż trawnika. Zwłoki zostały zmasakrowane - rozerwane, przeżute i częściowo zdekompletowane. Pozostał kawał krwawego mięsa zwisające go z żelaznej bramy jak jakieś ponure trofeum myśliwskie.

Pielęgniarze stali jak wrośnięci i patrzyli na zwłoki. Po chwili znów spojrzeli w górę.

Wilkołak wyskoczył z okna. Sześć pięter to aż nadto, by nabracć prędkości. Impet, z jakim na nich spadł, wcisnął obu mężczyzn w bruk, a masa stworzenia dosłownie ich zmiażdżyła. Krwawa miazga wystrzeliła z każdego otworu w ich ciałach.

Upadek ogłuszył stworza, ale nie pozbawił przytomności. Bestia upadła na trawę przy brukowanym podejździe i skulona odczekała, aż zrosną się

połamane kości i zerwane mięśnie. Po kilku sekundach zwierzę odrzucił łeb i zawył z zadowolenia, jakie dawało świeże mięso w żołądku.

Naraz usłyszał suchy trzask i z ogrodzenia niecały metr od niego sypnęło skrami. Wilkołak zadarł łeb w górę i zobaczył mężczyznę wychylonęgo z okna na szóstym piętrze. Rozległ się kolejny trzask, któremu towarzyszył błysk ognia. Kula trafiła wilkołaka w ramię. Przeszła przez mięśnie, zahaczyła o kość, rozerwała skórę z drugiej strony i wbiła się w ziemię. Zanim strzelec po raz kolejny pociągnął za spust, rana zniknęła, jakby nigdy jej nie było.

Potwór zaryczał, odwrócił się i na czterech łapach pognął przed siebie. Pędził szybciej niż wilk... niż jakiegokolwiek znane na ziemi zwierzę. Przeskakiwał nad płotami i krzakami. Wzbijał się w powietrze niemal bez wysiłku, korzystając z nieczłowieckiej siły swoich mięśni. Jakaś para - mężczyzna i kobieta - widząc dziwaczne zwierzę, krzyknęła z przerażenia i rzuciła się do ucieczki. Zarżały konie i spłoszone poniosły. Kiedy mijał psy, nawet największe zaczynały skamleć jak szczeniaczki i kładły się na grzbietach, odsłaniając podbrzusza.

Wilkołak wskoczył na niewysoką ścianę, po której dostał się na dach szopy. Zwinniej niż małpa wspinał się po rynnie i zatrzymał dopiero na szczycie najwyższego budynku. Rozejrzał się z triumfem - niczego się nie bał, chciał wszystkiego. Wzdłuż nachylonej połaci dachu ciągnął się rząd kamiennych rzeźb. Wilkołak wspinał się na największą z nich, masywnego gryfa. Tam się zatrzymał na dłużej, spoglądając na światła miasta w oddali. To będzie jego plac zabaw. Jego terytorium. Nawet tutaj czuł zapach strachu i krwi. Wiedział, że wszyscy się już o nim dowiedzieli i lękali się spotkania. A on z kolei nie mógł się już go doczekać.

Inspektor Aberline wypadł przez boczne drzwi szpitala dla obłąkanych, dobiegł do bramy i tam się zatrzymał. Księżyc świecił po drugiej stronie budynku, a cały dziedziniec skrywał się w mroku. Ale Aberline potrafił wyczuć krew. Znał jej zapach. Sięgnął do kieszeni i wyjął latarkę. Kiedy przesunął białym kręgiem światła dookoła, aż sapnął z odrazy. Zmaltretowane ciało doktora Hoennegera zwisało jak szmata z bramy, a dwójka porządkowych leżała w kałuży krwi, wprasowana w kocie łby podjazdu.

- Dobry Boże...

Miał wrażenie, że to koszmarny sen. Nie mógł przecież widzieć rzeczy, które właśnie zobaczył. To było niemożliwe, chore...

I...

Dla uspokojenia nabrał głęboko powietrza i pochylił się, żeby jeszcze raz przesunąć światłem latarki dookoła. Na brzegu trawnika dostrzegł trop głęboko odcisniętych, uzbrojonych w pazury łap. Po kilku metrach ślad się urywał w miejscu, w którym bestia odbiła się od ziemi i przeskoczyła nad żywopłotem.

Aberline sięgnął po policyjny gwizdek i z całej siły w niego dmuchnął. Rozległ się wysoki, przenikliwy gwizd - jak krzyk. Raz, drugi... Niemal natychmiast odpowiedział mu podobny gwizd gdzieś niedaleko. A potem jeszcze jeden, po lewej stronie.

Trzęsącymi się rękoma inspektor przeładował pistolet. Wciąż zmagął się z tym, co było dla niego nie do zaakceptowania. Co wypaczało cały jego świat. Serce waliło mu tak głośno jak kopyta galopującego konia. Pot ściekał po całym ciele.

- Uspokój się - mruczał do siebie, wsuwając kolejne naboje w otwory cylindra. Przypomniał sobie kowala w Blackmoor i jego srebrne kule... - Uspokój...

Gdzieś z ciemności przed nim dobiegł go tupot konstabli.

Ale zanim do niego dotarli, usłyszał jeszcze inny dźwięk. Obejrzał się i spojrzał na dach budynku. Tam, na tle jasnej tarczy księżyca, zobaczył potwora.

Instynkt i rozsądek nakazywały mu uciekać. Właśnie zobaczył śmierć. Stała przyczajona na grzbiecie kamiennego gryfa - wcielenie samego diabła. Chciał posłuchać instynktu.

Chciał. Ale nie posłuchał.

Zamiast uciekać, ruszył do budynku.

Głód wilkołaka był niezaspokojony jak rozpalony piec, który trawił wszystko, co dostało się do środka. Szalał w ciele bestii, krzyczał, domagał się mięsa... Domagał się krwi...

Stwór zeskoczył z grzbietu gryfa i pognął brzegiem budynku. Bez wysiłku przeskakiwał na kolejne dachy, czasem opadając na cztery łapy, by pędzić szybciej niż wyścigowy koń, a czasem wspinając się zwinnie jak małpa - zmieniał się wtedy w rozmazaną plamę na tle uśmiechniętego oblicza Bogini Łowów.

Aberline biegł tak szybko, jak potrafił. Usiłował dotrzymać potworowi kroku. W końcu zobaczył, jak zwierz po kolejnym skoku pośliznął się i źle wylądował. Wilkołak zachwiał się na samej krawędzi dachu i zatrzymał, szukając oparcia.

- Mam cię! - syknął Aberline. Stanął w rozkroku, na ugiętych lekko nogach, obiema rękoma uniósł pistolet, przytknął jedno oko, wycelował i pociągnął za spust.

Pierwsza kula odłupała kawałek czerwonej cegły z gzymsu, pół jardu od ramienia potwora. Aberline wstrzymał oddech, przesunął lufę i strzelił. A potem jeszcze raz. Widział, jak koszula na plecach bestii naprężyła się po każdym uderzeniu. Naciskał spust, dopóki nie usłyszał suchego trzasku iglicy, kiedy uderzyła w pustą łuskę.

Ale wilkołak nie spadł. Nawet się nie zachwiał. Zaryczał przez ramię, przeskoczył nad kalenicą i zniknął po drugiej stronie.

Aberline zaklął i ruszył za nim.

Nie miał bladego pojęcia, co jeszcze może zrobić. Właśnie zużył ostatnie naboje.

Dwóch konnych policjantów usłyszało gwizdki, a potem sześć strzałów. Natychmiast zawrócili na drugą stronę parku.

- To chyba ze szpitala dla obłąkanych - krzyknął Pettit. - Znów nie upilnowali jakiegoś czubka.

- Tych cholernych wariatów powinno się usypiać - odpowiedział Prost i spał wierzchowca, a potem czysto przeskoczył żywopłot. Zbliźali się do centralnej części parku, wybierając najkrótszą drogą do szpitala, jednak nagle oba konie jak na komendę zarżały i przysiadły na zadach. Z ciemności wylała się fala wrzeszczących ludzi i zwartą masą popędziła w ich kierunku.

- Co tu się, do jasnej cholery, dzieje? - krzyknął Pettit.

- Uważaj, chyba czubki zwały ze szpitala - ostrzegł Frost i sięgnął po pałkę. Ale tłum, który gnał w ich stronę, nie składał się z szaleńców w kaftanach bezpieczeństwa i obłąkanych w szpitalnych piżamach. To byli finansiści, urzędnicy, damy i uliczni grajkowie, bogaci młodzieńcy i obdarci żebracy. Jedyne, co ich łączyło, to niewyobrażalny strach wypisany na twarzach.

Fala uciekinierów dotarła do policjantów, ale się nie zatrzymała. Biegący wylali się na ulice i pędzili, byle dalej od szpitala.

Żaden z policjantów nie wiedział, co o tym myśleć. Potem podnieśli wzrok i nad drzewami dostrzegli jakąś postać pędzącą po dachach.

- O Boże... - jęknęli jednocześnie.

Aberline wybiegł z parku i natknął się na konstabli pędzących mu na spotkanie.

- Uzbrojeni? - zapytał bez tchu.

Dwóch wyciągnęło i zaprezentowało pistolety, a jeden strzelbę.

- Dobrze. Daj mi swoją broń - rozkazał najbliższemu stojącemu policjantowi i go rozbroił. - Jeszcze amunicja. Pospiesz się, na Boga!

Zbliźała się do nich fala uciekających ludzi. Aberline z nikim się nie cackał. Wpadł między nich i brutalnie się rozpychając, ruszył przed siebie. Konstabile pospieszyli za nim, roztrącając uciekających na boki.

- Tam! - krzyknął któryś z policjantów. Aberline dostrzegł, że bestia zmieniła kierunek. Teraz zmierzała do centrum miasta. Natychmiast ruszyli za nią, pędząc środkiem ulic i skracając sobie drogę bocznymi alejkami. Tak bardzo skupili się na potworze i pościgu, że stracili orientację w terenie i wpadli w ślepa uliczkę. Aberline zatrzymał się i głośno zaklął.

Gdzieś z lewej strony, przez otwarte okno płynęła muzyka. Nie zastanawiając się długo, skręcił i pognał w tym kierunku. Nie marnował czasu na pukanie - wpadł do domu. Krok w krok postępowała za nim dwójka masywnych sierżantów. Cała trójka znalazła się nagle pośród bogatego, elegancko ubranego towarzystwa rozpartego na sofach i wyściełanych krzesłach, słuchającego kwartetu smyczkowego. Nagłe pojawienie się stróżów prawa uciszyło szepty i przerwało koncert. Ktoś w końcu doszedł do siebie i zaczął krzyczeć, ale Aberline nie miał czasu na łagodzenie sytuacji. Poprowadził ludzi przez cały dom, kopnięciem otworzył tylne drzwi i wybiegł na podwórze. Kiedy tylko znalazł się na dworze, uniósł pistolet, spodziewając się zobaczyć gdzieś wilkołaka, jak przeskakuje z dachu na dach. Ale na zewnątrz panował spokój. Potwór gdzieś uniknął. Zgubili go.

Za murem świeciły jasne światła i pachniało świeżym mięsem. Wilkołak zmrużył żółte ślepia i obserwował, jak ludzie - dziesiątki ludzi - chodzą po ulicach. Kropla gorącej śliny skapnęła mu z pyska, a z gardła wydobył się łowiecki zew.

Ruszył naprzód, szukając idealnej ofiary...

Aberline biegł wzdłuż alejki, a kiedy dotarł do skrzyżowania, wypadł na ulicę w chwili, kiedy dwójka jego najlepszych ludzi, Carter i Adams, zeskakiwała z opancerzonego pojazdu.

- Carter, masz broń?

- Tak jest, sir! Obaj...

- To dobrze - wysapał Aberline. - Za mną. Reszta niech szuka wejścia na dachy. Rozproszyc się i znaleźć to coś. - Potem przerwał, zastanowił się i dźgnął Adamsa palcem w pierś. - Wysłać telegram do centrali. Niech wydadzą wszystkim broń. Wykonać!

Aberline klepnął Cartera w ramię i obaj ruszyli biegiem.

- Carter... - wysapał Aberline między kolejnymi ciężkimi oddechami. - Czy centrala ma srebrne kule?

Carter przebiegł dziesięć kroków, zanim zareagował na pytanie.

- Srebrne?

Wilkołak był kilka przecznic dalej. Nie schodził na razie z dachów - miał stamtąd doskonały widok na stada zwierzyny, która nieświadomie

przechadzała się ulicami poniżej. Zachłanność i głód sprawiły, że potwór nie mógł się zdecydować. Każdy kolejny człowiek, na jakiego spojrzał, wydawał się bardziej interesujący i smakowitszy niż poprzedni. Ślina kapiała mu z pyska i moczyła poszarpane resztki koszuli należącej niegdyś do Lawrence'a Talbota.

Aberline i Carter wypadli z labiryntu alejek. Dostrzegli sporą grupę policjantów. Kiedy konstable zauważyli inspektora, skreślili, żeby przeciąć mu drogę.

- Carter, weź połowę ludzi... zbierz też wszystkich innych, których dasz radę i staraj się bronić ulic i ludności. Bestia może zaatakować wszędzie. Reszta idzie ze mną.

Osiem przecznic dalej pewien konny policjant pośrodku Leicester Square niecierpliwymi ruchami usiłował kierować ruchem. Nie wiedział jeszcze o zbiegłym stworze, więc niezrozumiały tłok i panika zbiły go z tropu. Pozostała mu ledwie godzina służby, a nie lubił, kiedy na sam koniec dnia pojawiały się problemy.

Stara kobieta z mozołem szła przez plac. Ostrożnie stawiała powykręcane artretyzmem nogi i wykrzywiła z bólem twarz. Zablokowała ruch karet i powozów.

- No dalej! - ponaglił policjant. - Nie zatrzymywać ruchu!

Kobieta spojrzała na niego z wyrzutem. Nagle otworzyła szeroko oczy i jeszcze szerzej usta i zamarła w niemym, przerażonym „O”.

- Co ty wyprawiasz, ty stara...

Policjantowi nie było dane zobaczyć wielkiego kłębu mięśni, kłów i pazurów, który runął na niego z dachu stojącej niedaleko zegarowej wieży. Poczul szarpnięcie, a potem świat zawirował dookoła i zgasł.

Kwaciarka usłyszała krzyk, a potem głucho łupnięcie. Odwróciła się w chwili, kiedy coś wyrznięto w jej wózek. Jakaś inna rzecz uderzyła ją w pierś. Upadła na plecy, a pocisk potoczył się na suknię między jej rozłożone nogi. Usiadła i wpatrywała się w niego, nie mogąc pojąć, że patrzy na urwaną głowę policjanta. Jej wzrok padł na oczy mężczyzny. Ku swemu zaskoczeniu zobaczyła w nich iskierkę życia. Zaszokowana odwróciła się i popatrzyła na ciało mundurowego, wciąż w siodle, wyprostowane, unoszone galopem przez

spłoszonego konia. Potem wróciła do głowy na swoich kolanach. Wtedy wydarzyło się coś niemożliwego - policjant otworzył usta do krzyku. Ale nie mógł już krzyczeć.

Kobieta wrzasnęła za nich oboje, kiedy skapany we krwi potwór podniósł się z resztek jej wózka i zwrócił do niej ociekający pianą pysk.

Aberline dostrzegł światła lokalnego posterunku policji. Ruszył w jego stronę, nie przestając gwizdać. Ze środka wysypało się kilku konstabli i po schodach ruszyli mu na spotkanie. Na czoło wysunął się potężnie zbudowany sierżant i uniósł rękę, żeby go zatrzymać.

- Co się dzieje? - zapytał nieprzyjemnym głosem, ale Aberline machnął mu przed oczyma odznaką inspektora.

- Sierżancie, natychmiast wysłać telegram do centrali.

Rozdać wszystkim broń.

- Ale po co, sir?

Jakby w odpowiedzi na to pytanie, nieziemskie wycie rozdarło noc i odbiło się echem od otaczających ich budynków. Zupełnie jakby Londyn zaatakowała wataha piekielnych potworów.

- Natychmiast! - ryknął Aberline.

Wierzchowiec martwego policjanta pędził galopem środkiem ulicy. Bezgłowy jeździec wciąż siedział wyprostowany w siodle. Jeździeckie buty tkwiły w strzemionach, a wodze zawinęły się wokół nadgarstków. Widok był przerażający, jak ożywiona rycina z jakiegoś horroru. Przechodnie - czy to mężczyźni, czy kobiety, ze wstrętem i obrzydzeniem odskakiwali, kiedy ich mijał. Koń biegł w stronę parku, rżąc i kwicząc. Jego śladem na czterech łapach gnał wilkołak.

Kiedy tłum zobaczył ten dziwaczny pościg, zaczął uciekać, jakby bestie z czeluści piekieł szturmowały ich świat przez otwarte na oścież bramy.

Jasne światła, muzyka i przytłumione śmiechy przyciągnęły uwagę wilkołaka. Stworzenie zwolniło, całkowicie zapominając o uciekającym koniu i bezgłowym ciele w siodle. Potem stanęło na tylnych łapach i uważnie węszyło, szukając w powietrzu zapachu krwi i mięsa. Zwierzęce uszy słyszały bicie licznych serc i szum krwi w żyłach. Stwór zmarszczył pysk i obnażył kły, a gęsta ślina skapywała z jego dziąseł na trawę.

Wilkołak ruszył za nowymi dźwiękami, wabiony blaskiem zza drzew. Zatrzymał się kilkanaście jardów od połyskujących ścian konserwatorium. Badał otoczenie i zastanawiał się nad najlepszym sposobem ataku. Nagle zaburczało mu w brzuchu. Głód stawał się nieznośny. Podniósł ramię i zlizął posokę pokrywającą je aż do łokcia. Krew wciąż była słodka, ale już zimna. O niebo lepiej smakowała, gdy parowała, gorąca i świeża... Tyle jej było przed nim, rozgrzanej, wspaniałej, skrytej wewnątrz tych błyszczących ścian. Wilkołak wykrzywił pysk w drapieżnym uśmiechu.

Linie telegraficzne w całym Londynie były rozgrzane do białości krążącymi po nich informacjami. Oficerowie policji otwierali zbrojownie i tuzinami wydawali pistolety i strzelby.

Aberline gonił bestię na piechotę. Przywołany falą przerażonych okrzyków poprowadził swój niewielki oddział w kierunku parku. Daleko przed nimi, po drugiej stronie rozległego terenu, błyszczał w mroku budynek konserwatorium. Poczul, że zamiera mu serce. Dziś wieczór odbywał się tam bal maskowy, na którym miała się zjawić połowa śmietanki towarzyskiej Londynu.

Biegnąc, błagał Boga, żeby pozwolił mu dotrzeć tam na czas. Ale wiedział, że mu się nie uda.

Przykryty szklaną kopułą budynek konserwatorium udekorowano na dzisiejszy wieczór jak bajkowy pałac setkami maleńkich świeczek ukrytych w kolorowych lampionach, zielonych girlandach i sznurach proporczyków. Wewnątrz stoły uginały się pod ciężarem potraw przygotowanych dla najbardziej wybrednych podniebień: rzędem stały misy parujących kasztanów, piramidy błyszczących jabłek i gruszek, pół tuzina gatunków winogron, srebrne tace z łososiem i pstrągiem, które przybrano ananasem i cytryną, świniaki pieczone w całości, tłuste gęsi tonące w gęstych sosach, nadziewane cebule, a pośrodku pieczone cielę - czerwone i smakowite.

Setki ludzi tłoczyły się w głównej sali; każdy w innym kostiumie. Pirat z drewnianą nogą i opaską na oku spacerował pod ramię z Kleopatram. Satyr rozprawiał o polityce z Apollem, król Henryk VIII przekomarzał się z Merlinem. Król Artur i sir Francis Drake walczyli o względy Marii Anotniny, a Bachus siedział w kącie i coraz bardziej pijany raczył się alkoholem z Wiliamem Wallace'em. Na parkiecie wirowały postaci z mitologii celtyckiej, większość greckich i rzymskich bogów i sześć Tam Lin, z których każda usilnie się starała nie zauważać pozostałych. Kostiumy kosztowały fortunę i choć niektóre były bardziej wymyślne niż inne, wszystkie były niezaprzeczalnie piękne. Część gości siedziała naprzeciwko podwyższenia zajętego przez orkiestrę. Reszta przechadzała się tam i z powrotem, wychodziła zaczerpnąć świeżego powietrza i siadała przy niewielkich stolikach z talerzami pełnymi jedzenia albo zbijała się w większe grupki, żeby podyskutować na jakiś temat.

Wino lało się jak krew niebios, a oklaski jak grzmot przetaczały przez salę, gdy orkiestra skończyła *kwintet klarnetowy b-mol, opus 115*, najnowsze dzieło Johannes Brahmsa.

Kiedy oklaski przycichły, młoda dziewczyna ubrana jak wróżka, wyprowadziła na środek sceny niewidomą sopranistkę. Śpiewaczka była piękną kobietą, ubraną w elegancką suknię z jedwabiu. Zakryte bielmem oczy wydawały się dostrzegać inny, niedostępny dla większości świat. Widownia nie mogła się doczekać jej występu - kulminacyjnego punktu

programu, czyli arii Roweny z *Ivanhoe*, w akompaniamencie pierwszych skrzypiec. Skrzypek wyszedł przed orkiestrę, uklonił się solistce, potem widowni, i uniósł instrument.

Kobieta czekając na wprowadzający ton, nabrała powoli powietrza, a muzyk z namaszczeniem sięgnął smyczkiem do strun i zamknął oczy w oczekiwaniu na muzykę, która zaraz miała przez niego popłynąć. Zdecydowanym ruchem nadgarstka poprowadził smyczek po pierwszej strunie, podając śpiewaczce słodką obietnicę melodii. Po chwili kobieta zaczęła śpiewać.

Wilkołak stał w tylnych drzwiach i przyglądał się mieszającym się na parkiecie kolorom. Magia muzyki porwała go w swoje władanie. I nagle musiał wybierać między polowaniem a inną potrzebą. Wszedł do środka, ale nie zaatakował. Był zdezorientowany. Nie wiedział, co się dzieje. Nikt się go nie bał. Ktoś zmarszczył nos, patrząc mu prosto w oczy, ale nigdzie nie wyczuł nawet odrobinki strachu czy paniki, które działały na niego odurzająco, zmuszając do mordy i polowania.

Kiedy sopranistka zaczęła śpiewać, wilkołak się odwrócił, łowiąc jej głos pośród gwaru śmiechów i rozmów. Nigdy jeszcze nie doświadczył czegoś podobnego. Niemal natychmiast zapomniał o głodzie i potrzebie polowania. Zrobił krok w jej stronę, a potem kolejny, wabiony głosem kobiety. Na chwilę zapomniał o łowach.

Kiedy przepychał się między świętującymi gośćmi, minął damę ubraną w białą, elegancką suknię. Kobieta zatrzymała się i wpatrywała w czerwoną smugę, jaką pozostawił na drogim materiale. Dotknęła jej czubkami palców i zbliżyła je do nosa. Otworzyła szeroko oczy. Brała udział w zbyt wielu polowaniach na lisy, żeby nie rozpoznać tego miedzianego zapachu.

Krzyknęła, ale jej wrzask niemal utonął w hałasie i muzyce. Najbliżej stojący ludzie popatrzyli na nią, a potem zauważyli wielkie kudłate zwierzę i tylko się uśmiechnęli. Robinson Crusoe nachylił się do ucha sir Galahada. - Cholernie dobry kostium, nie sądzisz? Galahad, bankier z city, mężczyzna o wydatnym nosie, zmarszczył czoło.

- Wygląda jak prawdziwy.

Wilkołak zbliżał się do sceny, a jego ślepie płonęły fascynacją. Nie zwracał uwagi na ludzi tarasujących mu drogę, aż w końcu wpadł na kelnera z tacą pełną kanapek. Kiedy jedzenie, w tym młode ziemniaczki z kawiozem i śmietaną ze szczypiorkiem upadły na podłogę i częściowo na kolana trzeciego lorda Rosse, wszyscy siedzący przy stoliku zerwali się na równe nogi i głośnymi komentarzami dawali upust wzburzeniu.

Wnuk staruszka, bogaty kupiec, chwycił stwora za ramię.

- Pozwoli pan, sir - zaczął z wyraźną dezaprobatą w głosie - że określe pana maniery jako wyjątkowo okro...

To były jego ostatnie słowa. W chwili, w której wilkołak poczuł jego dotyk na ramieniu, magia muzyki przestała działać. W jednym momencie dziwna wewnętrzna przemiana została odwrócona i górę znów wziął łowiecki zew. Bestia z zadziwiającą szybkością i brutalnością zacisnęła potężne łapska na ramionach mężczyzny, podniosła go i ścisnęła szczękami jego głowę. Kości czaszki zatrzęszczały i pękły, a krew i mózg opryskały wszystkich w pobliżu.

Tym razem krzyki obrzydzenia i strachu przebiły się przez muzykę.

Wilkołak, wiedziony furia, wgrzyzł się w głowę biednego mężczyzny z taką siłą, że kły utkwily w twardych kościach czerepu. Zwierzę parsknęło rozzłoszczone i potrząsnęło głową, chcąc się uwolnić. Mimo okropnych ran mężczyzna wciąż jeszcze żył. Krzyczał i uderzał rękoma w ciało potwora, ale każdy kolejny cios był coraz słabszy. Arystokrata spoglądał oniemiały na ten dziwny spektakl i nie mógł wydusić z siebie słowa. Po jego twarzy spływała gorąca krew wnuka.

W sali wybuchła panika, jakby ktoś odpalił ładunek wybuchowy. Każdy biegł w inną stronę, chcąc znaleźć się jak najdalej od krwi i potwora. Ci, którzy poruszali się zbyt wolno, byli tratowani przez zdeorientowanych ludzi. Wszyscy krzyczeli, jakby ich zarzynano. Stateczni dżentelmeni łokciami odpychali z drogi starsze kobiety. Księżne szarpały za włosy własne córki, byle tylko dotrzeć wcześniej do drzwi. Wielce szanowani członkowie parlamentu padali na ziemię i chowali głowy w dłoniach, zbyt przerażeni, by uciekać.

Wilkołak nie mógł uwolnić kłów z czaszki ofiary, więc je jeszcze mocniej zacisnął, krusząc potężnymi szczękami głowę mężczyzny, a potem

gwałtownie się wyprostował, z połową czaszki w pysku. Martwe ciało opadło bezwładnie na podłogę, a zwierzę zawył z triumfem.

Scena wyglądała tak samo jak parkiet. Orkiestra rzuciła się do ucieczki, porzucając instrumenty. Jeden z wiolonczelistów chwycił swój instrument za gryf i wziął szeroki zamach. Drewniane pudło rezonansowe roztrzaskało się na szerokich plecach potwora. Poleciały drzazgi. Chwilę później muzyk był martwy, a fragmenty jego ciała leżały rzucone niedbale między pulpitemi artystów.

Samotna i zapomniana przez wszystkich sopranistka stała pośrodku sceny i starała się zrozumieć, co takiego się wydarzyło. Słyszała krzyki i tupot, słyszała wycie i ryk dzikiego zwierzęcia. Nic z tego nie rozumiała.

Aberline usłyszał pierwsze krzyki chwilę wcześniej, zanim fala gości runęła przez drzwi. Biegł do wejścia, ale miał wrażenie, że uciekający ludzie spychają go w tył. Co chwila na kogoś wpadał, przepychał się, tratował. Jakieś przerażone kobiety uczepliły się go, jakby mógł im zapewnić ratunek. Kiedy inspektor i jego ludzie dotarli do środka, parkiet głównej sali konserwatorium był już skapany we krwi. Aberline rozejrzał się i uniósł broń. Czekał na czysty strzał, ale wciąż przeszkadzało mu zbyt wielu cholernych ludzi...

Wilkołak obrócił się powoli, okrążając kolejną ofiarę. Świetnie się bawił, obserwując jej strach. Lecz, kiedy zobaczył samotną sopranistkę na scenie, zmrużył ślepią. Ona nie zachowywała się jak ofiara. Zmarszczył nozdrza i zaczął szukać zapachu innego drapieżnika... ale nie znalazł. Jedyne, co czuł, to wszechobecny strach i panikę. Warknął cicho i ruszył w stronę kobiety. Obnażył zęby i otworzył pysk...

Nagle zachwiał się, uderzony w ramię. Obrócił się jednym skokiem, gotów przyjąć wyzwanie, ale nie znalazł żadnego przeciwnika. Rozległ się huk i potwór poczuł ogień przenikający pierś. Podniósł wzrok. Dziesięć jardów od niego stał mężczyzna. Stał i nie uciekał. W jego rękę wykwitł płomień, a on poczuł jeszcze więcej bólu. Wilkołak go rozpoznał. Przygotował się do skoku. Cztery rany po kulach zamknęły się i zniknęły.

Francis Aberline się nie cofał. Stał i strzelał, mimo że widział, iż kule nie mogą zatrzymać potwora.

Postrzały owszem, rozpraszały go na chwilę i odciągały od niewidomej kobiety, ale nie powalały na ziemię. Jak to możliwe, w imię Wszchemmogącego? Aberline wystrzelił ostatni pocisk, a wilkołak przygotowywał się do skoku. Naraz zahuczała salwa jak na Nowy Rok. Reszta policjantów stanęła za nim i kilkanaście luf plunęło ołowiem.

- Zabijcie tę kreaturę! - ryknął, sięgając do kieszeni po nowe pociski.

Nawała kul uderzyła w wilkołaka, a ich pęd odrzucił go w tył. Resztki ubrania na jego grzbiecie spłynęły świeżą krwią. Jednak dalej stał. Nie przewrócił się. Nawet nie przyklęknął. Ale za to nie podobał mu się wysoki ton policyjnych gwizdków.

Potwór zaryczał, odwrócił się, skoczył nad stołami z jedzeniem i, roztrzaskując na kawałki jedno z wielkich okien, wypadł na zewnątrz. Odłamki szkła zostawiły tysiące zadraśnień na jego skórze. Kule policjantów szatkowały wszystko, co stanęło im na drodze. Wilkołak zniknął.

Wylądował na chodniku na zewnątrz. Przykucnął, gotów do kolejnego skoku, i rozejrzał się dookoła, szukając zagrożeń. Był ogłuszony ruchem i hałasem. Po ulicach biegały setki osób. Dżentelmeni wyszli z żonami na wieczory spacer, uliczni sprzedawcy oferowali rozmaite produkty, grajkowie na każdym rogu zabawiali przechodniów... Wszędzie tłoczyli się ludzie. Koła dziesiątków powozów i karoc turkotały po bruku, a środkiem posuwał się hałaśliwy omnibus napędzany parowym silnikiem. Wszystkie siedzenia w środku były zajęte, podobnie jak każde wolne miejsce na zewnętrznych podestach.

Te odgłosy sprawiały mu ból. Skrzypienie, piski i krzyki. Wrzaski kobiet, rzenie przerażonych koni i zawodzenie, kiedy szedł środkiem placu. Żebrak udający ślepcę zdjął ciemne okulary i zagapił się na potwora, a kiedy się zorientował, co widzi, zaczął uciekać tak szybko, że jego własny pies nie mógł za nim nadążyć.

Kierowca omnibusu był ostatnim człowiekiem, który nie miał pojęcia, co się dzieje. Ludzie nagle rzucali się do biegu i przecinali ulicę tuż przed jego pojazdem. W końcu rozeźlony szarpnął za linkę zaworu doprowadzającego

parę do dużego gwizdka. Przenikliwy świst pary przeplatał się z przekleństwami, którymi mógłby zawstydzić niejednego dokera. Ale i tak nikt nie zwracał na niego uwagi. Szarpnął kierownicą, żeby uniknąć zderzenia.

Potem przed przednią szybą omnibusu pojawiło się coś, co nie miało prawa istnieć. Postać z koszmarów, ze spiczastymi uszami i piekielną twarzą. Wilkołak zasyczał, patrząc na wielką maszynę, a kierowca szarpnął wozem w bok. Spanikowany zrobił to jednak zbyt mocno. Masa i impet rozpedzonych ton żelaza i wszystkich pasażerów przeważały. Pojazd przechylił się gwałtownie na bok, stanął na dwóch kołach i się zachwiał. Potem przy akompaniamencie głośnego trzasku pękła przednia oś i omnibus, posuwając się wciąż naprzód, przewrócił się. Ślizgając się po kocich łbach, posuwał się w stronę zdziwionego potwora. Kilkunastu pasażerów zginęło natychmiast, zgniecionych przez pozostałych podróżnych.

W środku rozległy się krzyki. Wilkołak musiał wskoczyć na pojazd, żeby uniknąć zderzenia. Wylądował na bocznym oknie i jeszcze zanim omnibus się zatrzymał, potwór przycisnął twarz do szyby i z zainteresowaniem zajrzał do środka. Czuł woń strachu uwieczonych pod nim ludzi. Okno częściowo pękło. Do wnętrza wpadły ostre odłamki, a stwór, nie zważając na skaleczenia, wsunął ramię do środka, żeby złowić jakąś ofiarę. Nagle szyba się poddała i bestia runęła głową w dół. Upadła na ludzi i ryknęła z zaskoczenia i złości. To już nie było polowanie - poczuła się, jakby sama wpadła w pułapkę. W sercu wilkołaka po raz pierwszy pojawił się cień paniki. Wyprostował się, drąc pazurami ciała na strzępy, żeby zrobić sobie miejsce.

Naraz z parku wypadli ścigający go policjanci. Aberline biegł na czele grupy, strzelając do potwora, kiedy ten zaczął się wynurzać z wnętrza pojazdu. Powietrze przeciął głos tuzina gwizdków. Wciąż zaskoczony wilkołak odwrócił się, zeskoczył z omnibusu i uciekł.

Aberline chwycił sierżanta za ramię.

- Weź dziesięciu ludzi i zablokujcie wyjście z tej alejki. Ja z resztą naszych odetnę go z drugiej strony i złapiemy sukinsyna w krzyżowy ogień.

Sierżant skinął szybko głową i zaczął zwoływać funkcjonariuszy, których chciał zabrać ze sobą. Aberline wziął pozostałych i pobiegli najszybciej, jak umieli.

Wilkołak gnał z niewiarygodną prędkością. Co pewien czas padał na cztery łapy, żeby wybić się do skoku nad śmietnikami czy spłoszonymi końmi. Policjanci starali się dotrzymać mu kroku, ale potwór z łatwością zostawił ich w tyle.

Sierżant, Szkot o ciemnorudej brodzie i zimnym wzroku byłego żołnierza, nie zatrzymywał się, żeby celować. Już nieraz walczył w biegu i wiedział, jak zsynchronizować celowanie i naciśnięcie spustu z oddechem, żeby posłać pojedynczy, śmiertelny pocisk. Pistolet w jego ręku podskoczył, a kula dosięgnęła uciekającego potwora. Na resztkach białej koszuli na plecach stworzenia pojawiła się kolejna plama krwi. Policjant uśmiechnął się, a potem wpakował drugą kulę dwa palce obok pierwszej.

Bestia zwolniła i zatrzymała się, a sierżant wymienił spojrzenie z biegnącym obok podwładnym. Maja go!

Biegli dalej, wciąż strzelając. Chcieli rozerwać potwora na strzępy. Nie wiedzieli, że wilkołaka nie zatrzymały kule sierżanta. Ani żadne inne rany. Stał, bo kule nie były dla niego zagrożeniem. Instynkt drapieżcy pojął to jasno dopiero teraz. Wilkołak nie szukał drogi ucieczki. Szykował się do ataku.

Z dzikim rykiem zadowolenia skoczył na policjantów. Zanim się zorientowali, że role się odwróciły, stał w samym środku grupy pościgowej.

Kiedy inspektor i prowadzeni przez niego policjanci wpadli w alejkę z drugiej strony, nie znaleźli ani jednego żywego człowieka.

Bestia wybiła wszystkich.

Aberline stał pośród szczątków mężczyzn, którzy mieli gwarantować bezpieczeństwo i porządek. Jego ubranie było poznaczone krwią, zupełnie jak martwych kolegów, twarz stała się równie blada.

Spojrzał na pistolet. Był nieprzydatny. Ba, nawet mniej niż nieprzydatny. Równie skuteczny, jak zabawka podczas polowania na tygrysy. Wola walki, która dawała mu siłę przez cały wieczór, zniknęła. Poczł pustkę.

Aberline nie należał do religijnych ludzi. Nigdy też nie pokładał szczególnej ufności w wierze. Mimo to szepnął:

- Boże, miej nas w swojej opiece.

I naprawdę tak myślał.

Wilkołak przez dłuższy czas ukrywał się w cieniu mostu. Odgryzł spory kęs z czyjejs urwanej ręki, żuł ze spokojem, przełknął i wyszarpnął kolejny kęs. Kiedy nie było już mięsa, przełamał kość i wyssał z niej szpik.

Skończył jeść, odrzucił puste kości do wody i usiadł oparty o ceglana ścianę porośniętą miękkim mchem. Mur był chłodny i wilgotny. Gwizdy policjantów i krzyki ludzi zaczęły się oddalać, aż w końcu ucichły gdzieś na północy.

Bestia wciągnęła powietrze nozdrzami. Nikt nie krył się w pobliżu. No może kilka szcurów, ale nie zamierzała na nie polować. Nic jej tu nie groziło. Na wschodzie pojawił się pierwszy jaśniejszy pasek światła.

Potwór był ociężały. Miejsce wydawało się bezpieczne. Polowanie skończone. Czas na odpoczynek.

Lawrence nie chciał otworzyć oczu. Bał się światła, przebudzenia... Bał się wszystkiego.

Świadomość wracała sama, ale brakowało mu poczucia ciała, jakby przebudzał się jako duch, pozbawiony formy. Nawet się z tego cieszył. Miał nadzieję, że jest martwy. Modlił się o to.

Potem, krok po kroku, wrócił do realnego świata. Najpierw poczuł ból. Nieokreślony, ale potężny, w którym zdawała się unosić jego świadomość. Stopniowo zaczął rozróżniać, co go boli. Plecy i kręgosłup, jakby ktoś przesuwiał palcem po kolejnych kręgach. Ramiona były odrętwiałe. W końcu poczuł ból w nogach. Nie miał pojęcia, ile to wszystko trwało. Godzinę, może rok.

Kiedy w końcu zebrał w sobie dość odwagi, by otworzyć oczy, musiał dłuższą chwilę mrugać, żeby cokolwiek zobaczyć. Dostrzegł błękit nieba i kawałek brudnej ściany nad sobą. Ściany poznaczonej rysami szponów i plamami krwi. Nie był zaskoczony, ale zrobiło mu się niedobrze. Modlił się, żeby cegły zwały się na niego i pozbawiły życia.

Potem powrócił węch. Dookoła panował smród nie do wytrzymania. Zepsute mięso, zgniłe owoce, brudna woda i odchody. Lawrence dostrzegł, że leży na kupie śmieci pod mostem. Zakrztusił się i niemal wymiotował. Paskudny odór był nie do wytrzymania.

Usiadł powoli. Mdłości wstrząsały jego żołądkiem, z oczu ciekły łzy. Uniósł dłonie do oczu. To, co zobaczył, sprawiło, że poczuł się tysiąc razy gorzej. Skórę na przedramionach pokrywała zaschnięta krew.

Ciało i resztki podartego ubrania były powalane na czerwono. Miał na nich resztki ludzkich tkanek. Nawet w krzyku mew usłyszał oskarżenie.

- Boże... nie... - modlił się.

Rozejrzał się i zorientował, że obudził się w bocznej uliczce całej zasypanej śmieciami. I nie był sam. Tuż obok niego leżało ciało starego żebraka. Człowiek nie miał ramienia, a jego twarz była zmasakrowana.

Lawrence ukrył twarz w zakrwawionych dłoniach i zapłakał.

Nieco później, przebrany w łachmany, roztaczając dookoła smród zgnilizny i śmierci, Lawrence Talbot ruszył ulicami Londynu. Poruszał się jak zombie. Miał pochyloną głowę, garbił się, nie podnosił wzroku i ledwie odrywał stopy od chodnika. Przechodnie omijali go łukiem, kręcąc głowami. Jakaś kobieta przeciągnęła dzieci na drugą stronę ulicy. Nawet bezpańskie psy powarkowały, kiedy je mijał.

Idąc, mruzczał pod nosem.

- Proszę... Boże... proszę... - powtarzał w kółko te same słowa, a niewypowiedziana końcówka modlitwy dzwoniła mu w głowie.

Proszę, Boże, pozwól mi umrzeć.

Ale nie umarł. Lawrence przeklinał Boga za jego okrutną obojętność. Kiedy dotarł do Essington Lane, zatrzymał się, bo dotarło do niego, gdzie nieświadomie zmierzał. To nim wstrząsnęło. Wpatrywał się w tabliczkę z nazwą ulicy, wprawioną w tynk na ścianie budynku. Potem się odwrócił i spojrzał na drugą stronę. Nie mógł zrozumieć, jak udało mu się tu dostać. Dlaczego nie zauważył po drodze, że w ogóle tu idzie. Adres mieszkającej tu osoby usłyszał kiedyś przy okazji. Nigdy nie widział go nawet zapisanego.

Ale teraz tu był. Dokładnie naprzeciw widział potwierdzenie. Ręcznie malowany szyld informował, że to „Apteka Conliffe”. Lawrence obliznął usta. Co Conliffe'owie zrobią, kiedy go zobaczą? Zamkną przed nim drzwi? Powinni, nawet mimo to, że dziś w nocy nie będzie już pełni. Może wezwą policję? W głębi duszy miał nadzieję, że tak się stanie. Mógłby wtedy sprowokować funkcjonariuszy, by go zastrzelili. Chyba że nie będą czekali i zabiją go jak wściekłego psa, jak zwierzę, którym się stał... Tak wygląda sprawiedliwość... Albo litość. Przez cały poranek, kiedy szedł przez miasto, słyszał dziesiątki gazeciarzy, jak wykrzykiwali najważniejsze tytuły. „Szalony morderca na wolności!” Szalony?

Nie... znacznie gorzej niż szalony.

Patrzył na aptekę ojca Gwen. Wyglądała na zamkniętą, lecz w mieszkaniu na piętrze paliły się światła. Narzeczona brata wspomniała, że mieszka z ojcem nad sklepem.

Zagryzł usta. Dokąd pójdzie, jeśli go przepędzą? Czy w ogóle powinien ich odwiedzić? A może wilczy instynkt przetrwania zacznie kierować jego krokami?

Mimo wątpliwości nekających duszę, zaryzykował i ruszył przez ulicę. Lawirując między przechodniami i powozami, dotarł do drzwi. Znacznie więcej siły, niż sobie wyobrażał, kosztowało go uniesienie dłoni i pociągnięcie za dzwonek.

Jedyną odpowiedzią była cisza. Osłonił twarz dłonią i zajrzał do środka. Pomieszczenie wydało się puste i Lawrence poczuł zawód. Nagle dostrzegł kogoś, jak przez ciemną aptekę idzie do drzwi. Chwilę później szcęknął zamek i zaskrzypiał zawiasy.

Ze środka wyjrzała Gwen Conliffe. Otworzyła usta, by przepędzić natrętnego żebraka.

- Gwen... - odezwał się głosem przepelnionym zawodem i rozpaczą.

Otworzyła szerzej oczy, dostrzegając pod pokładami zadrapań, bólu i zakrzepniętej krwi znajomą twarz.

- Mój Boże! Lawrence, to ty!

- Ja... - zaczął, ale Gwen nie dała mu dokończyć. Złapała go za ramię i wciągnęła do środka. Zamknęła drzwi, zaciągnęła roletę i rzuciła się, by zaciągnąć też zasłony w oknach.

Srebrzyste światło poranka dostawało się do środka jedynie przez wąską szparę przy samym suficie. Dopiero kiedy się z tym uporała, spojrzała na niego, przyciskając dłoń do gardła.

- Lawrence? Co ty tu robisz? Jak się tu...?

- Czy jest twój ojciec?

- Nie, pojechał po towar do Paryża. Mój Boże, wyjaśnij mi proszę, co się dzieje?

Lawrence oparł się o ścianę i drżącymi palcami przesunął po włosach.

- Co się dzieje? - Zmusił się do uśmiechu. Wyglądał upiornie. - Straszne rzeczy się dzieją... I to, co słyszałaś, to najpewniej prawda. Wszystko, Gwen. Jestem tym... Jestem potworem.

- Nie!

- Nawet gorzej.

Wciąż jeszcze stała przy oknie, kilka kroków od niego. Nie ruszała się z miejsca.

- Co masz na myśli? To, co słyszałam... Co może być gorszego?

Lawrence osunął się na podłogę i usiadł. Twarz ukrył w dłoniach.

- Mój ojciec... Jest taki sam jak ja. I... Boże, nie rozumiem, jak te słowa mogą w ogóle zostać wypowiedziane... Myślę, że Benjamin dowiedział się o tym i próbował go powstrzymać. Właśnie dlatego był tamtej nocy w lesie. - Lawrence wytarł łzy z twarzy. - Jestem pewien, że tak właśnie zginął.

Gwen wciąż stała w tym samym miejscu, oświetlona srebrnym światłem. Lawrence rozumiał, jak strasznie raniły ją jego słowa, jak bardzo zatruwały jej duszę. Łzy zebrały się w kącikach jej oczu i jak deszcz spłynęły policzkami. Pomyślał, że zacznie krzyczeć. Ze wyrzuci go na ulicę.

Ale zupełnie się nie spodziewał, że przejdzie przez pomieszczenie i uklęknie przed nim.

Gładziła go po twarzy.

- Tak strasznie mi przykro... - powiedziała.

Jej słowa, jej dobroć łamały mu serce. Ścisnęło go w gardle i nie udało mu się powstrzymać łkania. Gwen przytuliła go do piersi i płakała wraz z nim.

Lawrence leżał z nagim torsem w gościnnej sypialni mieszkania nad apteką. Jego ubranie spłonęło w piecu. Niemal dwie godziny spędził w gorącej wodzie, a Gwen nieustannie donosiła kolejne garnki parującego wrzątku. Szorował skórę do chwili, kiedy zaczynała sprawiać ból. Mimo że niemal starł naskórek, wciąż wydawało mu się, że jest brudny. Domyślał się, że to poczucie będzie mu towarzyszyć już zawsze. Nawet gdyby miał żyć jeszcze sto lat... A prawdę mówiąc, wątpił, by w ogóle dożył końca roku.

Kiedy się przebudził w bocznej uliczce i rozebrał, żeby włożyć na siebie łańchmany martwego żebraka, jego ciało było pokryte ranami, zadrapaniami i ugryzieniami komarów. Teraz jego skóra lśniła - czysta i gładka. Nie wspomniał o tym Gwen, ale brak ran i blizn wyjaśnił sobie jako dowód, że został na-znaczony piętnem Kaina. Piętnem wilka.

Zegar wskazywał siódmą wieczorem, kiedy Gwen przyniosła tacę z jedzeniem. Postawiła ją na stoliku i Lawrence dostrzegł obok dzbanka z kawą złożoną gazetę. Z obawą wziął ją i spojrzał na pierwszą stronę. To, co zobaczył, przeszło jego najgorsze wyobrażenia. Na tytułowej stronie zamieszczono jego wielką fotografię, wykonaną najpewniej krótko po tym, jak trafił do szpitala dla obłąkanych. Wyglądał na niej jak szaleniec o nieobecny wzrok. Nad zdjęciem wielkie litery głosiły: „Zbiegły szaleniec na wolności. Dziesiątki ofiar szaleńca”.

- Dziesiątki... - szepnął i zamknął oczy. Po raz pierwszy od śmierci matki się przeżegnał.

Znów spojrzał na Gwen, spodziewając się dostrzec przerażenie na jej twarzy. Strach i odrazę. Jedyne, co zobaczył, to współczucie i żal. Świeże łzy zabłysły w jej oczach.

- Chcę ci pomóc.

Lawrence odrzucił gazetę i odsunął jedzenie. Spuścił nogi z łóżka i usiadł.

- Jestem już stracony - powiedział niskim, zrezygnowanym głosem.

- Może jednak nie - stwierdziła kobieta i wyciągnęła dłoń. Między palcami trzymała coś srebrnego. - Proszę.

Siedział i nie mógł się ruszyć, więc sama założyła mu łańcuszek na szyję. Talizman spoczął na piersi Lawrence'a. Wciąż jeszcze był rozgrzany ciepłem jej dłoni. Wydawało mu się, że medalion zatracą strukturę. Ze wtapia w ciało i łączy z sercem. Po raz pierwszy tego ranka mógł głęboko odetchnąć.

- Nie jesteś stracony... Nawet jeśli to magia albo diabeł...

Spojrzał na nią.

- A może sam Bóg? - dodała cicho. Lawrence dotknął medalionu i zrodziło się w nim coś na kształt nadziei. Wątki płomyk, który rozświetlił jego serce.

- Tak - powiedział w końcu. - Może się uda.

Uklękła obok i ścisnęła jego dłoń. Była zadziwiająco silna.

- W takim razie musimy znaleźć sposób, żeby to zatrzymać!

- Nie... - zaczął, ale widząc cierpienie w jej oczach, zamilkł. - Gwen, posłuchaj. Muszę zaakceptować to, co zrobiłem. Jeśli Bóg istnieje, jestem przeklęty. Będę się smażył w piekle za cierpienie, jakie spowodowałem.

- Nie! Nie byłeś wtedy sobą. To nie ty zadawałeś śmierć.

- To byłem ja. Bez znaczenia, czy kierowałem swoimi czynami, czy nie.

- To jakaś infekcja. Jesteś chory i to ta choroba sprawia ból i cierpienie innym. A to już nie jest twoja wina. - Poglaskała go po policzku. - Kiedy opowiadałeś o szpitalu, powiedziałaś, że błagałeś, żeby cię zamknęli, zakuli w łańcuchy czy nawet zabili.

- Ale nie zrobili tego! Nie zrobili. Jeśliby cię posłuchali, zrobili to, o co ich prosiłeś, nikogo byś nie skrzywdził. Ojciec ostrzegł cię na czas. Gdyby wtedy w Blackmoor zamknął cię ze sobą, zamiast wypuszczyć na wolność, nikogo byś nie skrzywdził. To nie twoja wina, Lawrence. Jesteś dobrym, uczciwym człowiekiem.

Spróbował się uśmiechnąć.

- Jeszcze nikt nigdy nie oskarżył mnie o dobroć. Gwen pokręciła głową.

- Ta... choroba, czy jeśli wolisz, przekleństwo... To ono wszystko spowodowało. Nie ty.

- Nikt tak nie myśli.

- Ja tak myślę - powiedziała z naciskiem. - Ty też musisz.

- Sam nie wiem. Nie mogę tego kontrolować... I nie mogę pozwolić, by to się wydarzyło jeszcze raz. Nie zniosę myśli o bestii szalejącej na wolności. Dość krwi mam na sumieniu.

- W takim razie nie pozwól na to. Popatrz na nią.

- Co masz na myśli?

- Sir John zbudował dla siebie celę, w której zamykał bestię, gdy się pojawiała. Też możesz tak zrobić.

- Może... - rzekł z powątpiewaniem. - Ale jestem zbiegiem. Nawet jeśli uda mi się uciec przed policją, zniknąć z kraju, do końca życia będę musiał się ukrywać.

- Świat jest wielki, Lawrence. Zmień nazwisko, stań się kimś innym. Zostaw to całe cierpienie za sobą. Lepsze to niż być kolejną ofiarą tego potwora. A staniesz się nią, jeśli pozwolisz, by cię to zniszczyło. Tak, jak zniszczyło Bena.

Lawrence wstał i szybkim krokiem zaczął krążyć po pokoju. Jej słowa działały uspokajająco. Nie leczyły, ale przynajmniej nie pozwalały pograżyć się w otchłani rezygnacji. Zatrzymał się i spojrzał na Gwen.

- Najpierw muszę doprowadzić do końca sprawy z moim ojcem - powiedział twardo. - Powinienem wrócić do Blackmoor. Być może on nawet czeka na mój powrót. Jeśli uda mi się go powstrzymać, pójdę za twoją radą. Zniknę. Już na zawsze... Pewnie nigdy się już nie zobaczymy.

Gwen wstała, przeszła przez pokój i położyła dłonie na jego ramionach.

- Nie! - zaprotestowała, a jej niebieskie oczy płonęły. - Proszę... pozwól mi znaleźć lekarstwo na twoją chorobę. Ty nie możesz się nigdzie pokazać... Rozpoznają cię. Mnie nikt nie pozna.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Chciał wymusić obietnicę, że będzie się trzymała od tego wszystkiego jak najdalej, ale jej siła, rozsądek, piękno... Nie mógł się im oprzeć.

- Lawrence... Musi istnieć jakieś lekarstwo.

Czuł ciepło jej dłoni na ramionach. Wydawało się, że Gwen dopiero teraz spostrzegła, że Lawrence nie ma na sobie koszuli. Mimo to się nie cofnęła.

- Muszę ci wyznać - odezwał się miękko, dotykając jej policzka - że mu zazdroścę. Mojemu bratu. Zazdroścę mu dni, które spędziliście razem. I radości, którą przeżywaliście.

Zaczerwieniła się, więc chciał się cofnąć.

- Przepraszam... - powiedział szybko.

- Nie trzeba...

- Oddałbym wszystko, żebyśmy mogli się spotkać w innym życiu. Ale, niestety, mogę się jedynie modlić, żeby Ben mi wybaczył. Moje... uczucia względem ciebie.

Nachylił się i delikatnie ją pocałował, bez przymusu, lecz z żarem. Potem się cofnął.

- Boże, przepraszam...

- Nie - powiedziała szybko Gwen. - Nie...

I sama go pocałowała z namiętnością, gwałtownością i pragnieniem, jakich Lawrence nigdy jeszcze nie doświadczył. Była pełna pasji. Wziął ją w ramiona. Pocałunek rozlał się po ich ciałach żarem, rozпалиł piersi, dłonie, biodra. Stawali się jednością. Idealnie do siebie pasowali i cieszyli się sobą nawzajem. Ręce, nie zważając na ograniczenia, wędrowały, rozsuwając ubrania i odkrywały nagie ciała, realizując pragnienia żyjące dotychczas jedynie w ich wyobraźni. Lawrence zaczął rozpinać suknię Gwen, a ona złapała za sznurowanie jego spodni, kiedy...

Puk! Puk!

Ciężka pięść załomotała w drzwi na dole. Niedoszli kochankowie zamarli. Ich ubrania wisiały w nieładzie, a oczy były pełne strachu i obawy.

- Panno Conliffe! - krzyknął ktoś na zewnątrz. Gwen odsunęła się i podbiegła do okna, żeby wyjrzeć na ulicę. Jej suknia wisiała tylko na jednym ramieniu, a jedna doskonale kształtna pierś pozostała na wierzchu, z sutkiem nabrzmiętym od jego pocałunków. Nie zwróciła na to uwagi. Wyjrzała na ulicę przez szparę w zasłonach.

- Dobry Boże! - jęknęła. - To inspektor Aberline! Przez dłuższą chwilę spoglądali na siebie w milczeniu.

W końcu Lawrence podszedł do niej, pocałował ją w czoło, a potem jeszcze raz w pierś. Kiedy się wyprostował, delikatnie poprawił jej suknię.

- Lepiej będzie, jeśli go wpuścisz - powiedział miękko.

Inspektor Aberline stanął w progu i popatrzył na nią czerwonymi z przemęczenia oczyma. Dwóch barczystych pomocników czekało na chodniku. Mieli zacięte twarze. Jeden trzymał strzelbę, drugi miał pistolet pod bluza munduru, wciśnięty w taki sposób, żeby każdy go zauważył. Zaczęło mżyć, ale ludzie ze Scotland Yardu nie zwracali na to uwagi. Aberline musnął rondo mokrego kapelusza.

- Witam, panno Conliffe.

- Inspektorze. - Gwen zmusiła się do uprzejmego tonu. Spojrzał nad jej ramieniem do środka. Hol apteki oświetlała pojedyncza świeca w kinkiecie na ścianie.

- Proszę mi wybaczyć pytanie, ale czy jest pani w domu sama?

- Tak. Ojciec wyjechał w interesach.

- Czy mógłbym?

Zawahała się, ale policjant spojrzał wymownie na ludzi moknących na deszczu. Gwen poczuła się w pułapce. Nie mogła odmówić w takiej sytuacji. Gdyby go nie wpuściła, to -biorąc pod uwagę okoliczności - wydawałoby się to podejrzane. Cofnęła się i otworzyła drzwi na całą szerokość.

- Ależ oczywiście, inspektorze. Zapraszam do środka.

Aberline kiwnął z wdzięcznością głową. Minał ją, zdjął kapelusz z głowy i rozejrzał się po ciemnym wnętrzu. Gwen starała się ograniczyć wizytę tylko do sklepowego korytarza. Inspektor uśmiechnął się delikatnie.

- Madam, raz jeszcze proszę o wybaczenie, ale muszę zapytać wprost. Czy widziała pani Lawrence'a Talbota? Nie wątpię, że słyszała już pani o jego ucieczce.

- Czytałam gazetę - odparła spokojnie. - Ale nie, nie widziałam go.

Wypowiadając te słowa, Gwen wiedziała, że źle je intonuje. To nie było przekonujące. W zmęczonych oczach Aberline'a natychmiast pojawiło się zainteresowanie. Wszedł w głąb sklepu.

- Jestem przerażony faktem, że ojciec pozostawił panią samą, bez opieki, gdy na wolności grasuje morderca. Nalegam, by udała się pani z nami.

- To całkowicie niepotrzebne, inspektorze. Zastanawiam się, dlaczego pan sądzi, że mogłabym być w niebezpieczeństwie. Nie wierzę, żeby Lawrence mógł mnie skrzywdzić.

- Moja panno - powiedział ostrzej Aberline. - Nie chcę pani straszyć, ale powinna pani wiedzieć, w jak wielkim niebezpieczeństwie się znalazła. - Mówiąc to, wyjął z wewnętrznej kieszeni gazetę i położył ją na ladzie, tak by zobaczyła pierwszą stronę. To była ta sama gazeta, którą kupił Lawrence'owi, ze zdjęciem, które sprawiało, że wyglądał na szaleńca. - Ale jeśli znajdzie się w pani pobliżu, proszę mi wierzyć, będzie pani w niebezpieczeństwie.

Aberline położył dłoń na jej ramieniu i delikatnie odsunął na bok. Wiedziała, że gdyby lepiej kłamała, nigdy by sobie na to nie pozwolił. Mężczyzna wszedł za ladę i zaczął otwierać wszystkie szafki dostatecznie duże, by w środku zmieścił się dorosły człowiek. Nic nie znalazł, więc zajrzał jeszcze za kotarę z tyłu sklepu i zobaczył za nią schody prowadzące do mieszkania na piętrze.

Gwen usiłowała stanąć mu na drodze.

- Może nie zna go pan tak dobrze jak ja.

- Zapewne. Ale widziałem tego potwora na własne oczy i to mi wystarczy. - Mówiąc to, uważnie przyglądał się jej twarzy i szukał reakcji na brutalne słowa. Gwen zmusiła się do opanowania. - I zapewniam panią, że widok był gorszy, niż cokolwiek, co można sobie wyobrazić.

Zamiast ją przestraszyć, rozgniewał ją tylko.

- Dziękuję zatem, inspektorze. Obiecuję rozwagę, jeśli tylko go spotkam.

Aberline westchnął i odszedł od schodów, ale jego wzrok padł na coś, co kazało mu się zatrzymać. Mała szafeczka pod ścianą stała otworem. Na ladzie niedaleko niej leżało pudełko z opatrunkami i środek odkażający. Bez zakrętki.

Inspektor uśmiechnął się cierpko.

- Panno Conliffe. Doprawdy podziwiam pani szlachetne intencje. Ale proszę mnie uważnie posłuchać. - Zbliżył się do niej. - Myśli pani, że może go pani ocalić... ale się pani myli.

- Nie wiem, o czym pan mówi... Aberline chwycił ją nagle za nadgarstek.

- Proszę się nie opierać - powiedział z mocą. - Musi pani pójść z nami.
- Muszę? - zapytała ostro, mając nadzieję, że wzburzenie da lepsze efekty, jeśli kłamstwa nie pomagały. - Co pan sobie wyobraża, że kim pan jest? A ja? Próbowała się uwolnić, ale chwyt Aberline'a był pewny.
- Proszę mnie natychmiast puścić!
- Thompson! - zawołał inspektor. Do środka wbiegł jeden z mężczyzn. Gwen zaczęła krzyczeć.
- Proszę mnie...

Podwładny Aberline'a zakrył jej usta dłonią. Próbowała go ugryźć, ale mężczyzna był i na to przygotowany. Przycisnął ją do siebie i boleśnie ścisnął szczękę. Nic nie mogła poradzić. Mimo to walczyła, rzucała się i kopała, kiedy wynosili ją z domu na ulicę.

Aberline wychylił się na zewnątrz, gdzie czekał oddział uzbrojonych po zęby policjantów z sił specjalnych. - Teraz!

Kilkudziesięciu mężczyzn wpadło do domu. Każdy ze strzelbą lub toporem. Gwen chciała krzyknąć, ostrzec Lawrence'a. Oni nie przyszli aresztować. To było polowanie, a w oczach mijających ją funkcjonariuszy wyczytała, że pojmanie Talbota żywcem nie należało do ich zadań.

Siły specjalne były elitą Scotland Yardu. Wszyscy służący w nich policjanci, co do jednego, byli wcześniej w wojsku i zahartowali się podczas niejednej kampanii wojennej. Oddział wystarczyłby do stłumienia powstania. A ludzie wlewający się do apteki przez drzwi frontowe i tylne wystarczyłby do powstrzymania samego diabła.

Aberline wyciągnął ciężki pistolet, wrócił do środka i ruszył schodami na piętro. Obrazy wczorajszej masakry wciąż płonęły w jego głowie żywym ogniem. Nienawiść do potwora była równa jedynie strachowi, jaki przed nim czuł.

U szczytu klatki schodowej mężczyźni rozbiegli się po korytarzu, by kopniakami otwierać zamknięte drzwi i przewracać meble. Aberline pobiegł na sam koniec, do zamkniętego pokoju. Krok w krok towarzyszyło mu sześciu ludzi ze strzelbami. Nieważne, co by się przed nimi pojawiło, zostałyby rozerwane na strzępy.

Kiedy dotarli na koniec korytarza, inspektor oblizwał usta. Potem położył palec na spuście i sięgnął po kłamkę. Policjanci unieśli strzelby i wycelowali nad jego ramionami. Kiedy rozległ się szcęk zamka, Aberline pchnął je z całej siły i wpadł do środka. Pokój zdawał się pusty, ale niemal natychmiast dostrzegł parę nieruchomych nóg w szarym cieniu wielkiego lustra. Stopy nie wyglądały na ludzkie.

Pot wystąpił na czoło mężczyzny, a w ustach poczuł suchość. Wsunął podbródek i wskazał swoim ludziom kierunek. Momentalnie sześć luf przesunęło się w tamtą stronę. Inspektor trzymał palec na ustach. Wycelowwał w środek wielkiego lustra i odciągnął kurek.

Szcęk zamka pistoletu był ogłuszający.

- Talbot! - ryknął. - Podnieś ręce i wyłaź stamtąd! Stopy Talbota ani drgnęły.

- Talbot... masz moje słowo, że będziemy cię dobrze traktować.

A niech cię, pomyślał Aberline i w eskorcie sześciu strzelb gotowych do strzału złapał za brzeg lustra i szarpnął. Kiedy mebel upadł, rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Pod ścianą stała naturalnej wielkości rzeźba przedstawiająca Pana. Pół człowieka, pół kozę. Cała z brązu.

Lawrence Talbot zniknął.

Policjanci za jego plecami westchnęli z ulgą. Każdy z nich chciał dorwać Talbota, ale żaden nie chciał stanąć twarzą w twarz z potworem. Detektyw Adams przepchnął się między nimi i stanął obok Aberline'a, spoglądając raz na rzeźbę, raz na inspektora, który wyglądał przez okno na się morze dachów.

- Tym razem miałeś pecha - powiedział.

- Nie tylko ja. To pech dla wszystkich - mruknął Aberline, nie odwracając się od okna.

Lawrence cofnął się w głąb domu. Słyszając rozmowę Gwen z inspektorem, wszedł na sam szczyt schodów. Potem do jego uszu dotarły głosy większej liczby ludzi. Spodziewał się tego. Aberline był bystry i ostrożny. Ale Lawrence w niczym mu nie ustępował.

Owinał stopy ręcznikami, by nie robić hałasu, kiedy na ostatnim piętrze przygotowywał sobie zapasy. Znalazł torbę z paskiem na ramię, a w sypialni na trzecim piętrze - ku swemu zaskoczeniu - szafę pełną męskich ubrań. Były za duże na ojca Gwen, więc dokładniej im się przyjrzał. Znalazł krawat z wyhaftowanymi inicjałami BT. BT... Benjamin Talbot. Musiał korzystać z tego pokoju, kiedy zatrzymywał się w Londynie. Dotyk ubrań noszonych przez brata przepelniał go smutkiem i poczuciem winy. Wciąż pamiętał pocałunki Gwen i kształt jej cudnych piersi.

Zamknął oczy, by to wspomnienie znalazło już na zawsze miejsce w jego duszy. Gdyby miał teraz umrzeć, byłby spokojniejszy, bo przeżył coś doskonałego, a umierając, mógłby przywołać ten obraz, by ostatnią rzeczą, jaką zobaczy przed nadchodzącą ciemnością, było jej piękno.

Otworzył oczy i zabrał się do roboty. Przebrał się i spakował najważniejsze rzeczy, których będzie potrzebował, uciekając z Londynu.

Godzinę później maszerował zwawo ulicą, zostawiając za plecami Essington Lane. Zbliżał się świt, więc mali gazeciarze zajmowali swoje miejsca na rogach ulic i wyrzaskiwali najnowsze wiadomości. Jego historia wciąż była najważniejsza.

Lawrence owinał twarz chustą, a kapelusz opuścił tak nisko, żeby widać było tylko jego oczy. Przeszedł obok jednego z ulicznych sprzedawców gazet tylko po to, żeby sprawdzić, czy jego fotografia znajdowała się na tytułowej stronie dzisiejszego wydania. Była tam, ogromna i wyraźna.

Chłopak odczytał tytuł:

- Potwór wciąż na wolności! Tylko miesiąc do następnej pełni! Talbot uciekł!

Powtarzał to bez końca.

Lawrence chciał uwolnić się od tych słów.

- Połóż je tutaj - powiedziała Gwen do chłopca z przesyłką z księgarni.

Pracownik położył ciężką paczkę na wskazanym stoliku. Już piąta, którą zamówiono pod ten adres. Wszystkie tomy dotyczyły dziwacznych spraw. Książki medyczne, książki o rodzajach szaleństw i chorobach umysłowych, wreszcie o magii uprawianej przez Cyganów. Mity i legendy. I wszystkie pozycje o wilkołakach i lykantropii, jakie kiedykolwiek zostały opublikowane i jakie udało się znaleźć właścicielowi księgarni.

Począł na napiwek i skinał głową, kiedy podała mu monetę. Zanim wyszedł, zatrzymał się jeszcze w progu.

- Proszę wybaczyć mi moją śmiałość, proszę pani, ale czy sprzedaje pani uroki?

- Uroki? - Gwen nie wiedziała, o co chodzi.

- Do ochrony przed potworem. - Chłopak wskazał głową na półki zastawione specyfikami. - Czy pracuje pani nad jakimś napojem, który odpędzałby takie bestie? Jeśli tak, to moja mama...

- Nie. - Gwen uśmiechnęła się delikatnie. - Zupełnie nie. Chłopak zerknął jeszcze na stosik książek.

- Takie dziwne hobby - powiedziała Gwen.

Chłopak potaknął i wyszedł, ale kiedy znalazł się na ulicy zrobił złą minę.

- Dziwne hobby - przedrzeźniał ją. - Zupełna wariatka.

Lawrence musiał golić się dwa razy dziennie, bo miał wyjątkowo gęsty zarost. Teraz zaczął ją doceniać. Po trzech dniach jego broda pokryta była tak gęstą i ciemną szczecina, że większość mężczyzn musiałaby poświęcić na jej hodowlę przynajmniej tydzień. Pod koniec drugiego tygodnia ucieczki jego twarz była pokryta splątana gęstwiną sztywnych włosów. Mimo to co pewien czas przechodnie przyglądali się mu uważnie, więc na wszelki wypadek nikomu nie patrzył w oczy i starał się nie wychodzić z cienia. W sypialni pana Conliffe'a znalazł trochę grosza. Wynajął pokój w dzielnicy, w której zasada było niewściubianie nosa w nie swoje sprawy. Gdyby komuś w ogóle przyszło do głowy zastanawiać się, co tam robi, uznaliby zapewne, że Lawrence to jeden z wykolejenców, którzy przyjeżdżali tam na dziwki, aby zatracać się w oparach opium.

Jeszcze nie mógł zaryzykować wyprawy do Blackmoor. Stacje kolejowe wciąż były pod ścisłą obserwacją. Mógł jedynie czekać, aż minie histeria. Ale każdy dzień przynosił kolejne nagłówki i kolejne oddziały policji na ulicach. Czas mijał, a on każdej nocy ze strachem patrzył na księżyc, który wchodził w kolejne fazy.

Pewnego wieczoru, kiedy nad miastem świeciła już prawie pełna tarcza miesiąca, trafił do starego kościółka z krzywymi schodami. Wszedł do środka. Wewnątrz było pusto, ciemno i zimno. Przysiadł na ławce z boku, ale już po chwili twarze świętych i Ukrzyżowanego patrzyły na niego z takim wyrzutem, że zaczął odczuwać fizyczny ból. Ukrył twarz w dłoniach, by nie musieć spoglądać im w oczy.

Naraz usłyszał za sobą szelest. Odwrócił się i zobaczył niewysokiego mężczyznę. Miał miłą, zmęczoną twarz i nosił koloratkę.

- Witaj synu - powiedział. - Co cię tu sprowadza?

Lawrence nie wiedział, co odpowiedzieć. Na twarzy duchownego nie widział nawet cienia, który by świadczył, że mógł go rozpoznać.

- Potrzebuję modlitwy - stwierdził.

- Może pomódlmy się razem? Jak Pan mówił, gdzie dwóch lub trzech zbierze się w imię moje... - czekał na odpowiedź. Po chwili przechylił głowę i spojrzał na Lawrence'a. - O co będziemy błagać Pana? O pokój? Pomoc? Wybaczenie? Talbot pokręcił głową.

- O siłę - powiedział krótko.

Gwen Conliffe nachylała się nad starą księgą napisaną po łacinie. Nauczyła się tego języka od ojca, który korzystał z niego na co dzień w aptece. Niektóre słowa i zdania były jednak tak rzadkie i zawile, że na głos wypowiadała tłumaczenie, by cokolwiek z nich zrozumieć, „...w tym przerażającym aspekcie serce ofiary wciąż bije żywe. Choć wilkołak jest stworzeniem należnym piekła, nieśmiertelna ludzka dusza tkwi uwięziona w tym ciele. Uwięziona i bezradna, spętana szatańską mocą i wtłoczona w nienaturalnie powstałe ciało...”

Uniosła wzrok, a z oczu kapały jej łzy.

- Lawrence - załkała słabo.

Potem nabrała głęboko powietrza, potarła ze złością oczy i wróciła do pracy.

Następnego dnia Lawrence Talbot opuścił Londyn. Z torbą na ramieniu, zgarbiony pod ciężarem winy, zostawił za sobą szare miasto. Może gdy znajdzie się daleko od miejsca, w którym popełnił ohydne zbrodnie, uda mu się wyżebrać podwózkę albo ukraść konia. Musiał dotrzeć do Talbot Hall, zanim będzie za późno.

Jeśli oczywiście już nie było za późno.

Lawrence odczekał, aż stajenny oporządzi konie i wróci do domu, a potem wymknął się z kryjówki w krzakach i zakradł do stajni. Gdyby udało mu się ukraść konia, wtedy być może dotarłby na miejsce przed pełnią. Jazda nie zajęłaby mu więcej niż dwanaście godzin, ale piechotą szedłby przynajmniej dwa dni.

Drzwi były przyknięte, ale parobek nie założył na nie kłódki. Ostrożnie odsunął metalowy skobel, starając się zrobić to całkowicie bezgłośnie. W środku pachniało końmi, słomą i odchodami. Światło wpadało przez kilka niewielkich okienek, a panujący półmrok miał w sobie coś uspokajająco domowego. Lawrence najchętniej znalazłby sobie spokojny kącik i zwinął się w kłębek na sianie. Ale wiedział, że nie ma na to czasu.

Ruszył między boksami. Stało w nich kilkanaście koni, skubiąc siano. Najbliżej stał deresz o silnych nogach. Dałby radę utrzymać równe, szybkie tempo, a przynajmniej Lawrence miał taką nadzieję. Nabrał pełną garść jedzenia ze żłobu i wyciągnął je przed siebie, przemawiając uspokajającym tonem. Zawsze doskonale dawał sobie radę z końmi... lecz tym razem było inaczej. Kiedy znalazł się blisko zwierzęcia, zastrzygło uszami i rzuciło głową. Wytrzeszczone oczy spoglądały na niego z przerażeniem. Zamarł. Koń nagle się cofnął i przysiadł na zadnich nogach, rżąc ze strachu.

- Nie! - szepnął Lawrence. - Ciii, ciii... wszystko dobrze, koniku...

Ale zwierzę wpadło w panikę. Zaczęło się cofać i kopać drzwi boksu, denerwując pozostałe wierzchowce w stajni. Po kilku sekundach nie było w środku zwierzęcia, które by nie rżało i nie kopało.

Na zewnątrz rozległy się krzyki ludzi.

- A niech to wszyscy diabli! - zaklął Lawrence. Potem się odwrócił i uciekł.

Był wczesny fanek, kiedy tylne drzwi apteki uchyliła ostrożna dłoń. Gwen wyjrzała na zewnątrz, popatrzyła w dół i w górę ulicy. Nikogo w zasięgu wzroku. Wyśliznęła się na zewnątrz i po cichu zamknęła za sobą drzwi. Ojciec pracował w sklepie i był przekonany, że córka jest wyczerpana i śpi w swoim pokoju. Może i nie miała umiejętności aktorskich takich jak Lawrence, ale nie było na świecie kobiety, która nie potrafiłaby popłakać się

na zawołanie czy udać omdlenie. Była zaskoczona, że ojciec, który widział, jak była silna i wytrzymała, tak łatwo dał się nabrać na jej gierki.

Gwen zebrała trochę pieniędzy, do dużej torebki spakowała najpotrzebniejsze rzeczy i, upewniwszy się, że uliczka jest pusta, popędziła do miejsca, gdzie miała czekać na nią dorożka.

Lawrence unikał głównych traktów, regularnie skracając sobie drogę na skos, przez pola. Za wszelką cenę starał się unikać ludzi. Noc spędził w ruinach starej rzymskiej fortecy, której nazwy nie pamiętali nawet historycy zajmujący się tymi okolicami. Rankiem, kopiąc dołek, żeby ukryć w nim resztki skromnego posiłku, znalazł rzymską monetę z profilem Cezara. Schował ją do kieszeni, przekonany, że powinna mu przynieść szczęście. Będzie go potrzebował.

Maszerował przez cały dzień, zmarznięty i zmęczony. Przed oczami miał wciąż obraz księżyca, który ostatniej nocy widział na niebie. Wielkimi krokami zbliżała się pełnia. Zobaczył jeźdźców, którzy przemierzali pola, utrzymując równy szyk i domyślił się, że to policja. Aberline nie był głupcem.

Lawrence już wcześniej się domyślił, że inspektor rozkaże pilnować wszystkich dróg prowadzących do posiadłości ojca. Dlatego stał się jeszcze ostrożniejszy. Od teraz wybierał jedynie ścieżki, na których trawa nie była zdeptana, a na ziemi nie było widać świeżych odcisków stóp. Trzymał się pobocza, albo w ogóle szedł lasem, wzdłuż drogi, żeby nie zostawiać śladów. Zupełnie jak wilk, który zamieszkał w jego krwi, Lawrence stał się ostrożny i przewidujący jak dzikie zwierzę. Pewna wiedza była dostępna tylko uciekinierom i zbiegom, ale Lawrence ją sobie przyswoił. Starannie wybierał drogę, dzięki czemu bez przeszkód i niezauważony dotarł do Talbot Hall.

Ta leśna ścieżka była ostatnim i najbezpieczniejszym etapem wyprawy. Minał staw u podstawy klifu, który oddzielał starą puszcę od bagnisk. Zatrzymał się obok kręgu kamieni i przez długi czas wpatrywał się w najwyższy z nich. Dziś w nocy księżyc zaleje je swoim światłem i powróci wilkołak. Miesiąc miał pojawić się na niebie już za kilka godzin.

Lawrence postanowił, że jeśli nie uda mu się powstrzymać ojca przed wschodem księżyca, rzuci się z wysokiego klifu na ostre skały poniżej. A jeśli zostanie mu za mało czasu, to skoczy z dachu domu. Nie do końca wierzył,

że upadek z tej wysokości wystarczy, by pozbawić go życia, ale gdyby to zrobił przed przemianą w zwierzę, być może rany w połączeniu z medalionem świętego Kolumby wpłyną na jego drugą naturę. Może nawet przetrwa noc, nie czyniąc nikomu nic złego.

Mógł też poprosić o pomoc Singha. Nawet jeśli Sikh nie mógł zaatakować, to nic, bo przecież jego samego nie krępują takie zasady. Srebrna kula w łydce na pewno go unieruchomi, może nawet zapobiegnie przemianie... na dodatek będzie wciąż miał nieuszkodzone ramiona, dzięki którym rozprawi się z ojcem, kiedy wreszcie się spotkają.

Z drugiej strony, jeśli zobaczy się z ojcem, będzie musiał załatwić to raz na zawsze.

Lawrence nie chciał już żyć. Pozwolić, by co miesiąc budziła się w nim bestia? To w ogóle do niego nie przemawiało. Chyba żeby miał gwarancję, że istnieje lekarstwo. A w tym względzie był znacznie mniej optymistyczny niż Gwen.

Gwen... Jej imię przywołało wspomnienia słodczy i gorących pocałunków. Z czułością dotknął medalionu na piersiach.

- Boże... cokolwiek się wydarzy - modlił się - oszczędź jej bólu. Proszę cię, Boże, oszczędź ją.

Powiał zimny wiatr, ale nie przyniósł odpowiedzi ani obietnic.

Gwen wysiadła z pociągu na przedostatniej stacji przed Blackmoor. Wskoczyła na peron w ostatniej chwili i uważnie sprawdziła - jak wiele razy - czy nikt jej nie śledzi. Jeśli ludzie inspektora byli ukryci w pociągu, to musieli być naprawdę dobrzy w swoim fachu, bo od początku podróży nikogo nie zauważyła. Mimo to starała się postępować tak ostrożnie, jak to tylko możliwe.

Kilka godzin spędziła, chodząc i zadając pytania, a za kilka odpowiedzi musiała nawet zapłacić, byle tylko móc polegać na otrzymanej informacji. Wczesnym przedpołudniem wynajęła konia i wyjechała za miasto, kierując się zebranych wskazówkami. Dostała je spisane przez mleczarza, który zarzekał się na wszystkie świętości, że spotkał osobę, której szukała. Chwilę przed drugą Gwen dostrzegła wóz na drodze. Cygański tabor. Spięła konia piętami i szybkim kłusem dogoniła pojazd.

Woznica był nieokrzesanym człowiekiem o poznaczonej bliznami twarzy. Za jego pasem tkwiły dwa sztylety. Podejrzliwym wzrokiem zlustrował Gwen, a potem wychylił się z kozła i rozejrzał, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie jest to jakaś pułapka. Na kozle obok niego siedział drugi mężczyzna. Ten zamiast noży miał przy sobie strzelbę.

- Czego chcesz? - zapytał Cygan.

- Szukam kobiety o imieniu Maleva - odpowiedziała Gwen. - Znacie ją?

Wymienili spojrzenia.

Odpowiedzią był długi wywód w jakimś niezrozumiałym języku, tyle że z ich gestów nie wynikało, by wskazywali jej drogę do Malevy. Z tonu głosu wyczytała, że to były groźby.

Gwen fuknęła ze zdenerwowania i spięła konia. Chwilę później się obejrzała. Obaj stali na kozle i nie spuszczaali jej z oczu.

Lawrence schował się w starej, nieużywanej szopie i zjadł gotowanego kurczaka, którego ukradł z jednego z domów po drodze. Skromny to obiad, ale był tak głodny, że cieszył się, że ma choćby i to.

Słońce zaczynało obniżać się ku zachodowi.

Lawrence stwierdził, że musiał siedzieć w schronieniu niemal cały dzień. Z nerwów odechciało mu się jeść i odrzucił precz resztkę kurczaka. Był wyczerpany, ale też wiedział, że jeśli teraz się nie prześpi, nie będzie miał dość siły, żeby jutro zrobić to, co musi.

Owinał się szczelnie płaszczem i zwinął na ziemi. Leżał i rozmyślał o Benie i o matce. Potem o ojcu. I jeszcze o tych wszystkich strasznych rzeczach, które opisano w gazetach.

Ale kiedy usnął, śnił tylko o Gwen.

Inspektor Francis Aberline otworzył drzwi powozu i zeskoczył na wybrukowaną główną uliczkę Blackmoor. Adams i Carter przyjechali razem z nim. Miał nadzieję, że już nigdy więcej nie będzie musiał odwiedzać tego miejsca, ale przyrzekł też sobie, że jeśli zostanie do tego zmuszony, zapewni sobie towarzystwo. I dotrzymał słowa. Za jego pojazdem zatrzymał się kolejny, a przez otwarte drzwi wysypało się pół tuzina najtwardszych i najbardziej doświadczonych policjantów z sił specjalnych. Ponurzy mężczyźni przeszli wojskowe przeszkolenie i wachali proch już wcześniej. Każdy miał na biodrach pas z bronią, a na ramieniu strzelbę lub sztucer.

Mieszkańcy miasteczka przyglądali się przyjezdnym i zastanawiali, na co im tyle broni, ale na widok determinacji na ich twarzach, nie zadawali pytań, tylko odchodzili w swoją stronę. Właściciele domów wzdłuż ulicy zaczęli zamykać i zabezpieczać drzwi oraz zabijać deskami okna. Kościelne dzwony się rozdzwoniły.

Aberline uśmiechnął się, widząc taką reakcję na przybycie jego oddziału. Tym razem nie było w nim niedowierzania, które mu towarzyszyło przed wypadkiem i mordem w ruinach starego opactwa. Nie, tym razem miał złowrogą minę łowcy, który zna możliwości zwierzyny. Chciał polować i wiedział, że ma ze sobą odpowiednich ludzi i broń, żeby nie odejść z pustymi rękoma. Francis Aberline nie pozwoli, żeby ginęły niewinne ofiary.

Zaprowadził ludzi do gospody i kazał przygotować dla nich długi stół. Mężczyźni usiedli na ławach i zabrali się do przeglądu i sprawdzenia sprzętu, jaki ze sobą przywieźli. Jeden postawił na samym środku ciężką skrzynkę z amunicją i otworzył wieko. Wewnątrz, ustawione w równych rzędach, połyskiwały srebrne kule.

Barman wziął w palce jedną z nich i uniósł pod światło.

- Jesteś pewien, że przyjdzie? - zapytał.

- Tak - odparł Aberline. Z wewnętrznej kieszeni wyjął kilka map. Na każdej znajdowały się inne nazwiska i krzyżykami zaznaczone stanowiska. Rozdał je ludziom i zaczął odprawę.

- Każdy z was już wie, w którym miejscu ma stać. Klasztor, droga, magazyny kolejowe i rzeka. Adams... przekaż sir Johnowi, że jesteśmy w mieście i jeśli chce nam pomóc, powinien wyściubić nos poza granice swoich włości. Ale niech nie przesadza. Chcemy dorwać Talbota, a nie go wystraszyć.

- Co robić, kiedy spotkamy podejrzanego? - zapytał jeden z policjantów.

Aberline zmrużył oczy.

- Nie zaczepiać, nie wdawać się w dyskusję. Strzelać bez ostrzeżenia. Tak, żeby zabić. Czy ktoś tego nie rozumiał?

Wszyscy byli w Londynie w czasie ostatniej masakry. Patrzyli na szefa wzrokiem równie twardym i bezlitosnym, jak on na nich. Doskonale rozumieli rozkaz.

Rozczochrana i zmęczona Gwen wróciła do gospody, w której się zatrzymała. Zsiadła z konia i się przeciągnęła. Spędziła tak dużo czasu w siodle, że rozboleły ją plecy. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny rozmawiała z kilkunastoma Cyganami, ale niczego się nie dowiedziała. Jeśli któryś znał Malewę, nie zdradził się z tym. Teraz, ledwie Gwen zdążyła ująć dwa kroki, z cienia wyłoniła się jakaś postać. Dziewczyna sapnęła i cofnęła się gwałtownie... Niepotrzebnie. To była tylko stara kobieta. Cyganka. Gwen wiedziała nawet, jak ma na imię.

- Maleva - szepnęła, a staruszka potaknęła. Mimo upływu lat miała bystre i inteligentne oczy.

- Dlaczego mnie szukasz?

Gwen oblizwała usta.

- Lawrence Talbot.

Maleva nie zmieniła wyrazu twarzy. Ale też nic nie powiedziała.

- Jest pani jedyną osobą, która naprawdę wie, co się z nim dzieje. Proszę... niech mi pani pomoże. Muszę go ocalić.

Stara kobieta podeszła bliżej i uważnie się jej przyjrzała.

- Kochasz go?

Gwen chciała zaprzeczyć, albo przynajmniej nie odpowiadać na to pytanie, ale zanim zdążyła się nad tym zastanowić, słowa same wypłynęły z jej ust.

- Z całego serca.

- W takim razie - powiedziała staruszka - pozwól, żeby wypełniło się jego przeznaczenie.

Nie tego Gwen szukała, nie po taką radę tu przybyła. Poczula, jak fala gorąca zalewa jej twarz.

- Nie mogę! Szukam dla niego ratunku. Pełnia jest tuż-tuż! - Podeszła bliżej i kontynuowała łagodniejszym tonem. - Proszę... błagam panią! Co mam zrobić?

Twarde rysy twarzy Cyganki zmiękły, a z jej oczu zniknęła oschłość.

- Zaryzykowałabyś życie, żeby zmienić coś, czego się nie da zmienić?

- Dla miłości zaryzykowałabym wszystko.

Malewa zmrużyła oczy, tak że zostały tylko wąziutkie szparki.

- To twoja miłość. Czy jest samolubna? A może raczej nieustraszona i szczerą?

Dziwne to było pytanie i trudne jednocześnie. Gwen musiała walczyć z nawałą emocji, które szalały w jej sercu.

- Nie rozumiem...

- Zrozumiesz, kiedy nadejdzie czas. Będziesz miała tylko jedną szansę - powiedziała Cyganka cicho. - Czekaj na nią. Dopiero wtedy zrozumiesz, o czym mówię.

Potem Maleva złapała ją za ramię. Miała zaskakująco dużo siły.

- Diabeł przechadza się między nami. Niech święci mają cię w swojej opiece.

Uścisk sprawiał jej ból. Palce Cyganki wpijały się w ciało jak szpony.

- Niech święci dadzą ci siłę, byś potrafiła zrobić to, co będziesz musiała.

Ich oczy się spotkały i Gwen nagle poczuła coś dziwnego, jakby zadzierzgnęła się między nimi niezwykła więź. Miała przedziwne uczucie, że właśnie coś otrzymała.

Cyganka zabrała rękę i zrobiła krok w tył. Była wyraźnie osłabiona.

- Idź już - sapnęła. - Idź do niego. Ocal go przed bestią.

- Ja... - zaczęła Gwen, ale Maleva przerwała jej w pół słowa.

- Idź!

Gwen się cofnęła, a potem odwróciła na pięcie, wskoczyła na siodło i galopem opuściła miasto. Wybrała drogę do Blackmoor.

Noc zastała go w drodze. Była szybsza niż jego zmęczony krok i kiedy dotarł do Talbot Hall, słońce już zgasło i ciemność okryła świat. Księżyc jeszcze nie wzeszedł, więc na niebie widać było wyraźnie miliony drobniutkich okruszków gwiazd. Dzięki nim Lawrence wyszedł z lasu i trafił do rodzinnego domu. W żadnym z okien nie paliło się światło. Budynek był zimny, pusty i nieprzyjazny.

Rzucił na ziemię torbę podróżną i puścił się biegiem w kierunku wejścia. Biegł lasem, wzdłuż drogi. Widział otwarte na całą szerokość drzwi, a kiedy wbiegł na schody, zobaczył suche liście i inne śmieci naniesione przez wiatr, które zaścielały podest przed domem i część holu. Budynek wyglądał na opuszczony.

Kiedy wchodząc do środka złapał za klamkę, poczuł nagły ból, jakby ktoś uderzył go w plecy. Odwrócił się natychmiast, ale nie, był zupełnie sam. Daleko na horyzoncie, nad łagodnymi wzgórzami pojawił się pierwszy fragment księżyca.

- Mój Boże... - jęknął.

Aberline stał na rogatkach miasteczka i trzymając w dłoni wodze, obserwował księżyc, jak wynurza się zza horyzontu. Nagle usłyszał galopującego konia. Obrócił się i zobaczył Adamsa, który szybko się zbliżał od południa.

- Ani słowa od Cartera. Nie ma go na stanowisku przed domem.

- Może... - zaczął, ale nie dokończył, bowiem drogą zbliżał się do nich drugi koń. Aberline spojrział przez ramię, spodziewając się zaginionego oficera, ale się pomylił. - Jasna cholera! - stęknął.

Gwen Conliffe też zauważyła inspektora. Jechała z Blackmoor do Talbot Hall.

- Nie! - krzyknęła. Potem zacisnęła zęby, ściągnęła wodze i skierowała konia na boczną ścieżkę. Mimo ciemności pędziła galopem. Znała w tych okolicach każdą dróżkę, włącznie z tymi, którymi przechadzały się tylko zwierzęta... Miała nadzieję, że dotrze do Talbot Hall na czas.

- Panno Conliffe? - zawołał za nią Aberline, ale kobieta zniknęła w cieniu drzew. - Szybko, zbierz pozostałych! - Krzyknął i obrócił się w siodle. Nie czekając na odpowiedź, spiął konia i pognął za Gwen.

Lawrence otworzył drzwi na oścież. Ostrożnie, żeby nie spowodować żadnego dźwięku. Na palcach wszedł do holu. Kiedy się upewnił, że nikt nie czeka na niego w ukryciu, ruszył dalej. Wewnątrz panowała grobowa cisza. Podłoga usłana była liśćmi i zwierzęcymi odchodami. Słyszał, jak szczury czmychają spod jego nóg, małeńkimi pazurkami szurając po kamiennych posadzkach. Domyślał się też, że nie uciekały przed człowiekiem, lecz przed drapieżnikiem, którego obecność instynktownie wyczuwały. Natura wilka, która buzowała w jego krwi, miała się lada chwila uwolnić. Sięgnął pod koszulę i zacisnął dłoń na medalionie ze świętym Kolumba. Modlił się o ochronę i o litość.

Lawrence zatrzymał się u stóp szerokich schodów i wsłuchał w szept wielkiego domu. Wiedział, że ojciec tu był... Tylko gdzie dokładnie?

Słyszał jedynie świst wiatru wpadającego przez otwarte okna. Wielki zegar po przodkach nie odmierzał już czasu. Milczał od wielu dni, choć klucz do sprężyny tkwił na swoim miejscu. Podszedł do wazy z epoki Ming, ustawionej na środkowym podeście schodów, ale nie znalazł w niej swojej laski.

Naraz usłyszał jakiś szelest. Odwrócił się i spojrzał w kierunku wielkiej sali. Mimo że w pokoju za otwartymi drzwiami panowały egipskie ciemności, miał wrażenie, że zobaczył coś czerwonego. Nisko przy ziemi?

Lawrence zaczerpnął tchu i wszedł do środka. Zatrzymał się przy fortepianie, wykorzystując go jako naturalną osłonę w razie ataku. Nie wiedział, czy w ciemności coś na niego czyha, czy to tylko jego wyobraźnia. Wprawdzie z każdą chwilą coraz lepiej widział w mroku, ale nie wszystkie zmysły były jeszcze tak wyostrzone. Zatrzymał się zwarty, gotów do walki. Albo do ucieczki.

Okrażył fortepian i wszedł głębiej do sali, skupiając wzrok na pojedynczym czerwonym punkcie, który przyciągnął jego uwagę.

Lawrence zatrzymał się gwałtownie. Sam nie wiedział, czy powinien płakać, czy śmiać się z ulgi. Czerwony punkt, który dostrzegł, był w istocie samotnym, tłącym się jeszcze węgielkiem. A szelest, który go zaalarmował,

okazał się polanem, które osunęło się w palenisku. Naprzeciw kominka stał fotel ojca - masywny skórzany mebel o wysokim oparciu. Zaczął go okrażać, żeby sprawdzić, czy sir John w nim siedzi, czy fotel stoi pusty. Przejście przez pokój kosztowało go więcej odwagi i wysiłku, niż przypuszczał.

Kiedy znalazł się już blisko, zacisnął pięści, gotów do walki, by pokonać potwora, który zmienił go na swoje podobieństwo. Dostrzegł pusty kieliszek po winie, ustawiony na podręcznym barku. A potem przewróconą butelkę, z której alkohol czerwony jak krew kapał na podłogę. Spostrzegł zarys łokcia i ramię w ciemnym ubraniu, oparte na poręczy.

- Ojczy? - szepnął, ale w gardle czuł suchość, która niemal odebrała mu głos. Nikt nie odpowiedział.

Lawrence nabrał głęboko powietrza i skoczył do fotela.

Zobaczył w nim mężczyznę.

Ale nie był to sir John.

Nie znał go. Obcy miał na sobie ciemny tweedowy garnitur, a na piersi przypiętą odznakę policjanta. Niedbale skrzyżował nogi, dłonie oparł na udach i siedział z otwartymi oczyma. Miał podcięte gardło - czysta rana biegła od ucha do ucha, a krew, która z niej wypłynęła, namoczyła przód ubrania.

Lawrence krzyknął przerażony i się cofnął.

Podbiegł do ściany i zdjął zawieszoną na haku potężną strzelbę na słonie firmy Holland & Holland. To sprawka jego ojca. Mimo że księżyc jeszcze nie wzeszedł, już zaczął mordować.

Tylko dlaczego?

Strzelba była cięższa, niż przypuszczał. O kolbę uderzyła sprzączka przy pasku. Lawrence zamarł, oczekując jakiegoś ruchu w domu.

Nic, wszędzie panowała cisza. Przełamał lufę - była nienabita.

Mężczyzna bardzo się denerwował. Podszedł do szafki na broń i otwierał po kolei szuflady, aż w jednej z nich trafił na naboje. Nie było dosyć światła, żeby stwierdzić, czy kule zostały odlane z ołowiu czy ze srebra. Złapał jedną dwoma palcami i nacisnął paznokciem. Ołów był miękkim metalem, srebro znacznie twardszym. Na kuli pozostał wyraźny ślad.

- Niech to diabli! - zaklął. Czyli jednak musi iść do mieszkania Singha i poszukać jego srebrnych kul. A nie miał klucza do drzwi.

Wypadł z salonu i zatrzymał się w holu wejściowym. Popatrzył na podwójne, kręcone schody. Wybrał bliższą nitkę. Odrazą powoli ustępowała miejsca strachowi, jakby zaczynał już czuć mrowienie pod skórą. Jeszcze nie przemiana... ale już blisko.

Na szczycie schodów mimo wszystko się zatrzymał. Pokój Singha znajdował się na tyłach domu. Żeby się tam dostać, musiałby zejść na dół i przejść długim korytarzem, ozdobionym trofeami myśliwskimi ojca. Świece w kinkietach były zgaszone i zimne, ale nie było zupełnie ciemno, bo przez otwarte drzwi nieużywanych sypialni wpadało trochę księżycowej poświaty... Pokój Bena, zamordowanego przez własnego ojca, stał się po jego śmierci sanktuarium wspomnień. W pokoju gościnnym od dawna nie nocowali żadni goście. Lawrence spróbował sobie wyobrazić ciepło Gwen, ale dookoła czaiły się jedynie strach i odrażające sekrety.

Mijając kolejne otwarte drzwi, za każdym razem zaglądał do środka. Pomieszczenia po jednej stronie były całkowicie ciemne; po drugiej coraz jaśniejsze, jakby z każdym krokiem księżyc nabierał mocy. Nastawiał uszu, czujny na każdy odgłos... ale nic nie słyszał. Nie przeszukiwał kolejnych pomieszczeń. Ogień na dole dogasał. Lawrence miał nadzieję, że to znak, iż sir John wcześniej tam siedział, a potem zrobił jedyną rozsądną rzecz, jaką mógł, czyli poszedł i zamknął się w kamiennej celi.

Choć nie miało to aż takiego znaczenia, bo jeden akt samokontroli z jego strony nie mógł zmienić przeznaczenia. Nawet jeśli sir John siedział teraz zamknięty w celi, Lawrence i tak zamierzał zrobić to, co zaplanował już wcześniej. Musiał zabić ojca. Żadnego błagania, łez, kłamstw i przebiegłych manipulacji. Nie mógł go pozostawić przy życiu, nie po tym, co zrobił Benowi. Nie po tym, jak ojciec - jego własny ojciec - zaraził go, przekazał tę chorobę. To przekleństwo.

Pojedyncza srebrna kula jako pokuta za wszystko, co zrobił, za skumulowane przekleństwo i cierpienie, jakie zadał swoim dzieciom. Żeby zmyć morze krwi, którą wytoczył.

Lawrence wszedł do pokoju Bena, ale zanim się dobrze rozejrzał, coś usłyszał. Stał jak zamurowany.

Dźwięk.

Ciężki oddech. Dyszenie. Sapanie. Długie i groźne.

Potem zwierzęce odgłosy.

Boże, czyżby ojciec jednak tu był?

Lawrence uniósł strzelbę do ramienia i powoli wszedł do pokoju. Wnętrze izby było skąpane w księżycowej poświacie, a w lustrze przy oknie widać już było niemal całą Boginię Łowów. Oblizwał spierzchnięte usta. Sapanie dochodziło zza łóżka. Coś się tam kryło. Lawrence skradał się powoli, stopa za stopą. Szedł po okręgu, żeby zająć stworzenie z boku. Przygotowany do ataku złapał strzelbę jak kij, żeby w razie czego uderzać nią i łamać kości.

Boże, pozwól to zakończyć tutaj... proszę, chcę to już mieć za sobą...

Ostatni metr pokonał jednym skokiem, ze strzelbą wzniesioną nad głowę. Zacisnął zęby, gotów pozbawić życia własnego ojca.

Kiedy znalazł się za łóżkiem zobaczył zwierzęce oczy.

Zwierzęce, ale nie bestii.

Samson, wspaniały wilczarz, wcisnął się w szczelinę między ścianą a łóżkiem i trząśił się ze strachu. Leżał w kałuży własnego moczu, tocząc nerwowo ślinę z pyska i oszalałymi oczyma spoglądał na Lawrence'a. Wyglądał, jakby miał zdechnąć. W świetle księżycy każdy oddech zwierzęcia zamieniał się w mgielkę pary. W końcu zamknął oczy i opuścił głowę, jakby się pogodził, że oto nadszedł jego koniec. Był gotów poddać się bez walki.

Widok przerażonego zwierzęcia sprawił Lawrence'owi niewypowiedziany ból. Opuścił broń i cofnął się, czując w sercu współczucie dla zwierzęcia, którego wcześniej nienawidził i przed którym drżał. Żadne stworzenie nie powinno tak cierpieć, pomyślał. Ale rozumiał ten strach. Albo przynajmniej tak mu się wydawało.

Nagle na plecach poczuł jakby dotknięcie lodowatych palców. Obrócił się, na powrót unosząc ciężką strzelbę, ale pokój był pusty. Nikt nie stał w progu, ani na korytarzu, na który wybiegł.

W takim razie co poczuł? Miał wrażenie, że ktoś go obserwuje, ale nikogo nie widział. Był sam. Cienie po obu stronach rozciągały się do końca korytarza, ale nikt się w nich nie ukrywał.

Lawrence powoli przyzwyczajał się do tego uczucia, ale minęła dłuższa chwila, zanim na powrót zorientował się w rozkładzie domu. Mimo że tu kiedyś mieszkał, teraz miał wrażenie, że znalazł się w tym budynku po raz pierwszy. Świerzbienie skóry przyprawiało go o szaleństwo, aż głośno warknął, by wyrazić gniew i zdenerwowanie. To pomogło mu pozbyć się natłoku myśli. Wróciła też pamięć o domu - znów wiedział, gdzie jest. Ruszył do pokoi Singha.

Kiedy stanął przed jego drzwiami, były przymknięte, ale niezamknięte na zamek. Lawrence nie pukał, tylko wpadł do środka. Srebrzysta poświata była wystarczająco jasna, żeby dostrzec rozbite okna. Resztki szkła w ramach wyglądały jak wyszczerzone zęby.

Rozejrzał się powoli po wnętrzu. Zniszczenia nie ograniczały się do okien. Całe wnętrze było przewrócone do góry nogami. Porozbijane meble, ciężkie kobierce pozrywane ze ścian i podarte, poduszki rozrzucone po podłodze, przykryte śniegiem pierza. Poszukał wzrokiem śladów pazurów, ale ich nie znalazł. Zniszczenia były ogromne, ale dokonał ich człowiek.

Lawrence cofnął się mechanicznie i stanął na czymś, co wydało dziwaczny odgłos. Spojrzał na podłogę i zobaczył, że stoi pośrodku kałuży czarnego płynu. Schylił się, musnął ją palcami i uniósł je do nosa.

Krew.

Prawie zaschnięta. Musiała mieć kilka dni.

Lawrence podniósł się powoli i podążył wzrokiem za jej śladem. Krwawy strumień prowadził przez dywan, podłogę i po ścianie. Potem bezwiednie opuścił broń i otworzył usta.

Za jego plecami, w cieniu wisiały zwłoki człowieka. W klatce piersiowej mężczyzny tkwił masywny, srebrny nóż. Odchylona do tyłu głowa i rozwarte wargi wyglądały, jakby zamarł w wieczystym krzyku.

- Singh!

Ten widok niemal złamał mu serce. Strzelba wypadła z bezwładnych palców, a Lawrence cofnął się w bezgranicznym przerażeniu.

- Mój Boże... - szepnął. Z oczu pociekły mu łzy.

Nagle zrozumiał, co się wydarzyło. Singh był strażnikiem rodziny, świętym wojownikiem, Sikhiem, żołnierzem Boga, który poświęcił się, żeby opiekować się Talbotami i jednocześnie chronić świat przed nimi. Singh mógł przebaczyć sir Johnowi śmierć Bena. To był wypadek, że bestia tamtej nocy wyszła na wolność. Ale nie mógł i nie chciał brać udziału w tym, co się zdarzyło później. Sprzeciwił się swemu panu, kiedy ten pozwolił Lawrence'owi zamienionemu w bestię wyjść na łowy. Wygląd pokoju wiele mówił o tym, jak musiała przebiegać ta wymiana zdań.

Singh podjął ostatnią próbę przeciwstawienia się złu i zrobił to w imię Boga i w imię miłości do rodziny.

Sir John najwyraźniej złapał świętą broń Sikha, jego srebrny kirpan i zamordował nim dobrego i uczciwego człowieka. A potem w odrażającym geście powiesił na ścianie jak kolejne trofeum.

W sercu Lawrence'a mdłości ustąpiły miejsca żałobie, a żal zmieniał się powoli we wściekłość. W jego piersi szalała siła straszliwsza niż bestia. To, co sprawiło, że Lawrence Talbot był człowiekiem, wyło w nim teraz głośniejsze i przeraźliwsze niż wilk.

Coraz intensywniejsze światło księżyca obudziło drobny refleks na czymś, co wisiało na łańcuszku na szyi Sikha. Klucz!

Lawrence zmusił się, by podejść do ciała. Chwycił w palce srebrną zawieszkę i z największą delikatnością przełożył ją przez ubraną w turban głowę Singha.

- Tak mi przykro, przyjacielu - powiedział cicho.

Skrzynia leżała na boku. Lawrence ustawił ją prosto. Długą chwilę usiłował trafić kluczem w zamek, tak bardzo trzęsły mu się ręce. Dwukrotnie go upuścił i musiał szukać między porzucanymi na podłodze ubraniami. W końcu włożył go w dziurkę i przekręcił. Zamek szcęknął i Lawrence mógł wyciągnąć szufladę.

Były tam, każda na swoim miejscu. Przynajmniej pięćdziesiąt srebrnych kul do strzelby.

Lawrence zatkał z ulgą i złapał pełną garść naboju, a potem wepchnął je do kieszeni. Wziął jeszcze dwa, złamał strzelbę i wsunął je w otwory luf. Po raz

pierwszy tego wieczoru dostrzegł iskierkę nadziei, że jeszcze nie wszystko stracone. W najgorszym razie będzie mógł odebrać sobie życie i ocalić duszę przed wiecznym potępieniem.

Zebrał się w sobie, gotów wypełnić postanowienie, i ruszył w do drzwi. Zacisnął dłonie na strzelbie i zacisnął zęby.

- To za ciebie, Ben - wycodził. - Za ciebie, Singh. Boże, daj mi siłę... To za nas...

W cieniu pokoju rozległ się jakiś dźwięk. Miękki, delikatny jak muzyka. Jakby światło księżyca mogło przemawiać i zaczęło mu szeptać na ucho. Lawrence zamarł i się wyprostował.

Tak, to była muzyka.

Ciche, zawodzące dźwięki jakiejś dziwnej melodii. Grane na fortepianie. Lawrence wyszedł na korytarz, żeby ją lepiej słyszeć. W wielkiej sali ktoś siedział przy klawiaturze i grał smutną melodię duchom wszystkich Talbotów.

Ojciec?

To musiał być on... Ale to było takie dziwne, wręcz niewłaściwe. Muzyka brzmiała delikatnie, uspokajająco... Jej doskonałość nie pasowała do obrazu, jaki Lawrence zastał, kiedy tu przybył.

Zakradł się do schodów i wsłuchał uważnie w dźwięki.

Znał tę melodię. Tkwiła gdzieś między jego najwcześniejszymi wspomnieniami. Słodka piosenka, przywieziona z jakiejś egzotycznej wyprawy przez matkę. Czasem ją śpiewała, a on leżał z głową opartą na jej kolanach. Przez krótką chwilę czuł irracjonalną nadzieję, że przy fortepianie siedzi Solana i gra, by muzyką ukoić bestię w piersi swego syna... i męża.

Lawrence ruszył schodami, stawiając ostrożnie stopy na kolejnych stopniach. Rozpaczliwie trzymał się tej fantazji, modlił, by była prawdziwa. Nawet jeśli byłby to tylko jej duch, to może noc mogłaby się skończyć inaczej. Ze zrozumieniem. Bez rozlewu krwi.

- Matko... - mruknął. - Proszę... Mimo to uniósł broń i wycelował.

Muzyka wciąż unosiła się w powietrzu. Snuła się po starym domu jak zapach przepysznej potrawy.

Kiedy znalazł się na samym dole, nabrał głęboko powietrza. Miał wątpliwości, czy dalej jest w Talbot Hall, czy raczej trafił w jakieś dziwne miejsce. Może to omamy wywołane narkotykami, którymi odurzano go w szpitalu. Ale kiedy wszedł do sali i zobaczył, kto siedzi przy fortepianie i uderza w klawisze, wiedział już, że to nie jest sen, ani jego rodzinny dom. Trafił do piekła.

- Ojczy, wybac, bo zgrzeszyłem przeciw Niebu i Tobie - mruknął sir John nie podnosząc głowy.

Lawrence stanął. Poczł ukłucie w sercu.

- Nie jestem godzien nazywać się Twoim synem - kontynuował ojciec.

Teraz serce Lawrence'a waliło jak oszalone, a świat się kołysał i wydawał nierealny.

W końcu sir John podniósł wzrok. Siwe włosy miał w nieładzie, oczy pociemniałe i dzikie.

- Cóż my tu mamy... czyżby powrócił syn marnotrawny? Powinienem okryć cię własną szatą? Oddać ci moje pierścienie i sandały?

Lawrence uniósł broń.

- Powinieneś się raczej modlić, potworze. Ale obaj wiemy, że to ci nie pomoże.

- Czyżbyś załadował moją broń srebrnymi kulami Singha?

- Tak! - syknął Lawrence z triumfem.

- W takim razie, zdaje się, masz nade mną przewagę... Ale to mnie tylko cieszy.

- A to dlaczego? - Lawrence zmarszczył brwi.

- Bo przyjechałeś do mnie. Cieszę się, że cię widzę. To wspaniałe, prawda?

- To piekło!

- Piekło? - Sir John uśmiechnął się, rozbawiony. - Bestia nie jest zła.

- A niech cię! - warknął syn. - Bestia to zło w czystej postaci!

- Nie. To tylko bestia. Przeklinanie jej to błąd.

Lawrence pokręcił głową. Nie chciał tego słuchać. Przysiągł sobie, że nie pozwoli ojcu, by go odwiódł od spełnienia postanowienia... Ale sir John mówił dalej, a on nie pociągnął za spust.

- Zamykanie jej... było błędem. To ją tylko rozeźliło. - Zaśmiał się i uderzył w klawisze. Zagrał kilka nut bez żadnego związku. - Moja rada - niech każdy cieszy się życiem, póki je ma.

Lawrence poprawił chwyt na strzelbie. Przygotował się do strzału. Sir John pokiwał z uznaniem głową.

- Wciąż jeszcze pamiętasz, jak tego używać? Przecież już nie potrzebujesz strzelb. Może byśmy wypuścili się razem na polowanie? Safari? Wielka wyprawa na kilka kontynentów... Afryka... Ameryka... Jest tyle ciekawych miejsc... Tyle świeżego mięsa...

Tego już było za wiele. Lawrence czuł rozpoczynającą się przemianę. Czuł bestię i słyszał jej wycie - przystawała na propozycję ojca. Nie mógł tego znieść.

- Ojczy - powiedział nienaturalnie grubym głosem. - Niech cię diabli... Pociągnął oba spusty naraz. I nic się nie wydarzyło.

Lawrence stał z policzkiem przyciśniętym do kolby bezużytecznej strzelby i zaszokowany wpatrywał się w ojca. Jeszcze raz pociągnął za spusty... I jeszcze raz.

Nic. Tylko głuchy stukot iglicy w spłonkę.

- Moja krew! Doskonale! - krzyknął sir John, spoglądając na niego z nieukrywanym zadowoleniem. - Wiedziałem, że masz w sobie to coś!

Lawrence cofnął się i gwałtownie złamał lufę. Płynnym ruchem wyrzucił ze środka naboje, sięgnął do kieszeni po nowe i wsunął je na miejsce.

Zatrzasnął strzelbę i przycisnął kolbę do ramienia.

Sir John czekał cierpliwie i nie ruszał się z miejsca. Wydawał się być zadowolony z postępowania syna.

Lawrence pociągnął za pierwszy spust, a potem za drugi.

Nic.

Wycofał się na drugą stronę wielkiej sali, a sir John, śmiejąc się cicho, wstał i poszedł za nim. Naraz zatrzymał się, spojrzął na błyszczącą klapę fortepianu i podniósł z niej laskę z rękojeścią w kształcie głowy wilka. Zważył ją w dłoni i wycelował w Lawrence'a.

- Wiele lat temu wysypałem proch z nich wszystkich. Singh nie miał o tym pojęcia. Wątpię, żeby w ogóle przyszło mu to do głowy. Ale... na Boga, uspokój się, chłopcze!

Sir John uderzył delikatnie srebrną główką w otwartą dłoń. Lawrence znów zaczął się cofać, a ojciec postępował za nim, uderzając laską we wnętrze dłoni w rytm kroków.

- W końcu stałeś się mężczyzną, jakim zawsze chciałem, żebyś był - powiedział. - Co teraz, mój chłopcze? Ruszemy razem w noc?

- Razem?

- A może wolisz, żebym inaczej przemówił ci do rozsądku?

Lawrence złapał strzelbę za lufę i trzymał ją jak pałkę.

- Życzę szczęścia - powiedział głosem pełnym mocy. Potem rzucił się na ojca najszybciej jak potrafił. Zamachnął się strzelbą, by szerokim łukiem poprowadzić śmiertelne uderzenie. Ciężka kolba świsnęła w powietrzu...
... ale sir John był już gdzie indziej.

Poruszał się z niewiarygodną prędkością - nie tylko jak na staruszka, ale szybciej nawet niż młody i wysportowany człowiek. Przez chwilę Lawrence był przekonany, że kolba ze świstem przecięła ciało ojca. Zamach i siła, jaką w niego włożył, obróciła nim dookoła, aż stracił równowagę. W chwili kiedy udało mu się pewnie stanąć na nogach i podniósł wzrok, zobaczył srebrny błysk i główka laski wyrznęła go w szczękę. Krew natychmiast popłynęła mu z ust. Z bólu aż przyklęknął.

Sir John zahaczył laskę o strzelbę i silnym szarpnięciem wyrwał ją z rąk syna. Broń przeleciała przez pół pokoju i uderzyła w wazę z epoki Ming, roztrzaskując ją na kawałeczki.

Lawrence cofał się na czworakach, a kiedy zyskał trochę miejsca, spróbował wstać. Szczęka pulsowała bólem, ale wzbierająca wściekłość pozwalała o tym zapomnieć. Nachylił się i skoczył ku ojcu, szykując się do uderzenia. Ale sir John uchylił się, zablokował cios lewym łokciem, wziął krótki zamach i łupnął syna w żebra. Lawrence sapnął. Nagle nie miał czym oddychać.

Zatoczył się.

Sir John podszedł bliżej. Jego twarz zaczęła się zmieniać. Oczy nabrały żółtawego blasku, skóra ciemniała, a wilcza natura wyla, żeby się uwolnić. Staruszek zaryczał gwałtownie. Nie na Lawrence'a, ale czując zbliżającą się przemianę. Wilk przyczał się na chwilę. Znow miał błękitne, spokojne oczy sir Johna.

Na zewnątrz księżyc kontynuował swą wędrówkę po nieboskłonie. Lawrence walczył o oddech. Kiedy w końcu udało mu się nabrać powietrza w płuca, ruszył do ojca, chcąc zewrzeć się w walce, zanim nieuchronna przemiana porwie ich obu.

Sir John już się nie uśmiechał. Jego twarz wykrzywił zły grymas. Odrzucił laskę i skoczył na spotkanie syna. Uchylił się przed jego uderzeniem i wyprowadził dwa ciosy, które posłały Lawrence'a na kolana. Ale to mu nie

wystarczyło. Uderzył raz jeszcze, znad głowy, a potem jeszcze raz, rozcinając skórę na łuku brwiowym syna, miażdżąc jego wargi, nadrywając ucho i łamiąc nos. Lawrence nie miał szans. Nie przeciwko człowiekowi, który walkę na pięści terminował u największych zabijaków w portach całego świata. Lawrence został pokonany jako wojownik i zdominowany jako drapieżnik.

Sir John chwycił go lewą ręką za koszulę na piersiach i szarpnięciem postawił na nogi, uniósł w powietrze i grzmotnął plecami na stół. Jedną ręką unieruchomił go w takiej pozycji, a drugą kontynuował dzieło zniszczenia. Cios za ciosem spadały na głowę i tułów syna. Lawrence czuł pękające kości policzków.

Naraz sir John się cofnął i pozwolił synowi osunąć się na usłaną liśćmi podłogę. Upadł ciężko, łapiąc powietrze. Zapuchniętymi oczyma patrzył za ojcem, który wolnym krokiem szedł tam, gdzie upadła laska.

Kiedy ją odnalazł, schylił się i złapał za drewniany koniec. Obrócił się i na próbę zamachnął, by zobaczyć, jak ciężka główka przecina powietrze. Wracając do syna, uśmiechał się ponuro. Okrutny, nieczuły, zakochany w umiejętności zadawania cierpienia. Stał w rozkroku i trzęsąc się, uniósł laskę nad głowę, gotów do ostatecznego, śmiertelnego uderzenia. Potem zawył z rozkoszy i zamachnął się z okropną mocą.

Lawrence złapał laskę.

Jego ruch był wynikiem strachu i desperacji i obu wprowadził w osłupienie. Na moment zamarli w bezruchu. Dłoń Lawrence'a zamknęła się na drewnie, tuż poniżej srebrnego pierścienia. Ostry ból przeszył mu nadgarstek. Błyskawicznie sięgnął drugą ręką i złapał za wilczy łeb. Obrócił nim i usłyszał szcęk mechanizmu! Ukryta blokada została zwolniona.

Sir John szarpnął drzewcem, wciąż jeszcze nieświadom zagrożenia... a Lawrence okręcił się i cofnął rękę, wyciągając długi rapier ze środka drzewca. Błyszczące ostrze przecięło powietrze jak srebrny płomień.

Sir John się cofnął. Kiedy patrzył na kawałek drewna, który wciąż trzymał w dłoniach, w jego oczach pojawiły się szok i zaskoczenie. Potem dostrzegł ostrze i w jakiś instynktowny sposób zrozumiał, że broń nie była zrobiona z polerowanej stali, ale że pokryto ją srebrem. Sir John zdał sobie sprawę, że syn trzyma w dłoniach decyzję o jego śmierci. Zamarł.

Ta sekunda wahania wystarczyła. Lawrence poderwał się z podłogi i po samą rękojeść wbił srebrne ostrze w pierś ojca. Cienki kawałek stali przebił ciało i kości... ale minął czarne serce sir Johna. Ranny obiema rękoma złapał za wilczą głowę i trzymał, gdy jego syn podnosił się na nogi. Znow się starli. Zwarli się w próbie sił, czerpiąc energię ze swej ludzkiej i zwierzęcej natury.

Sir John kopnął Lawrence'a w kostkę. Włożył w to dość siły, by znow posłać go na podłogę. Syn puścił rękojeść ostrza i uderzył głową w ziemię, aż rozległ się głuchy trzask. Znieruchomiał, niezdolny do dalszej walki.

Sir John stał na szeroko rozstawionych nogach i ciężko dyszał. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w syna. Z wściekłością obnażył zęby. Z nieludzkim krzykiem wyrwał ostrze z piersi, a krew trysnęła na Lawrence'a i podłogę dookoła.

Zważył ostrze w dłoni, a potem odrzucił je jak najdalej. Nabral głęboko powietrza i napiął mięśnie klatki piersiowej, jakby chciał powstrzymać krwawienie. Czerwona strużka rzeczywiście się zmniejszyła, a potem krew w ogóle przestała płynąć. Ale przez warstwę srebra na ostrzu rana nie mogła się zasklepić. Mimo to sir John uśmiechnął się z zadowoleniem.

Ogłuszony Lawrence usiłował się czołgać. Niemal dotarł do drzwi, kiedy sir John dostrzegł jego ucieczkę. Podeszedł, złapał go za kołnierz i pasek i podniósł, a potem rzucił przez pół pomieszczenia. Lawrence upadł na kanapę, odbił się od niej i spadł na ledwie żarzące się węgle. Staruszek podeszedł i ocenił, jak mu poszło. Z zadowoleniem dostrzegł powiększającą się kałużę krwi wokół głowy syna.

Klatka piersiowa sir Johna ciężko falowała, ale nie z wysiłku, tylko z powodu targającej nim pasji. Stał tak przez minutę, a uwięzione w nim zwierzę usiłowało przejąć kontrolę. Chciał, żeby jego ludzka natura tego doświadczyła. Nachylił się, złapał syna za włosy i wyciągnął z kominka. Ciągnąc go po podłodze podeszedł do drzwi na patio. Za połyskującą brązowo obudową teleskopu widać było księżyc w pełni.

Był wielki, okrągły i biały. Już tylko drobny fragment skrywał się za horyzontem.

Bogini Łowów brała niebo we władanie... Nadchodziła godzina wilka.

O Boże!

Krzyk wyrwał się z piersi Gwen Conliffe. Kobieta ściągnęła wodze, aż koń przysiadł na zadzie pośrodku drogi do Talbot Hall. Zaszokowana szukała wzrokiem wysokich ścian i wież rezydencji, ale widziała tylko potężne płomienie. Języki ognia buchały z każdego okna, a słup gęstego dymu wspinał się pionowo w niebo.

Lawrence jeszcze raz wystawił się na ból i zniszczenie. Wydawało mu się, że jego życie nie składa się już z niczego innego. Przewrócił się na brzuch i splunął krwią na posadzkę. W pokoju było zbyt jasno... kiedy częściowo odzyskał zdolność widzenia, dostrzegł z przerażeniem, że wszystko dookoła pochłaniały płomienie, a gęstniejący dym przyprawił go o atak kaszlu.

- Jest tuż-tuż! - ucieszył się sir John. Musiał być gdzieś niedaleko, ukryty w chmurze dymu.

Lawrence podniósł głowę i dostrzegł ojca nad sobą, stojącego plecami do okna. Kiedy płomienie sięgnęły belkowania dachu, cały dom zawył w agonii.

Sir John wskazał głową na coś za sobą. Lawrence wyjrzał przez okno i zobaczył idealnie okrągłą tarczę księżyca.

- Czujesz to?

- Nie... - odpowiedział słabo syn. Kłamał.

- Miałeś być spadkobiercą mojego królestwa.

- Dlaczego to robisz? - zapytał Lawrence, gramoląc się na kolana.

Sir John przycisnął dłoń do piersi, do rany po ostrzu. Potem ją wyprostował i pokazał mu, że jest czerwona od krwi. Na podłodze też było widać rozmazane krople posoki. - Rana się nie zamknie, jeśli bestia nie pójdzie polować.

- Powiniennem był lepiej celować! Ojciec się roześmiał.

- Czy wiesz, co wilki robią z nieudanym potomstwem? Lawrence znów zaniósł się kaszlem.

- Tu chodzi o czystość! - Sir John nie miał już ludzkich oczu. Jego źrenice stały się nienaturalnie żółte. Lawrence widział jak uszy ojca robiły się

spiczaste, a uśmiech pokazał potężne kły. - Taką niezmaconą sumieniem. Mój Boże... Uwolnić się od niego...

- Ojczel!

Sir John otworzył oczy.

- Słodkie zwierzęce zapomnienie.

- Lawrence!

Przez gęsty dym przebiło się wołanie kogoś, kto stał na dworze przed domem. Ojciec i syn odwrócili się do okna. Sir John się uśmiechnął. Lawrence zachwiał się na brzegu szaleństwa. Nie! To nie może być ona! Nie tu! Nie teraz!

- Gwen? - mruknął.

Sir John roześmiał się na cały głos.

- Doskonale, chłopcze! Teraz wszystko będzie już tak, jak powinno. Nasza wataha. Samiec alfa, potomstwo... I proszę, samiec alfa dostanie jeszcze swoją sukę!

Lawrence wiedział, kogo ojciec ma na myśli. Pożądanie i zazdrość sir Johna o Gwen doprowadziły w końcu do śmierci jego brata i szaleństwa, którego był świadkiem. Sir John uwolnił bestię i pozwolił jej realizować najbardziej mordercze instynkty. Chciał dostać wszystko, czego pożył, bez ograniczeń. Miał wolę i dość mocy, by to wszystko wziąć. Żadna ludzka siła nie mogła go już powstrzymać.

Nic.

Ale nagle przyszło mu coś do głowy. Strach i rezygnacja, które pętały duszę Lawrence'a kolczastym drutem, nagle pękły i opadły. Zmęczenie zniknęło jak nieprzydatne ubranie, a pozostał jedynie kipiący gniew, który wlał w niego dość siły, by dźwignął się na nogi.

Nie zrobił wrażenia na ojcu. Sir John roześmiał się tak głośno, że powietrze dookoła nich zadrżało.

Gwen. Dla niczego innego nie było już miejsca w umyśle Lawrence'a. Wypełniał go szalejący zew krwi.

Uśmiech zniknął z twarzy sir Johna, kiedy dostrzegł żółtawy blask w zmieniających się oczach syna. Stopniowo ich kolor stawał się jaśniejszy i gorętszy niż płomień szalejące dookoła.

Lawrence runął na ojca, uderzając go w klatkę piersiową dłońmi, które też już zaczęły się zmieniać. Siła i impet syna znacznie przekraczały to, czego sir John się spodziewał. Zatokczył się i żeby nie stracić równowagi, zrobił kilkanaście kroków w tył, ślizgając się na świeżej krwi.

Lawrence skoczył za nim, złapał za gardło i z całej siły wbił w nie kciuk. Miał nadzieję, że dzięki zaskoczeniu uda mu się zmiażdżyć tchawicę przeciwnika - ale na to było już za późno. Gardło ojca obrosło dodatkowymi mięśniami. Lawrence czuł pod palcami, jak grubiej ściągną i rozpychają jego palce. Sir John stęknął z wysiłku, ale odepchnął syna, a chwilę potem i jego oczy straciły błękitny kolor i zapłonęły żółtym płomieniem. Warknął, obnażając dziąsła, z których błyskawicznie zaczęły się wyżynać masywne kły.

- Lawrence! - Głos Gwen przebił się przez dym i huk płomieni.

- Ta suka będzie moja! - zaryczał stary Talbot, a w dźwięku jego słów próżno było szukać śladów człowieczeństwa.

- Bądź przeklęty! - odpowiedział mu Lawrence i ciał pazurami. W powietrzu pojawiły się kropelki krwi. Po raz pierwszy cieszył się z przemiany. Chciał jej. Czekał na pojawienie się potwora, żeby zyskać siły, dzięki którym rozszarpie przeciwnika... Prawdziwą bestię, zanim ta skrzywdzi Gwen Conliffe.

Ale wilkołak mieszkał w ciele sir Johna całymi latami. Ojciec miał nad synem przewagę.

Kiedy Lawrence szarpał go pazurami, sir John się zmieniał. Klatka piersiowa i ramiona rosły do nadnaturalnych rozmiarów, pod skórą formowały się gigantyczne mięśnie, srebrnoszara szczecina pojawiała się na skórze, a nowe kły rosły i stawały się coraz ostrzejsze. Jeszcze przed chwilą Lawrence miał przed sobą człowieka, teraz stał naprzeciwko wilkołaka.

Ogromna, przerażająca na tle z żywych płomieni bestia wyglądała jak wysłannik piekieł. Potwór zaryczał i zaatakował z taką prędkością, że Lawrence nawet tego nie zauważył. Cios dosięgnął jego głowy i pozostawił po sobie pustkę i głośnie dzwonienie. Lawrence nie czuł, że leci przez pół pomieszczenia. W końcu uderzył plecami w kamienną obudowę kominka i osunął się na ziemię. Dym dookoła gęstniał, a płomienie połyskiwały jak piekielne ognie.

Pośrodku płonącego salonu stanął wilkołak - potężny, niewyciężony. Ale potem zawył, kiedy przypomniał sobie ból w piersi. Rana po srebrnym rapierze nie zniknęła. Nie zasklepiała się jak wszystkie inne skaleczenia. Stwór poczuł delikatne ukłucie niepewności.

Spojrzał w kierunku kominka. Za ścianą dymu zauważył ruch i zawył z wściekłości. Rzucił się naprzód, przewracając po drodze meble. Gnała go żądza mordy, paliło pragnienie gorętsze niż płomienie, które pochłaniały ściany.

Kiedy dotarł do kominka, znalazł tam puste krzesło.

Gdzieś z tyłu rozległ się głęboki bulgot. Bestia obróciła się akurat, by zobaczyć wielką i ciemną postać, która przedziera się przez płonący salon. Potężnym skokiem wybiła się w powietrze i wylądowała kilka metrów od niego. Jej oczy płonęły.

Porośnięty ciemniejszym futrem wilkołak zbliżał się przez płonący pokój do drugiego. Rozpalone powietrze parzyło w płuca, a ostre pazury miażdżyły płytki na gorącej podłodze. Strzępy ubrań, rozerwanych przez gwałtownie rosnące ramiona stworzenia zaczynały dymić. Stwór warknął wyzywająco. Widział spływającą z rany krew. Zmarszczył nos i zaczął węszyć, spodziewając się odnaleźć w powietrzu woń strachu, która powinna przecież towarzyszyć miedzianemu zapachowi... Ale jedyne, co odnajdywał, to rzucone mu wyzwanie. Nie miał przed sobą rannej ofiary, tylko ранnego drapieżnika.

Wilkołak zmrużył oczy i dał się kierować instynktom, które podsycaly jego nienawiść.

Drugi stwór spoglądał na niego z taką samą czujnością.

Czekał na krew.

Bez ostrzeżenia ruszył w bok i zaczął okręzać przeciwnika, zmuszając go do poruszania się z taką samą prędkością i do zachowania dystansu. Oba stworzenia były wielkie i powołane jedynie do zadawania śmierci - uzbrojone w szpony i kły zdolne rozerwać wszystko. Kierowały się jedynie głodem.

Wysoko nad salonem jaśniało okrągłe oblicze Bogini Łowów, która przypatrywała się dwójce swoich najpotężniejszych dzieci, które szykowały się do walki. To starcie było inne niż wszystkie dotychczasowe pojedynki.

Szary potwór co chwila szczyrzył zęby na młodszego, żeby sprowokować go do głupiego i nieprzemyślanego ataku, ale za każdym razem, kiedy to robił, brązowa bestia marszczyła tylko czoło. Ogień w pokoju robił się coraz gorętszy. Wszystkie okna w domu wypadły na zewnątrz.

Potwór zaatakował.

Właściwie to oba zwierzęta rzuciły się na siebie w tym samym czasie. Ich ruchy były tak szybkie, że człowiek nie mógłby ich dostrzec. Zderzyli się pośrodku salonu, pierś w pierś, kilka cali w powietrzu, poniżej szklanej kopuły. Światło płomieni barwiło ich ciała na czerwono. Uderzenie było tak silne, że pęd powietrza zerwał płytki z podłogi, a ostatnie ocalałe szyby okienne rozpadły się w pył.

Potwory spadły na ziemię zwarte, szczepione kłami i pazurami. Szarpały się nawzajem, cięły skórę, zrywały mięśnie i ścięgna, łamały kości... Ale wszystko to na nic, bo rany niemal natychmiast się zamykały. Ból sprawiał, że każdy z nich walczył jak szalony i wkładał coraz więcej morderczego szału w potyczkę. Każdy próbował uderzyć w ranę. Na jakimś zupełnie prymitywnym poziomie, którym rządził instynkt, oba stwory wiedziały, jak zaatakować, żeby zostać samemu na placu boju - rozerwać gardło. Ale tak samo jak świadomość, w jakiej formie zadać śmierć, pojawiła się też umiejętność obrony przed atakiem.

Gwen zeskoczyła z konia i pognała do domu, nie zważając na języki ognia, które drapieżnie wysuwały się przez czarne usta wypalonych okien. Kiedy wbiegała po schodach, uderzyła ją fala gorąca. Drzwi wejściowe stały otworem, więc, nie zatrzymując się, wpadła do środka.

I zamarła, bo stała się świadkiem sceny gorszej niż wszystkie koszmary. Pośrodku areny z żywych płomieni walczyły ze sobą dwie bestie. Były straszniejsze i groźniejsze niż cokolwiek, co człowiek mógł sobie wyobrazić, potężniejsze niż kreatury opisane w książkach. To jakby spotkać się ze swoim najgorszym strachem pomnożonym przez dziesięć, a grozy dodawał jeszcze fakt, że stwory były prawdziwe.

Srebrzystoszary potwór zwolnił i opadł na cztery łapy, a potem skoczył przy ziemi, zacisnął szczęki na ramieniu ciemniejszego i natychmiast zaczął rzucać się w tył i przód. Chciał wykorzystać swą masę, by wyrwać ramię przeciwnika ze stawu. Taka rana by go nie zabiła, ale też nie pozostawiłaby mu szans na obronę przed ostatecznym, morderczym atakiem.

Drugi wilkołak zawył z bólu, kiedy ostre kły przebiły mu skórę, rozerwały mięśnie i zmiażdżyły kość. Rzucił się naprzód, przewrócił i zaczął kąsać, żeby odepchnąć od siebie jaśniejszego potwora. Ale ten nie dawał za wygraną. Coraz mocniej zaciskał szczęki, a w jego oczach pojawił się błysk triumfu.

Z rykiem wściekłości przemieszanej z bólem ciemniejszy stwór podkurczył nogi i dźwignął się z ziemi, podnosząc także przeciwnika wczepionego w ramię. Żadne zwierzę nie miałoby dość sił, by wstać z takimi obrażeniami, unosząc na dodatek ciężar, który zmiażdżyłby człowieka. Ale wilkołak czerpał

swą witalność ze źródła, które początek miało w otchłaniach pełnych mroku. Wyprostowany ruszył w kierunku kominka, ciągnąc za sobą przeciwnika. Szara bestia wciąż zaciskała szczęki na jego ramieniu. Teraz dodatkowo zatopila w nim pazury, a tylnymi łapami zaparła się o posadzkę. Wilkołak zwolnił, ale się nie zatrzymał.

Naraz sięgnął łapskiem do rany na piersi przeciwnika, z której wciąż wypływała krew. Wbił w nią głęboko zakrzywione szpony i, powarkując, zaczął szarpać ciało na kawałki, poszerzać otwór, rozrywać skórę i wyszarpywać kawały mięsa.

Szara bestia nie wytrzymała bólu. Rozwarła szczęki, odrzuciła w tył łeb i potwornie zaryczała.

A wilkołak zaatakował, jakby tylko na to czekał!

Rzucił się na cierpiącego potwora i zacisnął szczęki na jego gardle, wkładając w to całą siłę, cały gniew i nienawiść, jakie w nim buzowały, a potem cisnął nim o krawędź kamiennego kominka.

Bestia momentalnie zajęła się ogniem, a ze zranionej piersi wyrwał się ryk agonii.

Wilkołak przysiadł i warknął. Wyciągnął mocarne łapska, pochwycił płonącego przeciwnika i dźwignął go do pionu, a potem - balansując całym ciałem - zamachnął się i cisnął nim w dym. Szara bestia zniknęła gdzieś w ognistym piekle.

Gwen Conliffe, niezauważona, obserwowała śmiertelne zapasy zza drzwi.

Sparaliżowana strachem nie mogła nawet mrugnąć okiem, nie mówiąc o najmniejszym ruchu.

Wilkołak czekał na zew śmierci... Ale ten nie nadchodził.

Zamiast tego przez ścianę płomieni przedarł się zniechęcony wróg i płonąc jak pochodnia, ruszył w jego stronę. Ogień trawił ciało potwora, a każdy krok znaczył wypalonym śladem płytki posadzki. Resztki ubrania na grzbiecie i gęste niegdyś futro zamieniło się w popiół, ale to go nie powstrzymało. Z przeszywającym rykiem nienawiści odbił się od podłogi. Wilkołak wystawił pazury i obnażył kły, gotów do odparcia piekielnego ataku. Ale przeciwnik runął na ziemię tuż przed celem.

Wilkołak zrobił szybki krok, spodziewając się podstępu.

Płonący stwór, trzęsąc się jak w malignie, wstał z podłogi i znów chciał skoczyć na wroga, lecz i tym razem chybił. Kiedy padł, w powietrze wzbila się chmura iskier.

Wilkołak nie ruszył się z miejsca, wciąż wężąc w tym dziwnym zachowaniu jakieś nieczyste zagranie.

Szara bestia walczyła z narastającą słabością, ale dała radę jedynie uklęknąć. Płonęła. Pochłaniał ją ogień. Ciało płatami odpadało od kości. Mięśnie marszczyły się i pękały. Od żaru zwęgliły jej się wargi, czyniąc i tak paskudny grymas odrażającym.

Stwór wyciągnął ramię, które wyglądało jak kilka płonących patyków. Szpony popękały od gorąca, nadgarstek wygiął się pod dziwacznym kątem, kiedy zabrakło podtrzymujących go mięśni, a dłoń zmieniła w poskręcana parodię ręki.

Pokonany, opadł na cztery łapy. Nie był już tak wielki, bo spora część potężnego ciała zmieniła się w popiół. Udało mu się zrobić jeszcze jeden krok, a potem padł i znieruchomiał.

Głęboko, głęboko w umyśle bestii, niemal całkowicie pograżony w czerwonym cieniu i zdominowany przez najbardziej prymitywne instynkty, które istniały niezależnie od świadomości i woli, tkwił Lawrence Talbot. W jakiś sposób spoglądał przez oczy wilkołaka. Widział stwora, którym stał się ojciec. Przyglądał się, jak płomienie pożerają powykręcane kończyny, a potem jak w ogniu znika zwęglone ciało sir Johna. Trwało to tylko kilka chwil - ostatnie sekundy życia sir Johna Talbota.

Kiedy przemiana dobiegła końca, Lawrence zobaczył zmasakrowane i nadpalone zwłoki ojca niedaleko miejsca, w którym zginęła jego matka - gdzie została zamordowana. W miejscu, w którym on sam przestał istnieć. Gdzie niewinne dziecko, którym wówczas był, zostało odarte z normalnego życia, wpędzone w szaleństwo, wyrzuty sumienia, zgorzknienie i cynizm. Dokładnie tam, gdzie skończył się świat Lawrence'a Talbota... Teraz żywota dokonał tam jego ojciec.

Lawrence poczuł jakąś mroczną radość wzbierającą w sercu, ale nie na długo. Już w następnej sekundzie przestał istnieć, całkowicie zdominowany i

pochłonięty przez bestię. Wilkołak odrzucił łeb na plecy i zawył triumfalnie. Lawrence poczuł jeszcze, jak rozpada się w nicość.

Gwen Conliffe stała kilka metrów od obydwu bestii - jednej żywej i drugiej martwej - i przerażona wpatrywała się w tę scenę. Stworzenie, w które przemienił się sir John, zginęło i instynktownie wiedziała, że już nie wróci. Spojrzała na zwierzę, które było Lawrence'em. Czy wciąż jeszcze nosiło w sobie jakąś część ukochanego mężczyzny? A może bestia całkowicie pochłonęła jego ludzką naturę, tak jak płomień spopielił sir Johna? Uniosła dłoń w jego stronę, choć wiedziała, że to niczego nie zmieni. Otworzyła usta, by go zawołać, ale zanim wypowiedziała drogie imię, zza jej pleców rozległ się grzmot i wilkołak zawył, obficie brocząc krwią.

Obejrzała się szybko i dostrzegła inspektora Aberline'a, jak wbiega do środka. W ręku trzymał dymiący jeszcze pistolet. Uniósł broń i złożył się do kolejnego strzału.

- Nie! - krzyknęła rozpaczliwie Gwen i skoczyła, by podbić mu dłoń. Spóźniła się o ułamek sekundy, ale udało się jej rozproszyć strzelca. Druga kula trafiła bestię w biodro i posłała kilka kroków w tył.

Wilkołak otrząsnął się i błyskawicznie zaatakował. W locie odepchnął Gwen i wpadł na inspektora Aberline'a.

Policjant, upadając, wypuścił broń i zawył, bo na jego ramieniu zacisnęły się potężne szczęki. Po pysku bestii pociekła gęsta krew.

Gwen schyliła się i nerwowo złapała pistolet.

- Zastrzel go! - wrzasnął Aberline. Wilkołak potrząsał nim jak terier szczurem. - No strzelaj!

Gwen ujęła kolbę obiema rękoma i uniosła ciężki pistolet, ale nie mogła strzelić, bo bestia potrząsała Aberline'em tak mocno, że nie miała jak wycelować.

Stwór zobaczył pistolet w jej dłoniach i zrozumiał, że to ten przedmiot zadał mu ból. Rzucił inspektora na podłogę i ruszył w kierunku kobiety. Krew i ślina ciągnęły się lepkiemi strużkami pomiędzy zębów i kapwały na podłogę. Aberline był blady z szoku i bólu.

- Uciekaj! - zawył.

Gwen, odwróciwszy się na pięcie, popędziła w stronę drzwi. Wilkołak podążył za nią, ale poślizgnął się na pokrytej krwią podłodze. To dało dziewczynie kilka cennych sekund. Dopadła wyjścia. Bestia wahała się między uciekającą ofiarą i polowaniem, a zdobytym już świeżym posiłkiem, po który wystarczyło się schylić.

Drogo za to zapłaciła.

Coś uderzyło wilkołaka z ogromną siłą w plecy. Ból ogarnął jego ciało jak fala. Potwór schylił łeb i ze zdziwieniem w oczach dostrzegł ostrze masajskiej włóczni, która sterczała mu z piersi.

Odrzucił się. Jego posiłek nie był tak martwy, jak zakładał.

Ranny i ociekający krwią Aberline stał z drugą włócznią w ręku i przygotowywał się do rzutu.

Wilkołak zacisnął długie, powykręcane palce wokół ostrza i silnym szarpnięciem przeciągnął broń przez pierś, by po chwili się od niej uwolnić. Poirytowany odrzucił ją w płomienie.

Potem obnażył kły i zawarczał na Aberline'a.

Głośny trzask zmusił obu przeciwników do spojrzenia w górę. Sufit był zasnuty przez gęsty czarny dym, przez który przebijały się spadające fragmenty tynku i krokwi. Dom mógł w każdej chwili się zawalić.

Aberline wykorzystał nieuwagę potwora i cisnął drugą włócznią, choć wiedział, że tak jak pierwsza nie zrobi na nim żadnego wrażenia. Dzięki atakowi zyskał jednak kilka sekund, by dobiec do ściany z bronią. Zerwał z niej dwuręczny miecz; niemal półtorametrowa broń ważyła cztery funty. Nawet bez uszkodzonego ramienia policjant miałby problemy z posługiwaniem się czymś równie ciężkim. Teraz każdy ruch był prawdziwą męczarnią. Mimo to zaryzykował, wziął zamach i cisnął nim w potwora. Zobaczył ostrze sterczące z piersi piekielnego przeciwnika. Nie był zdziwiony brakiem śladów po włóczni.

Policjant odskoczył. Niewiele widział przez gęsty dym. Przed oczyma zaczęły mu latać mroczki od utraty krwi. Naraz nastąpił na coś, co zazgrzytało metalicznie po posadzce. Zobaczył wąskie ostrze rapiera. Głownia miała kształt wilczego łba.

Nachylił się i podniósł broń z ziemi. Wilkołak był coraz bliżej.

Bestia dostrzegła rapier i stanęła niezdecydowana, z oczyma utkwionymi w srebrnym ostrzu.

- Tak - wycharczał Aberline. - To srebrno, pieprzony sukinsynu. Chodź tutaj, chętnie cię poczęstuję!

Wilkołak przysiadł, gotów do ostatecznego skoku. Aberline uniósł nową broń.

W tym momencie zawalił się dach salonu, wysyłając w powietrze drzazgi z kończących życie belek i wysokie płomienie. Tony płonącego drewna runęły dół, jakby ponad tym wszystkim stał Lucyfer i uderzał swą ognistą pięścią w płonące serce starego budynku.

To zmusiło obu przeciwników do ucieczki.

Wilkołak wpadł na ścianę i dusząc się gęstym dymem, zaczął się otrząpywać z płonących drobinek, które uczepiły się futra. Ofiara umknęła. Smród płonących sprzętów zagłuszył nawet zapach krwi.

Mimo że sam stał pośrodku morza ognia, zauważył ruch na dworze. Odwrócił się i dostrzegł drugą ofiarę, jak gna przez trawnik przed domem w kierunku lasu.

Natychmiast wybił się w powietrze i roztrzaskując resztki okna, rzucił się w pogoń.

Gwen Conliffe biegła szybciej niż kiedykolwiek wcześniej. Mimo to wciąż przyciskała do piersi ciężki pistolet policjanta. Zrzuciła buty i biegła boszo do lasu. Sił dodawały jej strach i rozpacz. Gałęzie szarpały jej sukienkę. Dziewczyna biegła i biegła, aż krzyk za jej plecami umilkł i zapadła przerażająca cisza. Pędziła, aż przestała słyszeć głodne, mokre dźwięki wydawane przez bestię znęcającą się nad człowiekiem, który dał jej szansę na ratunek.

Teren zaczynał się podnosić. Po lewej stronie słyszała plusk wody. Wybrała ścieżkę wzdłuż klifu, który wznosił się stromo w kierunku księżyca. Mimo hysterii udawało jej się zachować dość rozsądku. Nie miała wątpliwości, że bestia podaży jej śladem, ale mimo to czuła, że musi spróbować. Gdyby dotarła do wodospadu, może udałoby jej się przedostać na drugą stronę i zmylić pościg. Najpierw jednak musiała dotrzeć do wąwozu, a potem pokonać ścieżkę, która prowadziła przez las tak gęsty, że nawet jasne światło

księżycyca niewiele by pomogło. Biegła... ale wiedziała, że tylko odwleka coś, co było jednocześnie straszne i nieuniknione.

Stare drzewa wносиły się dookoła niej. Drobnymi stopami rozpryskiwała wodę i błoto na brzegach niewielkich strumyczków, które łączyły się później i tworzyły wodospad. Słyszała, jak coś ciężkiego i głośnego przedziera się przez las.

Zatrzymała się na chwilę i przytuliła plecami do potężnego cisu. Wsłuchiwała się w odgłosy lasu.

Czy bestia biegła tu za nią, czy może raczej została niżej, na mokradłach? Nie wiedziała, a nie chciała się rozglądać. Gdyby to zrobiła wilkołak natychmiast by ją zobaczył.

W końcu odgłos ucichł. Gwen opuściła schronienie pod starym drzewem i wróciła na klif. Jeśli potwór pobiegł gdzieś dalej, może uda jej się wrócić do dworu i odnaleźć konia? Przecież chyba nawet taka bestia nie potrafiłaby biec szybciej od wierzchowca. Czy może...?

Biegła dalej, dręczona zwątpieniem.

Droga przed nią ginęła w cieniach i dopiero w ostatniej chwili zauważyła, że tak naprawdę nie ma już przed sobą ścieżki - dotarła do krawędzi głębokiego wąwozu. Gwen skręciła, by biec dalej do wodospadu, ale usłyszała szelest. Cichy, ukradkowy odgłos.

Czyżby...?

Uniosła pistolet.

- Lawrence - powiedziała głosem, który drżał tak jak jej dłonie. - To ja, Gwen.

Kolejny szelest. Bliżej. Znacznie bliżej. Tyle że nie potrafiła stwierdzić, czy dochodził gdzieś z boku, czy raczej z przodu. Może sama pchała się wprost w łapska bestii?

- Wiesz, kim jestem - powiedziała, starając się panować nad głosem. Chciała, by brzmiał naturalnie, spokojnie... i by dotarł do Lawrence'a. Jeśli Lawrence jeszcze istniał.

Nie mogła utrzymać pistoletu.

- Lawrence?

W ciemności, kilka metrów od niej, zapłonęły dwa żółte ślepie. Dzikie, nienaturalne, wiecznie otwarte. Gwen zamarła. Wiedziała że szczęście właśnie ją opuściło i oto jej życie dobiega końca.

Wilkołak powoli wyszedł z cienia, ani na chwilę nie odrywając od niej oczu. Gwen cofnęła się ostrożnie i poczuła pod stopami, że miękka, rozdeptana ścieżka ustępuje miejsca ubitej glinie i kamieniom, które tworzyły krawędź klifu. Stwór podszedł bliżej. Jeszcze nigdy nie widziała go z tak bliska.

Był potężny. Dwa i pół metra wysokości, umięśniony, stanowiący jakąś parodię, niebędący ani zwierzęciem, ani człowiekiem.

Stąpnęła na obluzowanym kamieniu, który osunął się pod jej ciężarem. Przewróciła się, a wilkołak natychmiast skoczył, stanął nad nią i spoglądał mrocznie. Wiedziała, co zaraz nastąpi.

- Proszę... przecież musi w nim tkwić jakaś część ciebie... proszę... Jedyną odpowiedzią było głodne spojrzenie i obnażone zębiska. Ubranie na grzbiecie bestii było podarte, splamione krwią i podziurawione strzałami. W niej samej nie było absolutnie nic ludzkiego.

Gwen zaczęła płakać. Szloch wstrząsał jej piersią, z oczu płynęły łzy. Wyciągnęła dłoń do potwora.

- Proszę... Pamiętasz słowa, które mi szeptałeś?

Palce zatrzymały się kilka cali od pyska potwora. Gwen wiedziała, że umrze, ale nie mogła się pogodzić z tym, że w przerażającej bestii nie pozostało absolutnie nic z dobrego człowieka.

- Pamiętasz, jak mnie całowałeś?

Żółte oczy wilkołaka zmrużyły się do wąziutkich szparek. Gwen płakała, wzywała jego imienia i dotykała opuszkami palców sztywnej, czarnej szczeciny. Ale na ułamek sekundy jego twarz się zmieniła. Nie przemienił się, ale warkot nienawiści zelżał, a kły na powrót zniknęły pod wargami. Gwen poczuła, że znów wstępuje w nią nadzieja.

- Lawrence...?

Pół mili dalej przesuwawała się pofalowana linia latarni. Policjanci z sił specjalnych zbliżali się z odsieczą. Aberline był już między nimi. Szedł mimo bólu, który wykrzywiał mu twarz, wsparty na ramieniu Adamsa. Z

policjantami przybyło kilkunastu mieszkańców Blackmoore. Nieśli własne strzelby załadowane srebrnymi pociskami. Towarzyszyły im psy myśliwskie, które wyły na cały głos, czując w powietrzu krew.

Aberline się zachwiał, więc Adams pomógł mu usiąść na trawie.

- Zostaw mnie - powiedział. - Za to znajdź ją. - Mówiąc to, machnął zakrwawionym rapierem w kierunku lasu. - No już! - wykaszał.

Myśliwi przygotowali się, by ruszyć tyralierą w kierunku zarośli. Po tropie prowadziły ich psy.

Aberline wykręcił głowę, żeby ocenić rany na ramieniu. Kły potwora rozerwały mięśnie i zgruchotały kość. Rana paliła i świerbiła, jakby pod skórę wchodziły przez nią mrówki.

Księżycowa poświata padła na srebrne ostrze i Aberline przez dłuższą chwilę nie mógł od niego oderwać wzroku.

- Mój Boże - westchnął, zaskoczony, że przeżył atak, kiedy wszyscy inni umierali. - Dzięki Ci!

Ściskając rękojeść srebrnej broni, wstał i zataczając się, ruszył za swoimi ludźmi i za Gwen Conliffe. Za potworem.

Gwen miała wrażenie, że czas się zatrzymał. Leżała na zimnej skale, z dłonią zaciśniętą na kolbie pistoletu i palcem opartym o spust, a drugą uniesioną, by dotknąć potwora, który pochylał się nad nią.

- Lawrence - szepnęła.

Wilkołak wpatrywał się w nią i nagle z jego oczu zniknął cały głód i nienawiść. Gwen się ożywiła. Teraz już miała pewność, że on wciąż tam jest. Gdzieś pod skórą, wewnątrz karykaturalnego ciała wciąż jeszcze istniał Lawrence Talbot.

Gwen uniosła rękę jeszcze wyżej, żeby dotknąć jego twarzy.

A potem oboje usłyszeli psy.

Wilkołak obrócił głowę w stronę domu. Zwierzęta wyły i szczekały. Mężczyźni krzyczeli i nawoływali się nawzajem.

Gwen naraz zdała sobie sprawę, że przeznaczenie, okrucieństwo i złośliwość ukradły jej tę chwilę. Im obojgu. Dostrzegła, jak napięcie wkrada się z powrotem w ciało bestii. Sprężyła mięśnie i przywołała całą zwierzęcą furię i nienawiść, które Gwen udało się odegnać, słowami i dotykiem.

Wilkołak odwrócił powoli głowę i popatrzył na nią, a kiedy spojrzała mu w oczy, na twarzy bestii nie było już śladu Lawrence'a Talbota. Dostrzegła tylko dzikie zwierzę.

- Nie... - jęknęła cicho, ale stwór obnażył potężne zębiska. Wiedziała, że to ostatnia rzecz, jaką widzi w życiu. Gdzieś w głębi potężnej, owłosionej klatki piersiowej zaczął się rodzić warkot. Jak obietnica śmierci.

Potem bestia się cofnęła. Uniosła łeb i zawyła do księżyca, a jej głos wypełniał bezbrzeżny ból, żal i cierpienie. Wycie rozerwało mrok nocy i sieknęło pazurami twarz Bogini Łowów, aż w końcu niebo zatrzęsło się pod naporem tego dźwięku.

- Kocham cię - powiedziała Gwen.

A potem przycisnęła lufę pistoletu do piersi bestii i strzeliła.

Ciężki pistolet podskoczył w jej dłoni. Huk wystrzału był głośniejszy niż burzowy grom, a srebrna kula przeszła ciało, mięśnie i kości, niszcząc wszystko, co napotkała po drodze.

Wilkołak zawył z przeraźliwego bólu, a potem upadł na bok. Gwen krzyczała, kopała i szarpała się, byle tylko wydostać się spod potężnego cielska. W końcu po raz drugi uniosła broń. Płakała, spoglądając na krew tryskającą z rany, która nie miała się zamknąć...

Bestia leżała spokojnie na ziemi obok niej. Myśliwi krzyczeli, psy szczekały oszalałe od woni posoki. Wszyscy pędzili w ich stronę.

Ale bestia ani drgnęła.

Nagle wilkołak chwycił ją za rękę.

Gwen krzyknęła. Usiłowała się wyswobodzić... ale stwór nie próbował jej skrzywdzić. Nie ciął pazurami i nie darł jej skóry. Leżał i trzymał ją za rękę.

Zamarła, patrząc na potwora.

A on zaczął się zmieniać.

Ciemne włosy położyły się płasko jak trawa pod naporem wiatru, a kiedy uważniej się im przyjrzała, dostrzegła, że chowają się pod skórę. Zagięte szpony delikatniały i cofały się. Ciało też się zmieniało, traciło mięśnie, szczecinę i kolor. Nawet śmierć nie była w stanie przerwać tego procesu. Ręce wyginały się dziwnie, odzyskując swój ludzki kształt. Kości się prostowały. Kiedy bestia zniknęła, na ziemi leżało nagie, jasne ciało Lawrence'a Talbota.

Gwen przyciągnęła Lawrence'a do siebie i szlochając, przycisnęła jego głowę do piersi, zasypując splątane włosy pocałunkami. Łzy płynęły z jej oczu jak deszcz, kiedy tuląc ukochanego, kołysała się z nim w tył i w przód.

- Lawrence! O Boże... Lawrence. Wybacz mi. Proszę, wybacz. Tak mi przykro. Wybacz...

Jej słowa zginęły w rwetesie, jaki robili zbliżający się myśliwi.

Lawrence był zbyt słaby, by mówić. Uniósł jednak dłoń i przyjrzał się jej zaskoczony. Zobaczył własną skórę, człowieczeństwo. Nie czuł bólu. Wszystkie jego zmysły skupiały się na bogini, która trzymała go w ramionach. Nie gniewnej Bogini Łowów, której twarz zmieniała się w maskę niezadowolenia i zawodu, ale delikatniejszej, piękniejszej bogini, która trzymała go przy piersi i zasypywała pocałunkami. Bogini, której oczy wypełniały łzy, ból i żal. I miłość.

Bogini, która go ocaliła.

Chciał jej coś powiedzieć. Ze ją kocha. Że dziękuje... Ale zabrakło mu sił. Ledwie dotknął jej dłoni i przesunął opuszkami palców po delikatnej skórze. Czy to zrozumie? Będzie wiedziała, że nie musiał jej wybaczać? Ratunek to coś, co nie wymaga przeprosin. Przesunął palcami po wierzchu jej dłoni.

To wszystko, co mógł zrobić.

Był już bezpieczny.

Mógł usnąć.

Gwen Conliffe poczuła, kiedy odszedł. Jego ciało zwiotczało, a kiedy spojrzała w twarz ukochanego, tak jasną w świetle księżyca, nie było na niej śladu bólu. Miał zamknięte oczy. Pochyliła się nad nim i płakała, kiedy mężczyźni z psami wkroczyli na polanę.

Myśliwi zatrzymali się na brzegu trawiastego stoku, wpatrując się w szlochającą kobietę i mężczyznę, którego nie wypuszczała z objęć. Pełne rozpacz, urywane spazmy zmusiły ich do milczenia. Nawet psy przestały poszczekiwać.

Chwilę później z ciemności wyszedł Aberline. Poranione ramię wisiało bezwładnie, ale już nie krwawiło. Policjant przestał też kuleć. Mężczyźni nadal stali w miejscu, kiedy podszedł bliżej i pochylił się nad płaczącą kobietą.

Spojrzał na twarz Lawrence'a Talbota i zrozumiał, że polowanie dobiegło końca. Niech spoczywa w pokoju. Biedak. Poczul współczucie dla Talbota i jeszcze większe dla tej kobiety. Księżyc odbijał się w srebrnym ostrzu, które wciąż trzymał w dłoni. Aberline uniósł rapier i przejrzał się w nim. Potem uniósł wzrok i spojrzał w uśmiechniętą twarz Bogini Łowów.

Koniec